

Jadwiga Klarner – Szymanowska

# **Kiedy sięgam pamięcią**

Warszawa 1997

Copyright © Jadwiga Klarnier – Szymanowska

Redakcja MS Word,  
retusz zdjęć, powielanie  
Jan M. Szymanowski  
602 397 138

## Rodzina

Pisząc wspomnienia, na ogół zaczyna się od historii swojej rodziny. Nie będę więc specjalnie oryginalna opisując bardzo krótką historię rodziny Klarnerów. Zaczyna się ona od mego dziadka - ojca ojca - Emiliana Klarnera.

Emilian stracił oboje rodziców we wczesnym dzieciństwie po czym opiekował się nim dużo starszy brat, który zginął w Powstaniu Listopadowym 1831 r. kiedy Emilian miał zaledwie kilka lat. Resztę dzieciństwa i wczesnej młodości spędził wśród dalekich krewnych którzy nie przekazali mu żadnej tradycji rodzinnej. Emilian jako dorosły prowadził posthalterię w Płońsku. Była to epoka dylizansów, a posthalteria była stacją wymiany koni dla dylizansów, połączona z zajazdem. Emilian był ożeniony z Wiktoria Osmólską. Mieli 9-cioro dzieci, 5-ciu synów i 4-ry córki. Czesław, mój ojciec, urodzony w 1872 r. był najmłodszy - młodszy od najstarszego brata o 20 lat.

Kiedy Czesław, mój ojciec, miał 8 lat Emilian zlikwidował posthalterię - zaczęła się już epoka kolei parowej - i przeniósł się z rodziną do Warszawy, gdzie pracował jako urzędnik. Były to ciężkie czasy dla rodziny. Ojciec wspominał, jak obiady w tym okresie składały się czasem wyłącznie z kartofli.

Mimo trudnej sytuacji życiowej rodziny, wszystkich pięciu synów Emiliana i Wiktorii zdobyło wyższe wykształcenie. Dwaj najstarsi byli lekarzami: Jan w Lublinie, a Szymon w Bełżycach, małym miasteczku na Lubelszczyźnie, gdzie zyskał dużą popularność jako społecznik [zakładał sierocińce, łaźnie dla ubogiej ludności]. Alfons był profesorem matematyki, a Kazimierz był sędzią.

Ojciec od dziesiątego roku życia, aby wspomóc rodzinny budżet dawał słabszym kolegom korepetycje. Uczęszczał do IV Gimnazjum Realnego mieszczącego się przy pl. Aleksandra (dzisiejszym pl. Trzech Krzyży), w budynku, w którym w latach dwudziestych i trzydziestych było żeńskie gimnazjum im. Królowej Jadwigi.

Ponieważ wszystkie wyższe uczelnie w zaborze rosyjskim były przez władze carskie zamknięte, ojciec pojechał do Petersburga na studia w Instytucie Technologicznym - odpowiednik politechniki (również ojciec mego męża, 10 lat później ukończył ten Instytut).

Po ukończeniu Instytutu, jako młody inżynier miał bardzo korzystną propozycję pracy w Rosji, ale nie zgodził się, wolał wrócić do Polski, mimo że w tym okresie w kraju o pracę było trudno. Dość długo jej szukał bezskutecznie, aż zaszedł do małej firmy "Drzewiecki i Jeziorański" oferując swoje usługi.

"Teraz jest zastój, nie mamy zapotrzebowania na inżynierów, a nawet nie mamy gdzie pana posadzić" - powiedział jeden ze współników.

Na co ojciec rozejrzał się po sali z rzędami stolików i rajsbretów i wskazując palcem powiedział:

"Tam w rogu widzę wolny stolik. Zgadzam się pracować przez miesiąc bez wynagrodzenia, a panowie zorientują się czy będę przydatny."

Po miesiącu dostał normalną pensję i został etatowym pracownikiem. W czasie pracy w firmie "D-J", ojciec, między innymi, brał udział w montowaniu instalacji w budującym się szpitalu im. Dzieciątka Jezus. Aby sprawdzić działanie wielkich wentylatorów ojciec wszedł do wielkiego przewodu - zapiąwszy uprzednio agrafkami marynarkę - i oparty o ścianę przewodu polecił majstrowi włączyć wentylator na duże

obroty. Nagle przy potężnym ciągu nie dość dokładnie zapięty brzeg marynarki odchylił się i pochwyciły go rozpędzone łopaty śmigła. Majster słysząc krzyk wyłączył natychmiast prąd i po chwili wyniósł z przewodu wentylacyjnego nieprzytomnego, zalanego krwią ojca. Tylko cudem uniknął śmierci. Zaniesiono go na właśnie wykończoną salę operacyjną i wykonano pierwszą w szpitalu im. Dzieciątka Jezus operację. Do końca życia miał blizny na plecach od uderzeń śmigła wentylatora.

Po dwóch latach pracy w firmie "D-J" zaproponowano mu wyjazd w charakterze przedstawiciela firmy na Daleki Wschód, aby na terenie Mandżurii prowadzić roboty instalacyjne na budowie kolei trans-syberyjskiej oraz w Port-Arturze, jedynym rosyjskim porcie na północy Dalekiego Wschodu, który nie zamarzał w zimie. W owych czasach - a był to rok 1903 -taki wyjazd można porównać z niewielką przesadą, do dzisiejszej wyprawy w kosmos. Wymagało to dużej odwagi, zdecydowania i fantazji. Nic więc dziwnego, że kiedy ojciec już z drogi (a jechało się pociągiem 2 tygodnie) zawiadomił swego najstarszego brata dra Jana Klarnera, że jedzie na 3 lata na Daleki Wschód, tenże oddepeszował na najbliższą stację na trasie:

"Wariat wracaj natychmiast"

Ale "wariat" pojechał dalej. Wielka szkoda, że ojciec nie opisał nigdy swojej wyprawy do kraju tak dzikiego i egzotycznego i swojej tam pracy w warunkach trudnych dziś do wyobrażenia.

Wraz z ojcem była w Mandżurii spora grupa pracowników firmy "D-J" inżynierowie, majstrowie, robotnicy wykwalifikowani.

Wiadomość o wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 r. dotarła do ojca gdy był w drodze do kraju w sprawach firmy. Natychmiast zawrócił. Wsiadł do pociągu jadącego z powrotem do Port-Artura. Po drodze, na każdej stacji zbierał z pociągów jadących na zachód pracowników firmy, którzy w popłochu uciekali przed Japończykami, oraz tych, którzy pracowali na trasie. Do Port-Artura dotarł z dużą ekipą i mógł w szybkim tempie kończyć roboty, zbierać rachunki i likwidować bazę. Swoją zdecydowaną postawą w czasie pracy na Dalekim Wschodzie ojciec przyczynił się do tego, że firma "D-J" stała się poważnym przedsiębiorstwem działającym na terenie całego imperium rosyjskiego. Po powrocie do kraju ojciec został współnikiem firmy.

Osiadł w Warszawie. Stał się człowiekiem zamożnym, inżynierem o ustalonej doskonałej reputacji, z doświadczeniem w pracy w skrajnie trudnych warunkach.

Miał 33 lata. Był przystojnym, niewysokim blondynem, już wtedy o "wysokim czole", z obowiązkowym - wg ówczesnej mody - wąsem.

### **Spotkanie w deszczu**

Po trzech latach nieobecności w kraju pojechał ojciec na kilka dni do Lublina aby odwiedzić swego brata d-ra Jana. Któregoś dnia panowie wybrali się razem na spacer do parku, kiedy nagle lunął deszcz. Schronili się więc w oranżerii, gdzie spotkali znajomego Jana doktora Aleksandra Jaworowskiego z córką Florentyną. Florentyna była drobna, zgrabna, o pięknych kasztanowatych naturalnie falujących się włosach. Wzajemne wrażenie nowopoznanych było tak silne, że ojciec po powrocie do

Warszawy napisał list do swej bratowej, żony Jana, z prośbą aby oświadczyła się w jego imieniu. Oświadczyzny zostały przyjęte.

Zapewne, poza niewątpliwym wzajemnym zachwytem odgrywało też rolę i to, że ojciec był otoczony nimbem nieomal bohatera z powodu swojej wyprawy na Daleki Wschód. Natomiast ojciec Florentyny, dr Aleksander Jaworowski był człowiekiem niesłychanie szanowanym przez społeczeństwo Lublina. Założył sierociniec, ochronki, organizował akcje charytatywne, patriota Lublina, był inicjatorem założenia muzeum historii Lublina. Był tak popularny, że kiedyś dwóch panów założyło się czy dojdzie do właściwego adresata list zaadresowany:

“Doktor Dziadek – Lublin”

Doszedł.

Mieć takiego ojca to była nie lada rekomendacja.

Florentyna, urodzona w 1879 r. była drugą z siedmiorga dzieci Aleksandra i Florentyny z Suligowskich [sześć córek i jedyny syn]. Jej ojcem chrzestnym był Aleksander Głowacki - Bolesław Prus - który wówczas mieszkał w Lublinie i był najbliższym przyjacielem jej ojca, stąd wiele razem spędzanych w Nałęczowie wakacji. Florentyna wraz z najstarszą siostrą Janiną uczyła się na prywatnej pensji z internatem, panny Rudzkiej w Warszawie.

Pod zaborem rosyjskim nauka mogła się odbywać wyłącznie w języku rosyjskim surowo zabroniona była nauka języka polskiego i historii Polski. Jednak na prywatnych pensjach uczono tych przedmiotów konspiracyjnie. W czasie zabronionych lekcji na tablicy był zawsze wypisany po rosyjsku temat jakiegoś dozwolonego przedmiotu, a zeszyty do przedmiotów niedozwolonych ukrywano w zeszytach do rosyjskiego. Był też opracowany cały system alarmowy w razie nagłej wizytacji rosyjskiego inspektora, który potrafił po cichu wejść do szkoły od kuchni i skradać się korytarzem podsłuchując pod drzwiami klas, czy nie słychać języka polskiego, za co groziło zamknięcie szkoły i zsyłka.

Poza przedmiotami typowo szkolnymi jak geografia czy matematyka, panienki uczyły się i władały biegle językami - oczywiście rosyjskim, a ponadto francuskim i niemieckim. Były też obowiązkowe lekcje tańca i muzyki. Nauka dla panien kończyła się na 6-ciu klasach gimnazjum. Florentyna jednak przygotowała się i zdała jako ekstern pełną maturę, jak po 8-miu klasach. Chciała bowiem stworzyć sobie możliwość zarobkowania, gdyż liczyła się z tym, że jako nieposażna panna (jej ojciec-społecznik nie dorobił się nigdy majątku, a w domu było sześć córek do wyposażenia) nie będzie jej łatwo wyjść za mąż.

Po ukończeniu szkoły i zdaniu matury - co w tamtych czasach, dla kobiety równało się nieomal wyższemu studium - pomagała swemu ojcu w różnych pracach charytatywnych - uczyła dzieci w ochronkach dla biedoty, wpajała im zasady higieny, pielęgnowała w chorobie. Wychodząc za mąż, jak na owe czasy, była zdeklarowaną starą panną, miała bowiem już 27 lat.

Ślub Czesława i Florentyny odbył się w 1907 roku. Przez całe wspólne życie pozostali kochającym się i czującym małżeństwem. w 1908 r. urodził się Jerzy. W 1910 r. urodził się Janusz. W 1912 r. urodził się Zbigniew.

\*\*\*

Po narodzinach Zbigniewa zjawiała się w naszej rodzinie panna Helena. Zaangażowana jako wychowawczyni do dzieci, wkrótce stała się niemal członkiem rodziny, wychowała kolejno całą naszą piątkę, towarzyszyła rodzinie w najcięższych czasach, prowadziła dom w okresach choroby matki.

W 1912 r. rodzice zmienili mieszkanie - przenieśli się z ulicy Wspólnej na Marszałkowską 9.

“Zwariowali! Przenieśli się na wieś!”

skwitował tę wiadomość nasz dziadek (wuj matki) Adolf Suligowski, znany warszawski prawnik (do dziś ma ulicę swego imienia). Istotnie w tamtym czasie okolice placu Unii Lubelskiej były dzielnicą peryferyjną. Dopiero w okresie międzywojennym nastąpiło umiastowienie przedmieść.

### **Rodzina w Rosji**

W 1914 r, po wybuchu I Wojny Światowej zaistniała konieczność przeniesienia centrali firmy “D-J” z Warszawy do Moskwy, a jej szefem został nasz ojciec. Wyjechał z całą rodziną i panną Heleną. Rodzice zamieszkali w Nowogirejewie, letniskowej miejscowości pod Moskwą, w dużym domu z ogrodem. Ojciec dojeżdżał do pracy do Moskwy, a raczej jeździł po całej Rosji doglądając robót.

9 grudnia 1915 r. urodziła się Maria, upragniona córka po trzech - skądinąd bardzo udanych chłopakach. Urodziła się w klinice w Moskwie. Matka przyzwyczajona do odbywania porodów w domu [tak się wtedy rodziło] bała się, że w klinice zamieni jej dziecko, bo tego samego dnia urodziła się inna dziewczynka. Położna ją uspakajała:

“Barynia, szto wy, toż wasze maleństwo jak kwiatusek, a tamto eto kałmuckaja roża” [kałmucka morda]

Tymczasem rozroszyła się rosyjska zima. Matka z dnia na dzień odkładała powrót do domu obawiając się transportu noworodka przy tak niskich temperaturach. Ale mróz stawał się coraz większy -15,-20 -25 stopni mrozu. Wreszcie nie sposób dalej zwlekać. Idą święta Bożego Narodzenia, a w domu czeka trzech chłopców.

Maria zostaje zapakowana w puchowy becik, dwa ciepłe pledy i cały ten toból zawinięty razem z głową w ogromne płachty gazety, po czym załadowana do karety odbywa pierwszą w życiu kilkunastokilometrową podróż do Nowogirejewa przy 25 stopniach mrozu. Po przyjeździe do domu i rozwinięciu dziecka matka z przerażeniem stwierdziła, że jest ono całe pokryte puszką, dosłownie kosmate, jak małe zwierzątko. Ale kucharka Rosjanka uspokoiła matkę, że w Rosji w czasie mrozów takie się rodzą dzieci. Po kilku dniach puszek znikł i skończyło się zmartwienie.

\*\*\*

Rok 1917 zaczyna się źle. W całej Rosji niepokoje, rozruchy, wszystko się rozprzęga, nic nie działa prawidłowo, coraz większe trudności z zaopatrzeniem.

Ojciec codziennie wraca z pracy obładowany - kupuje co tylko uda mu się kupić, a zwłaszcza głowy cukru [wtedy cukier robiono w formie stożkowatych głów i rąbano specjalnym młotkiem]. Matka w miarę możliwości usiłuje robić zapasy, w lecie zarządza smażenie i suszenie owoców, na jesieni odbywa się orgia grzybowa.

Rok jest niesłychanie grzybny, do tego ulice w Nowogirejewie, wyłożone drewnianą kostką pokrywają się opieńkami. To bardzo smaczne grzyby. Kucharka wraz z pokojówką, między obiadem a podwieczorkiem, zbierają pełne kosze od bielizny opieniek. Soli się je w beczkach, suszy, marynuje. Dzięki nim i ziemniakom sprowadzonym przez ojca ze wsi rodzina zdołała jakoś przetrwać głód, który wkrótce nastąpił. A gąb do wykarmienia było niemało, bo poza rodzicami i czwórką dzieci była panna Helena, kucharka, pokojówka, stróż Iwan słynny z tego, że na pierwsze śniadanie zjadał dwa bochenki chleba i popijał je dwoma samowarami herbaty, ponadto był ogromny pies Bernardyn o groźnym wyglądzie i głosie, ale o nadzwyczaj łagodnym charakterze.

Jednak głód dotknął rodzinę - w początku 1918 r. urodziło się kolejne dziecko - dziewczynka, niezdolna do życia, zmarła po paru dniach.

Rok 1918. Rewolucja w pełni. Następuje kompletne załamanie gospodarcze. Nie ma mowy o jakichkolwiek inwestycjach czy robotach. Ojciec decyduje się na zwinięcie firmy i powrót do Polski. Razem z naszą rodziną jest 40 osób, pracowników firmy wraz z rodzinami. Jeden z pracowników zgłasza się do ojca:

-“Panie inżynierze, wracamy do kraju salonką. Ja przez dwa lata ukrywałem u siebie w domu, karmiłem i ubierałem jednego z czołowych rewolucjonistów, na głowę którego byłaznaczona przez carat nagroda - ryzykowałem życiem swoim i rodziny. Teraz on może mi się odwdzięczyć.”

-“Niechże pan do niego idzie” - powiedział ojciec.

Po godzinie pracownik wrócił błądy, trzęsący się ze zdenerwowania:

-“Ten łotr pokazał na dłoń i powiedział, że tu mu włosy wyrosną jeśli takiego burżuja jak ja z Rosji wypuści.”

Aby wykupić bilety na kolei trzeba było naprzód otrzymać na to zezwolenie od odpowiednich władz. Z trudem udało się je załatwić, ale po bilety ojciec poszedł osobiście i sam. Odczekał aż się skończyła kolejka do kasy i podszedł jako ostatni podając zezwolenie na kupno 40 biletów do Warszawy. Kasjerka aż się zachnęła:

“Chyba pan oszalał. Skąd panu wezmę 40 biletów.”

Na co ojciec bez słowa wyjął z kieszeni kilogramową głowę cukru i położył jej na biurku. A był już wtedy ostry głód i cukru od dawna nikt nie widział. Kasjerka chwyciła cukier, schowała i powiedziała:

“Niech pan przyjdzie za pół godziny.”

Za pół godziny było 40 biletów. Wcale to jednak nie oznaczało, że podróż mogą odbyć w wagonie osobowym. Po dalszych żmudnych i denerwujących pertraktacjach udało się ojcu uzyskać wagon bydłocy dla wszystkich pracowników firmy wraz z rodzinami. Trzeba go było najpierw porządnie sprzątnąć nim można było wejść do niego z rzeczami i dziećmi. Podróż była mordercza. Pociąg co kilkanaście kilometrów stawał i nigdy nie było wiadomo czy w ogóle ruszy. Często konduktor chodził wzdłuż wagonów zbierając datki na “posmarowanie maszynisty”. Jedyne urządzenie sanitarne to dziura wybita w podłodze wagonu obstawiona kuframi i walizami, aby

stworzyć ustronny kącik. Zatrzymywali się na stacjach, ale nigdy nie było wiadomo na jak długo. Czasem na stacjach udało się umyć albo dostać kapiatok na herbatę. Zaopatrzenia praktycznie nie było żadnego, żywili się własnymi zapasami, zaoszczędzonymi na drogę już w czasie głodu ze swoich skąpych racji żywnościowych, czasem szukali żywności w przystajnych domostwach, ryzykując odejście pociągu. Jazda z Moskwy do granicy Polski trwała trzy tygodnie.

Na granicy, w Orszy, felczer kontrolujący stan sanitarny jadących, stwierdził u 6-cio letniego Zbysia wysypkę i rozpoznał szkarlatynę. Zażądał zostawienia dziecka na 3 tygodnie kwarantanny. Rozpacz rodziców! Co robić? Przecież nie zostawią go samego. Bilet jest zbiorowy, na 40 osób, a nie sposób zatrzymać całą grupę. Na szczęście znalazł się rozsądny lekarz, który stwierdził pogryzienie przez pchły i odwołał szkarlatynę.

Kiedy wreszcie jechali całą rodziną wraz z panną Heleną z dworca kolejowego w Warszawie do mieszkania na Marszałkowskiej 9 po drodze zajechali do kościoła Zbawiciela, wszyscy na kolana i dziękowali Bogu za cudowne wyprowadzenie z bolszewickiego raju.

Był to sierpień 1918 roku. Trwała jeszcze w Warszawie okupacja niemiecka. Wojna skończyła się 11 listopada 1918r., a wraz z jej końcem nastąpiło odrodzenie państwa polskiego.

### **Ojciec w aparacie państwowym**

Firma Drzewiecki i Jeziorański straciła wskutek rewolucji ogromny majątek w Rosji i co gorsze wielki rynek zbytu, obejmujący całe imperium rosyjskie. Straciła też cały majątek w Polsce, gdyż w czasie działań wojennych zakłady firmy zostały kompletnie zniszczone i rozgrabione. Pozostali jednak ludzie z inicjatywą, którzy rozpoczęli odbudowę firmy w bardzo trudnych warunkach.

Ojciec był stale członkiem jej zarządu, aż do likwidacji firmy (w 1951 r.)

Równocześnie, w listopadzie 1918 r. ojciec rozpoczął pracę w powstałym właśnie Ministerstwie Przemysłu i Handlu, na stanowisku kierownika sekcji Odbudowy Przemysłu (równy dzisiejszemu dyrektorowi departamentu). Było to stanowiska bardzo trudne i odpowiedzialne.

Trzeba pamiętać, że nowopowstałe państwo polskie było niesłychanie wyniszczone przez działania wojenne i obce armie, które przetaczały się po ziemiach polskich. Przemysł był w ruinie i należało jak najszybciej przystąpić do jego odbudowy i uruchamiania zakładów pracy. Ojciec uważał za sprawę priorytetową utworzenie własnego wyjścia na Bałtyk dla polskich towarów, głównie węgla i uniezależnienie się od Gdańska - stąd koncepcja ojca budowy portu w Gdyni, zrealizowana kilka lat później przez Eugeniusza Kwiatkowskiego. Założeniem ojca było aby polski węgiel wydobywany przez polskich górników był transportowany polskimi kolejami do polskiego portu, a stamtąd polskimi statkami w świat.

Po roku zaproponowano ojcu stanowisko dyrektora Banku Handlowego, gdzie do końca 1923 r. prowadził sprawy związane z przemysłem i gdzie miał częsty kontakt z Wł. Grabskim, późniejszym premierem, oraz z Ignacym Mościckim, późniejszym prezydentem Polski.



1 stycznia 1924 r. na prośbę premiera Grabskiego objął tekę wiceministra skarbu (ministrem był wówczas premier). Mimo iż zmiana stanowiska wiązała się ze znacznym uszczupleniem dochodów, co przy konieczności utrzymania licznej rodziny [poza naszą piątką utrzymywał jeszcze dwie niezamężne siostry] było niebagatelnym problemem.

Będąc w Ministerstwie Skarbu stał się najbliższym współpracownikiem premiera i współrealizatorem słynnej reformy walutowej i stabilizacji budżetowej kraju. Prowadził pertraktacje o pożyczkę amerykańską, ale był przeciwny zaciąganiu pożyczek na cele konsumpcyjne, a jedynie na potrzeby inwestycyjne. Uważał, że sanacja finansowa państwa musi być dokonana wysiłkiem własnym społeczeństwa i dopiero potem można starać się o pomoc zagraniczną. Kontynuował też starania w sprawie budowy portu w Gdyni. W maju 1925 r. po ustąpieniu min. Kiedronia, ojciec objął stanowisko ministra przemysłu i handlu, nadal w rządzie Grabskiego.

Dowodziło to dużego zaufania ze strony premiera oraz polskich sfer gospodarczych, które miały niemały wpływ na obsadę stanowisk w tym resorcie.

Ojciec objął tę funkcję w bardzo trudnych warunkach. Cała gospodarka, a zwłaszcza przemysł, znajdowała się w poważnym kryzysie poinflacyjnym. Przy tym wygaszały zobowiązania Niemiec do bezcłowego importu z Polski wyrobów przemysłowych oraz węgla, polskiego "czarnego złota", co narzucił Rzeszy traktat wersalski.

W dniu mianowania ojca ministrem przemysłu i handlu Niemcy wstrzymali import węgla z Polski, licząc na to, że pogłębiający się kryzys gospodarczy zmusi młode państwo polskie do ustępstw politycznych i terytorialnych. Rząd polski w odpowiedzi na to wydał zakaz importu artykułów niemieckich do Polski - było to wypowiedzenie wojny celnej Niemcom. Na czele tej kampanii stał nasz ojciec, który uważał, że w tej sytuacji trzeba zaktywizować handel zagraniczny z innymi niż Niemcy krajami, równocześnie rozwijać intensywnie rodzimy przemysł i rzemiosło, aby zastąpić importowane towary polskimi. Wojna celna okazała się znakomitą dopingiem w tym zakresie. Pamiętam z dzieciństwa ogromne napisy na murach i plakatach:

"Kupuj tylko krajowe wyroby!"

Równocześnie z piastowaniem teki ministerialnej ojciec był zastępcą prezesa Rady B.G.K. (Bank Gospodarstwa Krajowego), odgrywającego zasadniczą rolę w rozbudowie naszej gospodarki, a zwłaszcza przemysłu.

W listopadzie 1925 r. po 23 miesiącach urzędowania ustąpił rząd premiera Grabskiego (poprzednie rządy upadały średnio po 2 tygodniach), a wraz z nim ustąpił ojciec. W okresie rządów Grabskiego udało się rozwiązać podstawowe problemy kraju i stworzyć podwaliny stabilizacji.

Mimo poważnych zastrzeżeń i rozgoryczenia panującymi stosunkami ojciec zgodził się objąć czasowo kierownictwo Ministerstwa Skarbu w rządzie A.Skrzyńskiego, ale do rządu nie wszedł. Zaproponowano mu równocześnie objęcie stanowiska prezesa Towarzystwa Starachowickich Zakładów Górniczych S.A. będących w dużej części własnością kapitału zagranicznego. Ojciec zgodził się mimo, że Zakłady były w fatalnej sytuacji, częściowo unieruchomione i zdewastowane. Z wielką energią i rozmachem przystąpił do reorganizacji i rozbudowy upadającego Zakładu.

Dość powiedzieć, że w chwili objęcia przez ojca prezesury, Zakłady zatrudniały 600 pracowników, zaś w momencie wybuchu wojny pracowało w nich 12 tysięcy ludzi.

Pracę w Zakładach Starachowickich przerwało ojcu powołanie na stanowisko ministra skarbu w rządzie K.Bartla. W tym okresie mimo poważnych osiągnięć napotykał na trudności ze strony Marszałka Piłsudskiego oraz prezydenta Mościckiego, którym zdarzało się podejmować decyzje wchodzące w zakres kompetencji ministra, a będące w sprzeczności z założeniami ojca. Ponadto ciągle rozgrywki polityczne między marszałkiem a sejmem utrudniały jego pracę. We wrześniu 1926 r. Bartel zgłosił dymisję swego rządu. Nowy gabinet tworzył sam marszałek i proponował ojcu pozostanie na stanowisku ministra skarbu. Ojciec jednak wysunął szereg żądań, zwłaszcza zapewnienia, że polityka skarbowa będzie prowadzona w ramach budżetu zatwierdzonego przez sejm. Piłsudski na to się nie zgodził, wobec czego ojciec odmówił wejścia do rządu i całkowicie wycofał się z aparatu państwowego.

### Rok 1922

Kiedy siedmioletnia Marysia dowiedziała się, że tej nocy urodziła się jej siostrzyczka ogromnie się ucieszyła, że wreszcie będzie miała w domu dziewczynkę do zabawy. No, bo cóż to za zabawa z dużo starszymi braćmi. Nic, tylko kopią piłkę albo się boksują. Jakież było jej rozczarowanie, kiedy pokazano jej zawiniątko z czymś czerwonym, pomarszczonym i raczej obrzydliwym w środku. O zabawie ani mowy, a jeszcze każą cicho się zachowywać.

To byłem ja. Nieprzewidziany nadprogram w rodzinie i zdaje się, powód dużego niepokoju matki - miała już 43 lata, była drobną, szczupłą kobietą, fizycznym zaprzeczeniem matki-rodzicielki. A ja byłem jej szóstym dzieckiem. Kiedy miałam pół roku obie z matką zachorowałyśmy na koklusz. Wtedy była to choroba bardzo ciężka - nie było jeszcze antybiotyków. Wiadomo, że każda choroba wieku dziecięcego przechodzona w wieku późniejszym, nawet dziś, jest poważnym problemem. Wtedy było to po prostu bardzo groźne, zwłaszcza kiedy organizm był wyniszczony licznymi ciężarami. Matka chorowała długo i ciężko, wręcz obawiano się o jej życie.

Oczywiście nie mogła mnie karmić - wszystkie starsze dzieci sama wykarmiła. Nie było wtedy mleka w proszku, nie znano mieszanek mlecznych wzięto więc mamkę, ale ja nie życzyłam sobie obcej piersi (podobno była owłosiona) i rozpoczęłam strajk głodowy. Z opowiadań rodzinnych wiem, jakie cyrki odbywały się w domu, żebym zniecka przełknęła choć łyk mleka - ojciec przed wyjściem do pracy nosił mnie na rękach i śpiewał arie z włoskich oper (miał dobry baryton) chłopcy stawali na rękach albo urządzali orkiestrę, panna Helena bujała mnie i zabawiała na różne sposoby.

Kiedy dużo później skarżyłam się pani Helenie (wówczas już dawno była mężatką) że tyle kłopotu sprawia mi moja malutka córeczka, okropny niejadek, z całą powagą powiedziała:

“Koteczku, to kara boska za to co ja z tobą miałam.”

Jakoś wyżyłam, choć brak apetytu został mi na całe dzieciństwo. Gorzej było z matką. Nawet kiedy minęło zagrożenie życia była tak osłabiona, że przez wiele lat nie mogła dojść do siebie, a właściwie do końca życia nie była całkiem zdrowa.

W okresie kiedy matka wyjeżdżała na leczenie czy do sanatorium, dom prowadziła panna Helena, nasz kochany Liliś, podpora naszego dzieciństwa pod nieobecność mamusi i przy zapracowanym ojcu, który, z wyjątkiem niedziel pracował po 12 - 14 godzin dziennie.

## Matka

Nasza matka łączyła w sobie ogromne uczucie, dobroć i czułość dla nas, swoich dzieci, [nie mówiąc o ojcu, w którego była do końca życia zapatrzona] z surowością zasad, zapewne wyniesionych z domu rodzicielskiego, ale czasem anachronicznych w wieku XX-tym. Byliśmy wychowywani surowo. Widocznie matka obawiała się, żeby wysokie stanowiska ojca nie przewróciły nam w głowach, więc nigdy nie były one dla nas powodem do chwały ani wynoszenia się ponad rówieśników. Już po II wojnie światowej szkolny kolega Jerzego opowiedział jak nauczyciel w klasie wypytywał kolejno uczniów o zawód i stanowisko ich ojców. Nasz ojciec był wtedy ministrem skarbu. Jerzy wstał i powiedział krótko:

“Urzędnik państwowy.”

Ubierani byliśmy bardzo skromnie, nawet w okresie pracy ojca w przemyśle, po 1926 r. kiedy był człowiekiem zamożnym i rodzinę stać było na wiele, my obie z Marią należałyśmy do najgorzej ubranych dziewczynek w klasie - matka tępiła najmniejsze ślady próżności. Kiedy podrosłam moje sprawunki toaletowe odkładałam na czas wyjazdów matki, bo ojciec zawsze bez dyskusji i prośb dawał mi pieniądze na nowe sukienki, upominał tylko:

“Poradź się Marysi.”

Wprawdzie ojciec mawiał:

“Mama locuta - causa finita”

trawestując rzymskie przysłowie:

“Roma locuta - causa finita” - Rzym powiedział - sprawa skończona, i jeśli mama coś zdecydowała nie było nad tym dyskusji, ale pod jej nieobecność czułem się zwolniony ze zwalczania u mnie próżności. Zresztą nie wykorzystywałam zbytnio sytuacji. Surowość zasad stosowała matka również do siebie i swojego sposobu ubierania się - choć z czasów gdy była młoda zachowało się parę jej sukien balowych ślicznych i eleganckich. Ja pamiętam mamusię zawsze w ciemnych skromnych sukniach, bez żadnych ozdób. Nie pozwalała też ojcu kupować sobie biżuterii, co później, w czasie wojny okazało się fatalne - wiadomo, że biżuteria nieraz ratowała ludzi w ciężkich opresjach.

Nawet obrączek ślubnych rodzice nie mieli, bo kiedy tuż po odzyskaniu niepodległości w 1918-19r. ogłoszono zbiórkę wyrobów złotych i srebrnych na Fundusz Narodowy, aby wspomóc ubogi skarb świeżo powstałego państwa, rodzice oddali całą swoją posiadaną biżuterię i całą srebrną zastawę. Dopiero znacznie później, w okresie rodzinnego prosperity, matka zgodziła się na kupno paru sztuk biżuterii “od wielkiego dzwonu”.

Byliśmy chyba tzw. “dobrymi dziećmi”, bo nie przypominam sobie żadnych prób buntu czy sprzeciwu wobec zasad wychowawczych matki, nie pamiętam też jej podniesionego głosu. Poddawaliśmy się bez dyskusji. Jednak kiedy podrośliśmy mieliśmy znacznie bliższy, bardziej szczerzy kontakt z ojcem.

Surowe też było matki podejście do spraw damsko-męskich. W domu nie używało się słowa miłość, mimo, że właśnie miłość panowała w naszej rodzinie. Nie mówiło się, że ktoś jest zakochany. Takie uczucia pomijało się wstydliwym milczeniem. Nie było to słuszne, prowadziło do tego, że nikomu z nas nie przyszłoby do głowy przyjść z tzw. sprawami sercowymi do matki, zresztą do ojca ani do siebie nawzajem też nie,

mimo, że byliśmy bardzo ze sobą zżyci. Do zasad surowego wychowania należała też kuchnia w naszym domu. Gotowało się zdrowo, pożywnie ale przaśnie, bez przypraw, bez frykasów, bez dosmaczania. Sprzyjała temu długotrwała choroba przewodu pokarmowego ojca - przewlekły nieżyt czy owrzodzenie żołądka - i konieczność stosowania diety. Wobec czego byliśmy skazani na jądanie co najmniej raz dziennie kasz, bo to zdrowe, ale trzeba stwierdzić, nie pobudzające apetytu.



*Srebrne wesele rodziców 1932r.  
Stoją od lewej: Janusz, Jerzy, Zbigniew  
Siedzą: moja matka Florentyna, Jadwiga, Czesław*

Chłopcom jakoś to nie zaszkodziło, ale mój i Marysi brak łaknienia w dzieciństwie nie poprawiał się przy gotowanym mięsie ani kolacjach złożonych z kasz na gęsto ze skwarkami albo kompotem. Pamiętam, że kiedy wymykałam się do kuchni i kucharka częstowała mnie smażoną cebulką na razowym chlebie albo smażyła mi naleśniki cieniutkie i chrupiące wcinałam aż mi się uszy trzęsły.

Była nasza matka gorącą zwolenniczką sportu, gimnastyki, ruchu na świeżym powietrzu, co w tamtych czasach było zupełnie nowatorskie. Kiedy była panną - na przełomie wieku XIX i XX - działała w Lublinie i okolicach dziedziczka dużego, wzorowo prowadzonego majątku, pani Kleniewska, osoba z ogromnym społecznikowskim zacięciem, realizująca pozytywistyczne hasła pracy od podstaw. Organizowała grupy młodych panien, zapraszała do swojego majątku i uczyła racjonalnego prowadzenia gospodarstwa. Po czym wybrała się z pannami do Szwecji, gdzie kultura była o niebo wyższa niż w Polsce pod rozbiorami, i gdzie zwiedzały między innymi farmy i szkoły. Wrażenie jakie zrobiły na matce lekcje wychowania fizycznego w żeńskiej szkole i widok młodych ludzi uprawiających wodne sporty był tak silny, że postanowiła sobie iż jeśli kiedyś będzie miała dzieci będą one wysportowane.

Ponieważ była osobą upartą dopięła swego przy naszym wielkim "w tym temacie" entuzjazmie. Pamiętam rozmowę matki z jedną z ciotek, która chwaliła się, że jej synowie bardzo dużo się uczą, nie trwonią czasu na zabawy i mają same piątki w szkole. Nasza mama wzruszyła ramionami:

"Ja wolę, żeby moi chłopcy mieli trójki, ale za to dużo grali w piłkę."

Obie z Marią - choć nieraz narzekałyśmy - winne jesteśmy naszej matce dozągoną wdzięczność za jej surowe wychowanie - mimo służby i mimo bardzo dobrych warunków finansowych - za wymaganie od nas pomocy w kuchni i przy sprzątanii, za wymaganie cerowania naszych pończoch i drobnych reperacji bielizny i ubrań. Kiedy przyszły ciężkie czasy, znikła służba, a zjawiły się dzieci, potrafiłyśmy sobie poradzić w naprawdę trudnych warunkach. Najtrafniej ujęło sprawę jedno z moich wnucząt mówiąc z pełnym przekonaniem:

"Babcia wszystko potrafi."

\*\*\*

Ministerialne czasy ojca, choć byłam całkiem mała, pamiętam jako ciężkie czasy rodziny pod względem finansowym. Nowo-odrodzone państwo polskie nie było w stanie wynagradzać właściwie swoich urzędników. Mowy nie było o mieszkaniach służbowych, dodatkach funkcyjnych itp. Przypominam sobie, że moi bracia, zapaleni futboliści, nie mieli prawdziwej piłki do grania - nie stać było na nią - grali tzw. szmacianką czyli własnoręcznie przez nich uszytą twardą kulą ze szmat. Ja donaszałam koszule nocne po chłopcach białe, płócienne, nieraz łatanne, z kolorowymi wstawkami pod szyją. A Maria, dla której sprawy ubraniowe były zawsze ważne, wspomina ze zgrozą granatowy ciężki płaszcz z wytartym kołnierzem, z którego wyrosli chłopcy, i który pętał się jej koło kostek, kiedy dla dziewczynek modne były krótkie, jasne, wcięte płaszczki.

Z tego okresu pamiętam urocze wakacje na Zamojszczyźnie w Bondyrzu, w leśniczówce w wielkich lasach nad Wieprzem. Przy leśniczówce było całe duże gospodarstwo ze wszystkimi możliwymi zwierzętami. Raj dla dzieci.

Najbardziej upamiętniła mi się gęś Pylunia, która chodziła za mną jak psiak, a kiedy Liluś układała mnie na kocu na poobiednią drzemkę, Pylunia mościła się tuż przy

brzegu koca i podnosiła straszliwy gwałt jeśli zbliżał się ktoś obcy. Pamiętam też niewyrośniętego chłopskiego konika, z którym bardzo zaprzyjaźnili się moi bracia i któregoś dnia wprowadzili po kilku schodkach do jadalnego pokoju strasząc mnie, że jeśli natychmiast nie zjem kaszki - a właśnie żywiołowo protestowałam przeciwko jedzeniu - to konik mi ją zje. Nie wiem czy to pomogło, ale koń w jadalni to duża rzecz.

Przeżyliśmy tam też emocjonującą przygodę - w prasie podano, że uciekł z więzienia groźny bandyta, Mucha, mający na sumieniu kilka zabójstw i wiele napadów rabunkowych. Podejrzewano, że może się ukrywać w lasach Zamojszczyzny nad Wieprzem. Kiedy wybraliśmy się któregoś dnia nad Wieprz do kąpieli, chłopcy zauważyli jakiegoś ponurego typu kryjącego się w krzakach. Byli pewni, że to Mucha. Porwali mnie na ręce i pędem pognali do leśniczówki, podnosząc wielki alarm. Okazało się jednak że to był tajniak - policjant przysłany jako ochrona dla ojca - ministra, który miał tego dnia przyjechać do nas.

### **Marszałkowska 9**

Nasze mieszkanie na Marszałkowskiej 9 było typowym, dość eleganckim, 5-cio pokojowym mieszkaniem warszawskim tamtego okresu, z podwórzem studnią, na które wychodziły okna dwóch ciemnych pokoi - jadalni i salonu, służącego też ojcu za gabinet. Okna trzech pokoi - sypialni rodziców, chłopców i Marii wychodziły na Pole Mokotowskie. Kuchnia była duża, z wnęką, w której sypiały kucharka i pokojówka i w której w określonych terminach odbywało się misterium wielkiego prania z udziałem dochodzącej praczki panny Franciszki. W dniach wielkiego prania cały rytm domowego życia ulegał zaburzeniu - sprzątanie odbywało się po łóbkach, obiad był łatwy, bo obie służące musiały pomagać w praniu, a ja nie miałam wstępu do kuchni - choć bardzo lubiłam tam przebywać - gdyż groziło niebezpieczeństwo w postaci gotujących się ogromnych garów z bielizną. Inne niebezpieczeństwo domowe groziło w łazience - był to wielki piec opalany węglem a ogrzewający wodę do kaloryferów w całym mieszkaniu, tzw. ogrzewanie etażowe, szczyt ówczesnej nowoczesności. W piecu tym zginął tragicznie nasz ukochany kanarek Maciuś, tak oswojony, że latał swobodnie po mieszkaniu, siadał nam na głowach i ramionach skubiąc dziobkiem policzki. Płacz po jego stracie był przeogromny.

Pole Mokotowskie częściowo zajęte przez wyścigi a częściowo służące jako lotnisko dla nielicznych wówczas samolotów stanowiło dla nas ogromną atrakcję. Z naszego balkonu na trzecim piętrze mogliśmy obserwować wyścigi konne - co prawda tylko część toru wyścigowego dość odległego od mety - oraz odbywające się na Polu Mokotowskim międzynarodowe zawody lotnicze w których polscy lotnicy często zdobywali czołowe miejsca. Widzieliśmy niczym z łoży honorowej, skomplikowane akrobacje wykonywane brawurowo na samolotach, które dziś wydawałyby się dziecinnymi zabawkami.

### **Przewrót majowy**

Moje najdawniejsze wspomnienia łączą się z majem 1926 r. Miałam wtedy trzy i pół roku. Świetnie pamiętam nastrój wielkiego niepokoju. Wszyscy siedzieliśmy w jadalnym pokoju lub gabinecie ojca, których okna wychodziły na podwórze. Na Polu Mokotowskim słychać był strzelaninę. Nie wolno było wchodzić do pokoi od strony

Pola - jeśli tylko ktoś pokazał się tam w oknie - strzelali. Szyby były wybite, podłoga zasłana odłamkami szkła i tynku, a wysoka, wąska szafka stojąca przy oknie w pokoju chłopców była postrzelana jak sito. Bracia rozłożyli na stole coś bardzo dziwnego - na desce umocowali szpule ze zwojami cienkiego drutu, jakimś szpikulcem skrobali po kryształku, do uszu przykładali okrągłą słuchawkę i emocjonowali się

“Słyszać, słyszać, mówi!” Było to pierwsze radio w naszej rodzinie, w dodatku wykonane własnoręcznie przez braci. Pamiętam, że kiedy strzelanina ustała i można było wyglądać na Pole Mokotowskie zdziwił mnie widok licznych ludzi dźwigających nosze, na których leżeli nieruchomo żołnierze. Na moje pytanie

“Czemu oni tacy czerwoni?”

niania odpowiedziała:

“Farba czerwona na nich się wylała. Idź się bawić do jadalni.”

\*\*\*

Kiedy miałam 5 czy 6 lat zaczęły się tajemnicze szepty między mamą a panną Heleną, nagle przerywanie rozmowy na mój widok, znaczące spoglądanie na mnie. Nie byłam gapa. Bardzo szybko zorientowałam się, że panna Helena wychodzi za mąż i przestanie u nas pracować i obie panie boją się, że rozstanie z nią będzie dla mnie szokiem - byłam bardzo przywiązana do naszego Lilusia. Ale dla mnie sam fakt, że ktoś w domu wychodzi za mąż był takim ewenementem, że pozwolił mi względnie bezboleśnie przeżyć tę stratę. A jeszcze kiedy się dowiedziałam, że to ja mam w kościele podawać obrączki, poczułam się tak ważna, prawie jakby to był mój ślub. Ślub był cichy, panna młoda [chyba już pod czterdziestkę] w eleganckim kostiumie, pan młody w ciemnym garniturze, po ślubie było skromne przyjęcie u nas w domu. Młoda para zamieszkała w dwu-pokojowym mieszkanku na ul. Wroniej, z kuchnią, ubikacją, bez łazienki, ale z pianinem, na którym żadne z nich nie umiało grać. Od czasu do czasu w sobotę, mąż Lilusia pan Aleksander, (majster budowlany) przyjeżdżał po mnie i Marysię i jechaliśmy tramwajem do nich, na Wronią na ciastka i herbatę.

### Lekcje muzyki

Nasza matka nie była muzykalna, ale jej matka, a nasza babka – Florentyna z Suligowskich Jaworowska - - miała podobno dobry słuch i ładnie grała na fortepianie. W owym czasie umiejętność gry na jakimś instrumencie należała do dobrego wychowania. Wobec czego, nasza mama licząc na to, że zdolności przeskoczą jedno pokolenie, wszystkich nas - swoje dzieci - postanowiła uczyć gry na fortepianie, począwszy od wieku 7 - 8 lat. Niestety zdolności nie chciały przeskoczyć. Najbardziej zdecydowanym oponentem wobec tej części naszego wychowania okazał się Janusz. Już po pierwszej lekcji oświadczył twardo, że uczyć się gry nie będzie. A kiedy jednak nauczycielka przyszła do niego na drugą lekcję, włożył pod łóżko i nie było ludzkiej siły, żeby go stamtąd ruszyć dopóki nauczycielka nie wyszła z mieszkania. Dano mu spokój. Istotnie miał drewniane ucho. Maria i Jerzy też nie wykazywali żadnego entuzjazmu dla fortepianu. Marię męczono jeszcze jakiś czas, bo wypadało, żeby panienska umiała grać, ale ona zdecydowanie wolała grać w szachy, a później w bridża. Chyba tylko Zbigniewowi i mnie muzyka sprawiała przyjemność i doszliśmy do pewnej biegłości. Ja jestem

zupełnie pozbawiona słuchu, fałszuję nawet śpiewając dzieciom - aaa kotki dwa....- ale po prostu lubię muzykę poważną.

W okresie okupacji, kiedy nie było radia, koncerty były konspiracyjne i tej muzyki było stale brak, ćwiczyłam pilnie, chodziłam na lekcje i doszłam nawet do koncertu G-mol Mendelsoana na dwa fortepiany. A dziś z trudem potrafię wystukać jednym palcem - wlaź kotek.....

### **Ojciec - menedżer polskiego przemysłu**

Po odejściu z aparatu państwowego we wrześniu 1926 r. ojciec skoncentrował się na odbudowie i rozbudowie Starachowic, na ich uniezależnieniu od kapitału zagranicznego (głównie francuskiego -Schneider-Creusot) - spowodował przejęcie akcji przedsiębiorstwa z rąk obcych przez Bank Gospodarstwa Krajowego, zadbał o portfel zamówień, głównie przez Ministerstwo Spraw Wojskowych. Przedsiębiorstwo rozwijało się niezwykle szybko i doskonalilo produkcję, zwłaszcza zbrojeniową. Rozbudowana huta oraz zakłady mechaniczne stały się wkrótce przodującymi w kraju. Wokół zakładów powstała bogata infrastruktura - budowano osiedla mieszkaniowe dla pracowników (Orłowo, Klarnerowo I i II), szpital, szkołę zawodową, technikum, stację kolejową.

Doceniając osiągnięcia ojca w Starachowicach, znany finansista i przemysłowiec A.Rotwand w 1927 r. poprosił go o objęcie stanowiska wiceprezesa Zarządu Towarzystwa Zakładów Mechanicznych Lilpop, Rau i Loewenstein, jednego z największych wówczas w Polsce przedsiębiorstw przemysłu metalowego, a znajdującego się w poważnych trudnościach finansowych. Równocześnie ojciec wszedł do Rady Banku Zachodniego. Od tego czasu rosła stale ilość piastowanych przez niego eksponowanych stanowisk w przemyśle zarówno państwowym jak prywatnym.

Wydaje się wprost nieprawdopodobne aby jeden człowiek był w stanie panować nad tak rozgałęzioną działalnością. Niewątpliwie jego ogromne zdolności organizacyjne i pracowitość były tu niezastąpione. Wymienię tu tylko najważniejsze ojca stanowiska - był prezesem Warszawskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, prezesem Związku Izb Przemysłowo-Handlowych Polski, vice-prezesem Rady Nadzorczej Polskich Kopalni Skarbowych [Skarbo-ferm], na prośbę prezydenta Mościckiego był prezesem Rady Administracyjnej w Zakładach Azotowych Chorzów i Mościce, vice-prezesem Rady Nadzorczej Stoczni Gdyńskiej, członkiem Zarządu Towarzystwa Elektrycznego, odgrywał istotną rolę w Lewiatanie, od 1936 r. był prezesem Huty Pokój, od 1937 r. był prezesem Rady Nadzorczej Zakładów Południowych w Stalowej Woli, którymi kierował do wojny. Zakłady Południowe powstały jako spółka BGK, Starachowic oraz Huty Pokój. Były wzorem dobrej organizacji pracy. Po upływie zaledwie 9-ciu miesięcy od chwili ścięcia pierwszej sosny w nadsanockim borze, ruszyła pierwsza produkcja Zakładów, a po 18-tu miesiącach całość inwestycji była gotowa do pełnej produkcji.

Można powiedzieć, że nic w polskim przemyśle okresu międzywojennego nie działało się bez udziału ojca. Ojciec nigdy nie należał do żadnej partii ani stronnictwa. Wszystkie swoje eksponowane stanowiska zawdzięczał wyłącznie swojej wielkiej fachowości, zdolnościom, uczciwości. Był przy tym urodzonym optymistą, przemysłym



w bezpośrednim kontakcie i z ogromnym poczuciem humoru, choć szefem był wymagającym. Może to zabrzmieć banalnie, ale ojciec był po prostu bardzo dobrym człowiekiem.

Przy całym swoim zapracowaniu znajdował czas i dla nas – swoich dzieci. Bardzo lubiłam wspólnie z rodzicami niedzielne zwiedzanie kolejnych wystaw w Zachęcie, w Muzeum Narodowym czy Muzeum Wojska, którego dyrektorem był przyjaciel ojca Bronisław Gembarzewski. Byliśmy też stałymi bywalcami w Operze. Ojciec był wielbicielem oper włoskich i nie raz pośpiewywał ulubione arie.

\*\*\*

Wszyscy trzej moi bracia, zapaleni harcerze, uczęszczali do szkoły im. Staszica, a że również trzej nasi bracia stryjeczni - Witold, Tadeusz i Stefan - chodzili do tej samej szkoły, było powszechnie wiadomo, że u Staszica w każdej klasie jest jakiś Klarner. Był to okres, kiedy każda szkoła miała swój odrębny mundur, a szkoły męskie prześcigały się w oryginalności czapek. Pamiętam zabawny wierszyk:

“Kepi wojska francuskiego  
nosi małpa od Górskiego  
a tą małpą się zachwyca  
inna małpa od Staszica.”

Maria początkowo uczyła się na prywatnych kompletach razem z kilkorgiem dzieci, między innymi z Zygmuntem Rodowiczem, z którego bratem Jankiem, później ja się uczyłam. Dopiero do gimnazjum poszła do szkoły im. Królowej Jadwigi.

### **Kazimierz**

W poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na wakacje dla naszej piątki ojciec odkrył Kazimierz nad Wisłą, a właściwie Wapienną Górę 2 km od miasteczka, cudownie położoną wysoką skarpe wiślaną na wprost ruin zamku Firlejów po przeciwnej stronie Wisły, w Janowcu. Początkowo ojciec wynajmował jedyną znajdującą się tam willę Albrechtówkę, własność inż. Albrechta - dziś to ruina tzw. Szukałki.

Albrechtówka zbudowana była z kazimierskiego kamienia, w stylu kazimierskich spichlerzy, oryginalna na zewnątrz, ale ciemna, zimna i ponura w środku. Kiedy się okazało, że nasza schorowana mamusia świetnie się w Kazimierzu czuje, ojciec kupił dwa hektary ziemi na Wapiennej Górze i w 1928 r. wybudował dom.

Z budową domu wiąże się moja przygoda, która mogła się skończyć całkiem źle. Zanim przystąpiono do budowy domu trzeba było wykuć w litej skale wapiennej (stąd nazwa Wapienna Góra) studnię. Któregoś dnia poszliśmy z Januszem, kiedy robotnicy odeszli po fajrancie, zobaczyć co już zrobili. Studnia miała dopiero ok.3 m. głębokości (po ukończeniu miała 57 m.) na dnie leżały kilofy i oskardy. Urąbany kamień wydobywano na powierzchnię przy pomocy kołowrotu. Zaczęłam się na nim kręcić, ale szło mi to dość opornie.

“Daj, zakręcę cię porządnie!”



*Mój ojciec Czesław Klarner*

- ofiarował się Janusz, który zawsze wszystko robił porządnie. Jak mnie zakręcił, to mnie się zakręciło w głowie, puściłam kołowrót i wylądowałam w studni. Musiałam stracić przytomność, bo mam tylko urywki filmu; przerażona twarz Janusza nade mną, jego karkołomne wyczyny żeby wydostać się razem ze mną ze studni, popłoch w domu, w Albrechtówce i porcja rycyny, którą we mnie wlano – chyba dlatego, że wymiotowałam. A ja wymiotowałam, bo zapewne miałam wstrząs mózgu, co nikomu nie przyszło do głowy.

Drugą ofiarą budowy domu był sam ojciec - doglądając budowy spadł z drabiny i złamał rękę. Był pierwszym rodzinnym pacjentem w szpitalu w Puławach.

Nasz nowy dom był drewniany, częściowo modrzewiowy, z łamanym dachem krytym gontem, miał wielki taras po stronie południowej, z widokiem na las, po przeciwnej stronie domu werandę pod dachem, z widokiem na Wisłę, służącą nam za jadalnię w pogodne dni. Elektryczności ani gazu wtedy nie było, były więc lampy naftowe i świece, a gotowało się na kuchni węglowej. Wodę do łazienek i kuchni doprowadzał wodociąg ze studni. Wodę do wodociągu pompował kieratem przy pomocy chudego konia zaprzyjaźniony pan Gąsiorek z Okala. Była też w kranach ciepła woda, z bojlera nad kuchnią, ale mieliśmy zapowiedziane, że kąpiel w wannie to przywilej rodziców. My młodzi, mamy się kąpać w czystej wówczas Wiśle. Wokół domu był hektar ogrodu z sadem, warzywnikiem i z ogrodem kwiatowym z mnóstwem róż - oczkiem w głowie naszej matki - nieustannie zajętej ich pielęgnowaniem. Były piękne. Drugi hektar było to strome zbocze skarpy zarosnięte leszczyną – wspaniałe miejsce do zabawy w Indian. Dozorca mieszkał w osobnym domku, oddzielonym od naszej części rzędem akacji.

Od wybudowania domu wszystkie wakacje spędzaliśmy w Kazimierzu wraz z licznymi kuzynami i kolegami chłopców. Wkrótce po naszym domu, wybudowano na Górze kilka willi i pensjonatów, przyjeżdżało sporo młodzieży, tak, że zawsze mieliśmy towarzystwo.

Nasza matka przyjeżdżała do Kazimierza już w maju, dopilnować robót w ogrodzie, mieliśmy więc różne własne jarzyny i owoce. Rodzice zadbali żebyśmy mieli dość atrakcji w Kazimierzu. Ponieważ główną atrakcją była dla nas Wisła, kazimierzowski szkutnik, pan Piskorek, mistrz w budowaniu ciężkich, płaskodennych puchówek, jedynych łodzi używanych w tej okolicy, wykonał dla nas łódź wiosłową, na dwie pary dulek, z ruchomymi siodełkami. Łódź była tak duża i ciężka, że z mety ochrzciliśmy ją kryptą, a żeby ją przed zimą wyciągnąć z rzeki i schować w szopie o 50 metrów od brzegu, trzeba było dwóch koni i kilku silnych mężczyzn. Za to mieściło się w niej wielu amatorów do pływania po Wiśle.

Drugą łodzią wykonaną dla nas przez pana Piskorka była żaglówka. Była to solidna, nie należąca do żadnej klasy łódź, równie ciężka i kłopotliwa przy wyciąganiu z wody, jak poprzednia, wymagająca nie lada umiejętności żeglarskich, aby ją zmusić do posłuchu, gdyż mimo swej ogromnej wagi, przy zwrotach lubiła się przewracać. Jedna z pierwszych wywrotek udała się Jerzemu. Wyłynął z niezbyt fachową i nie umiejącą pływać załogą, w postaci naszego kuzyna Kazia, rodzinnej ofiermy z anty-talencem sportowym, oraz z naszą Mademoiselle, Francuzką, która spędzała z nami wakacje ćwicząc nas w języku. Jerzemu, wówczas studentowi politechniki w

Gdańsku, przyzwyczajonemu do zwrotnego jachtu morskiego, do głowy nie przyszło, że taka ciężka łódź może się przewrócić. Na środku Wisły chciał zrobić zwrot przez rufę, a nasza landara się wywaliła. Kazio - dziecko szczęścia - dziecko już pełnoletnie, wpadł do żagla, który utrzymał go na powierzchni, a wrzeszczącą Francuzkę Jerzy zdołał wyciągnąć za obfitą fryzurę i przytrzymać przy burcie dopóki nie dopłynęła pomoc.

Maria natomiast wsławiła się próbą staranowania statku holującego krypę naładowaną kamieniami. Otóż, jedną z naszych ulubionych zabaw było wypływanie wplaw albo łodzią na fale wytwarzane przez statek i huśtanie się na nich jak na morzu. Wisła wówczas była głęboka, stanowiła ważny szlak komunikacyjny.

Pływały po niej holowniki ciągnące wielkie krypy naładowane głównie kazimierzowskim kamieniem oraz statki pasażerskie, które dawały najlepsze fale. Kiedyś będąc na plaży zauważyliśmy statek płynący w górę rzeki. Część towarzystwa rzuciła się wplaw, a część wsiadła do łodzi – Maria przy sterze, dwaj chłopcy przy wiosłach, na dziobie 16-letnia Necia świetna pływaczka. Nikt nie zauważył, że statek płynący wprost na nich holuje krypę. Kiedy byli już całkiem blisko statku, ten rycząc syreną, wykonał na zakolu Wisły skręt i wtedy z za niego ukazała się tuż-tuż ogromna krypa, która siłą ciężkości i rozpędu waliła prosto na nich. W ułamku sekundy dziób łodzi znalazł się pod krypą, Necia przytomnie skoczyła do wody i zanurkowała, a chłopcy i Maria wykonali największe w swoim życiu skoki wzwyż na krypę załadowaną kamieniami. Łódź poszła pod krypę. Na szczęście statek płynął pod prąd, więc Necia kiedy zanurkowała była znoszona prądem w przeciwnym kierunku. Bała się tylko wypłynąć za wcześnie, żeby nie zostać pod dnem krypy, płynęła więc długo pod wodą, wypłynęła daleko i dzielna dziewczyna zbierała płynące z prądem siodełka i wiosła, aż wylądowała na dalekiej plaży. Kapitan statku wściekły, kazał dobić do przystani przy kamieniolomach obok naszej Góry i wymyślał chłopcom i Marii najgorszymi słowami – trudno mu się dziwić.

“Dokumenty!” - zażądał, a oni w kostiumach kąpielowych.

Chciał wołać policję, ale ojciec widział wszystko z góry. Zeszedł szybko do przystani i powagą swojej osoby załagodził kapitana. A do speszzonej i zdenerwowanej trójki powiedział wściekłym tonem:

“Osły jesteście!”

To była największa nagana jaką w życiu usłyszeliśmy od ojca. Łódź nieco poturbowaną, znoszoną z prądem udało się wyłowić i po drobnych naprawach znów nam służyła, ale już bez takich szaleństw.

## **Pożar Męcierz**

Pierwszego lata po naszym zamieszkaniu we własnym domu, straszna klęska dotknęła Męcierz, ubogą, małą wioskę rybacką, położoną tuż pod naszą Górą - wybuchł pożar, który strawił połowę wsi. Był to okres zniw, upał, susza, wszyscy dorośli w polu, prawdopodobnie dzieci pozostawione bez opieki zaproszyły ogień. Drewniane, kryte słomą chaty i zabudowania gospodarskie, stojące ciasno jedno obok drugich, paliły się jak zapałki. Nim ludzie przybiegli z pól, nim wezwano straż pożarną - najbliższy telefon był dopiero w Kazimierzu 2km. drogi, a straż w

Bochotnicy, następne 5 km dalej - nim przyjechała staż wozem konnym, z wielkim dzwonieniem, z połowy wioski zostało tylko pogorzelsko.

Siedziałam przerażona na krawędzi skarpy, na tzw. cypelku i patrzyłam na szalejący pod skarpą żywioł. Moi bracia i kuzyni pobiegli ratować, stanęli w szeregu ludzi podających sobie wiadra z wodą, razem z mieszkańcami usiłowali nie dopuścić do rozprzestrzeniania się ognia. Nie dali rady. Cała połowa wioski położona tuż nad Wisłą spaliła się doszczętnie. Ocalała druga połowa, oddzielona dość szeroką drogą. Jeszcze następnego dnia żar nie pozwalał zbliżyć się do pogorzelska. Nieszczęśni ludzie potracili dosłownie wszystko, cały mizerny dorobek swego życia.

Ziemia tu nieurodzajna, kamień albo piasek, poletka małe, więcej dawała Wisła pełna ryb, albo las. Uboga wioska stała wobec perspektywy zupełnej nędzy. Z drewnianych chat pozostały tylko murowane kominy, które właściciele - jak tylko żar pozwolił podejść - doszczętnie rozbijali kilofami, gdyż agenci ubezpieczeniowi przyznawali mniejsze odszkodowanie za spaloną chałupę, jeśli ocalał komin.

Kiedy ojciec przyjechał do Kazimierza - jak zwykle na sobotę i niedzielę - był wstrząśnięty tragedią, która dotknęła sąsiadów. A że był człowiekiem zawsze nastawionym na pomaganie potrzebującym, zamówił u wioskowego stolarza, którego chata i warsztat ocalały z pożaru, dla każdej poszkodowanej rodziny łóżka, stoły, ławy i skrzynie i dopomógł w zakupie najpotrzebniejszych domowych statków. Od tej pory ojciec cieszył się ogromną wdzięcznością i szacunkiem okolicznej ludności. Jeszcze dziś żyją mieszkańcy Męcmierza, którzy wtedy byli dziećmi i wspominają ojca w ciepłych słowach.

\*\*\*

Poza naszą piątką spędzali z nami wakacje w Kazimierzu dwaj albo trzej kuzyni - siostrzeńcy matki, Kazik i Staś Przegalińscy - Staś późniejszy metalurg i profesor Politechniki Śląskiej, i bratanek ojca, Stefan Klarner, często przyjeżdżali też koledzy chłopców, czasem moja koleżanka, przynajmniej przez jeden miesiąc lata była Mademoiselle, która ćwiczyła z nami konwersację francuską, tak, że w domu było rojno i gwarno i zaaprowidowanie takiej gromady byłoby dużym problemem, gdyby nie bryczka z koniem przysyłane do nas z Krza, odległego od Kazimierza o 20 km, majątku żony naszego kuzyna Józefa Klarnera. Majątek niegdyś zamożny, zaczął podupadać, ojciec wspomógł kuzyna jakąś większą pożyczką. W ramach rozliczeń Józieniek przysyłał nam bryczkę z koniem w okresie wakacji, co było dla nas dużą atrakcją. Nasz kazimierzowski dozorca, pełniący również funkcję ogrodnika stawał się wtedy furmanem i dwa razy w tygodniu woził kucharkę do miasteczka na targ, skąd wracali bryczką załadowaną niestworzonymi ilościami wszelkiego jedzenia. Niezależnie od wyjazdu kucharki na targ, w dniu targowe zjawiały się w naszej kuchni, od wczesnego rana, całe procesje kobiet z bliższych i dalszych wiosek, które przynosiły produkty ze swoich gospodarstw - jaja, masło, śmietanę, kurczaki. Bardziej opłacało im się sprzedać je u nas niż dzwigać ciężkie kosze do miasta.

Pamiętam, jak któregoś dnia przyszła kobieta ze wsi i przyniosła na sprzedaż kurczaki. Matka wybrała je na werandzie i poszła do pokoju pieniądze. W tym czasie Marysia nakrywała do stołu - jadaliliśmy przy wielkim stole na werandzie - niosła oburącz stos talerzy, potknęła się i talerz z samego wierzchu zsunął się. Żeby go złapać puściła resztę, która z wielkim hukiem rozbiła się o beton werandy. Kobieta widząc to pobożowisko krzyknęła:

“Jezus Maria! Józefie Święty! Co tu się będzie działo!!!??”  
i uciekła nie czekając na zapłatę. Ale nic strasznego się nie działo. Matka miała filozoficzny stosunek do dóbr materialnych.

Jeśli zabrakło nam pieczywa, co przy nienasyconych apetytach, zdarzało się nieraz, któryś z chłopców jechał do Kazimierza na rowerze i wracał z koszem pysznych niedużych chlebków po czym urządzali zawody kto ich zje więcej.

Poziomki, jagody, późnym latem jeżyny, cenne uzupełnienie naszego menu, przynosiły nam dzieci z okolicznych wiosek, w garnuszkach, garnkach, dopraszając się żebyśmy zechcieli je kupić. Gdzież się podziały te poziomki i jagody? Dziś kiedy się pójdzie do lasu uda się ich zebrać najwyżej garstkę.

\*\*\*

Nasze dni w Kazimierzu były tak wypełnione, że czasem przydałoby się jeszcze parę godzin. Chłopcy zaczynali dzień zwykle przed 6-ą rano. Ojciec polecił wybudowanie kortu tenisowego, ale jego utrzymanie należało do chłopców - kto chciał grać w tenisa musiał przed tym wałować kort ogromnym ciężkim walcem żeliwnym, wypełnionym wodą, musiał wysypywać linie kredą i dopiero po tych zabiegach można było rozegrać parę setów przed śniadaniem i przed upałem. Zawsze znaleźli się chętni do grania w zamian za ciężką robotę.

Całe przedpołudnia spędzaliśmy nad Wisłą, na plaży, albo pływając łodziami. Miałam 6 lat kiedy bracia trzymając mnie za szelki od kostiumu kąpielowego przy burcie łodzi, na środku Wisły nauczyli pływać po piasku - zawsze jeden z nich pływał obok. Sygnałem do powrotu do domu na obiad był gong w wykonaniu kucharki, która stojąc nad samym brzegiem skarpy wiślanej waliła z całych sił tłuczkiem do mięsa w pustą łuskę od pocisku armatniego (odrzut ze Starachowic) . Dawało to dźwięk tak donośny, że słyhać go było nawet na odległych plażach. Do stołu siadało zwykle więcej niż 10 osób, w przeważającej większości płci męskiej i w wieku ogromnego apetytu. Ile te chłopaki potrafiły pochłonąć to przechodziło wszelkie pojęcie. Kucharka razem z pokojówką miały cały dzień ręce pełne roboty.

Nieraz popołudniu, jeśli to był sezon robienia przetworów, wszyscy siadali wokół stołu na werandzie i obskubywali truskawki z kołnierzyków, albo drylowali wiśnie, które potem smażyła kucharka. Początkowo goście bywali mocno zdziwieni - jak to, oni, goście, młodzi mężczyźni mają się parać babską robotą. Ale nasza matka z humorem mówiła

“Moi drodzy, jest was tyle i tyle jecie, że nikt wam nie wystarczy,  
musicie pomóc!”

I nigdy nie było kwestii. Zresztą zawsze się okazywało, że w dużym i wesołym towarzystwie nawet drylowanie mogło być zabawne.

Popołudniami grywało się namiętnie w siatkówkę. Koło pensjonatu niedaleko naszego domu był plac do siatkówki, na którym urządzaliśmy zajadłe mecze w różnych układach. Ja byłam za mała na zawodnika, więc siedząc na gałęzi dzikiej trześni pod którą był plac, sędziowałam odliczając punkty na palcach. Czasem jednak, kiedy mi palców zabrakło, myliłam się i przy wtórze wrogich okrzyków:

“Sędzia kalosz!”

złaziłam z trześni jak niepyszna.

Przed kolacją obowiązkowo zbiegaliśmy z góry nad Wisłę, żeby jeszcze raz popływać. Pod naszym brzegiem szedł nurt, było głęboko, więc świetnie się pływało z prądem, ale zejście do wody było bardzo kamieniste i tu przydawał się nam Kazio - rodzinna oferma- nie umiejący pływać, ale chętny do noszenia naszych butów, żebyśmy nie musieli na bosaka, po drobnych i ostrych kamieniach wracać do butów zostawionych na brzegu. Chłopcy urządzali też zawody - kto będzie pierwszy na umówionej mecie - płynący z prądem czy biegnący bosko po kamieniach. Wszystko zależało od wrażliwości podeszew i samozaparciu biegnącego bosko. Niewątpliwie była to konkurencja godna fakirów.

A po kolacji młode towarzystwo z całej Góry schodziło się do nas na kołobieg. Był to solidny słupek drewniany, wysokości ok. 3 m. na jego szczycie było umocowane łożysko kulkowe, obracające się, z czterema grubymi hakami. Na haki zakładało się liny zakończone pętlami z taśm parcianych. Cztery osoby siadały bokiem w te pętli i biegały szybko wokół słupa, podbijając się w górę i wprawiając w ruch obrotowy łożysko, tak, że po chwili cała czwórka latała wysoko jak na karuzeli. Zabawa była pyszna. Co prawda kiedyś nie zauważyliśmy, że słupek przegnił u podstawy i nagle w trakcie najlepszego fruwania rozległo się głośne chrupnięcie i słupek zataczając łuk zwałił się z łomotem. Na szczęście nikomu się nic poważnego nie stało, tylko jeden z kuzynów, Stefan Klarner, trochę się podrapał, bo wylądował na grządce pomidorów przywiązanych do palików.

A kiedy już zmęczyliśmy się kołobiegiem siadaliśmy na szerokiej ławie pod daszkiem furtki i dookoła niej na pogaduszki, szeptu, flirty – jak to młodzi.

Ojciec, w myśl swojej zasady, że niedziele należą do rodziny, przyjeżdżał wielkim czarnym Buickiem w sobotę i zostawał do wieczora w niedzielę. Spędzał też w Kazimierzu wszystkie urlopy. Nie przestawał tam pracować. Przy małym stoliku na tarasie, albo balkonie pisał lub wertował materiały do pisania. Pisał bardzo dużo - książki, broszury, artykuły z zakresu gospodarki i historii gospodarki. Miał pokaźny dorobek pisarski. Nie przypominam sobie ojca leżącego na leżaku - nie umiał nic nie robić.

Nie mogę sobie odmówić, żeby nie wspomnieć zabawnego spotkania - szłam z tatą na spacer miedzą wśród pól. Naprzeciw szedł chłop. Ukłonił się nisko:

“Moje uszanowanie panu ministrowi.”

a ojciec nad jakimś problemem głęboko zamyślony odpowiedział automatycznie:

“Na wieki wieków Amen!”

Ojciec zawsze bardzo interesował się wszystkim co nas dotyczyło. Ten niesłychanie zapracowany człowiek był nadzwyczaj troskliwym i czułym ojcem. Razem z matką lubili z daleka podglądać nas grających w piłkę czy tenisa, albo z góry obserwowali nas na plaży. Wyraźnie cieszyli się nami i Kazimierzem.

## **Rodzeństwo**

W końcu lat dwudziestych, kiedy Jerzy dobijał do matury, a Janusz w rok po nim, przyszli obaj do ojca i spytali czy zgodziłby się aby obaj pojechali na studia na politechnikę gdańską, która dawała wówczas dyplom uznawany w całej Europie.

Ojciec zgodził się, ale pod jednym warunkiem - że przed wyjazdem ukończą kursy boksu i dżudo. Gdańsk był wówczas wolnym miastem, w którym jednak panował bardzo element niemiecki, pełen wrogości w stosunku do Polaków. Stale wybuchały awantury niemiecko-polskie, bijatyki, bojówki niemieckie napadały na Polaków, tak, że warunek postawiony chłopcom przez ojca dowodził jego umiejętności przewidywania. Wielokrotnie w czasie ich pobytu w Gdańsku, gdyby nie znajomość boksu i samoobrony mogliby solidnie oberwać.

Zachowała się paczka listów Jerzego z pierwszego okresu jego pobytu w Gdańsku. Widać z nich jak bardzo ojciec interesował się jego kłopotami i potrzebami, jego życiem w obcym i nieraz wrogim środowisku. Jerzy sumiennie wylicza się co do grosza ze swoich wydatków i planuje budżet na kolejne miesiące. A do matki wysyła prośby o takie czy inne koszule czy skarpetki i co dziś wydaje się zabawne przesyła do Warszawy paczki z brudną bielizną do prania.

Najmłodszy z braci, Zbigniew, wybrał prawo i ekonomię na uniwersytecie poznańskim. Pod koniec studiów fatalnie się przechorował - w ciągu jednego roku przeszedł trzykrotnie zapalenie płucnej z wysiękiem, tak że ostatni rok studiów spędził w Szwajcarii w Lozannie. Choroby te były powodem jego całkowitego zwolnienia z wojska - dostał kategorię E.

Wszyscy trzej chłopcy mieli motocykle i jeździli nimi po całej Polsce. w czasie przerw semestralnych. Wpadali też nieraz do Kazimierza. Słynna była ich depeza przysłana do matki do Kazimierza:

“Przyjeżdżamy we cztery wtorek stop  
przygotować kolację na ośmiu.”

W czasie studiów na politechnice obowiązywały studentów praktyki wakacyjne. Było to okazją dla Jerzego i Janusza do wyjazdów zagranicę i odbywanie praktyk w wielkich zakładach samochodowych. Wyjeżdżali zawsze motorami, co dawało im możliwość zwiedzania. W czasie praktyki w fabryce Citroena zjeździli całą Francję, a kiedy odbywali praktykę w zakładach Steyera zwiedzili Niemcy i Austrię.

Po dyplomie, w rocznym odstepie, Jerzy i Janusz odbyli służbę wojskową w podchorążówce we Włodzimierzu Wołyńskim. Obaj ukończyli ją w stopniu podporuczników rezerwy artylerii - Jerzy artylerii najcięższej, Janusz konnej.

Po czym obaj pracowali w zakładach Lilpop, Rau i Loewenstein.

Maria po maturze poszła na S.G.H. (Szkoła Główna Handlowa) którą ukończyła w 1939 r. Zdążyła jeszcze przed wojną odbyć praktykę wakacyjną w polskiej Ambasadzie w Paryżu i zaliczyć kurs językowy w Gmunden, w Alpach Austriackich tuż przed Anslussem.

Zbigniew po dyplomie, jako magister praw i ekonomii rozpoczął pracę w Izbie Przemysłowo-Handlowej u ojca. W 1937 r. ożenił się z Janiną Ziolecką pospolicie zwaną Kidą, Poznanianką, swoją sympatią od pierwszego roku studiów. Kida była wesoła, miła, bystra, pasowała do naszej wesołej rodziny. Skończyła szkołę Sacre Coeur, potem jakieś kursy, dalej nie studiowała.

Na ślub do Poznania pojechaliśmy całą rodziną. Ślub był uroczysty, z drużbami i druhnami, przyjęcie weselne eleganckie.



Po ślubie państwo młodzi pojechali w podróż poślubną do Zaleszczyk, gdzie sądzono w pensjonacie, że są parą licealistów na wagarach. Tak młodo wyglądali, że musieli wylegitymować się aktem ślubu.

\*\*\*

Ponieważ byłam niemożliwie chorowitym dzieckiem rodzice zdecydowali nie posyłać mnie do szkoły publicznej, a zorganizować komplet złożony z sześciorga dzieci z dochodzącymi nauczycielkami. Nauka odbywała się w domach dzieci. Przeważnie u nas. Były trzy dziewczynki i trzech chłopców. Jednym z chłopców był Janek Rodowicz, późniejszy słynny "Anoda", wtedy mały, pyzaty Nesio, ogromnie zadziorny i namiętnie urządzający z kolegami modne wówczas "walki francuskie", z których zawsze wychodził zwycięsko.

Dopiero do gimnazjum poszłam do szkoły panien Kowalczykówny i Jaworkówny. Była to prywatna szkoła wyłącznie dla dziewcząt - w tamtym okresie chyba wcale nie było w Warszawie szkół ponad podstawowych koedukacyjnych. Przełożone wpajały w nas najwyższe zasady moralne, uczucia patriotyczne i religijne, miały za cel wychować nas na przyszłe matki - Polki. Czasami jednak dla nas nastolatek te szczytne cele były zbyt odległe, a droga do nich trudna.

Pamiętam, jak któregoś dnia przełożona weszła do naszej klasy z zeszytem w ręce i z grobową miną. Wszystkie stanęłyśmy na baczność, a przełożona szczupła, siwowłosa, w czarnej sukni, głosem nabrzmiałym bólem zaczęła przemówienie:

"Wy, przyszłe Matki Polki powinnyście wysoko nieść sztandar...  
a tu kleks w zeszycie!"

Mówiła długo i wzniosłe. W pewnej chwili usłyszałam koło mnie dziwny dźwięk, a to kapwały łzy na pulpit obok stojącej koleżanki, która, jak to było w modzie w XIX w. kochała się w przełożonej.

"Krysiu, co ci jest?" – szepnęłam

"Bo ona tak głupio gada!" – chlipnęła. Tak się skończyła pensjonarska miłość.

Przekrój społeczny uczennic był różny. Były dziewczynki z zamożnych domów, ale były też ze skromnych warunków, które często nie płaciły za naukę. W tamtych czasach - podobnie jak dziś - nauka w szkołach państwowych była darmowa, a w prywatnych płacono się chesne.

Szkoła mieściła się w zwykłej czynszowej kamienicy na rogu Wiejskiej i Matejki. W domu tym obie przełożone, wiekowe już panie zginęły tragicznie w czasie Powstania Warszawskiego, kiedy Niemcy wypędzili wszystkich mieszkańców domu i podpalił go. Jedna z przełożonych była sparaliżowana i nie miała żadnych szans aby wyjść, druga została przy niej. Zginęły razem, tak jak razem przeżyły całe swoje pracowite życie.

### **Francuska**

W 1934 r. ojciec rozpoczął budowę domu przy ulicy Francuskiej 37. Saska Kępa była wtedy sympatyczną, cichą dzielnicą willową, z jednej strony ograniczoną Wisłą, wtedy czystą, z drugiej sąsiadującą z pięknym parkiem Skaryszewskim. Dopiero zaczynała się moda na Saską Kępę. Ojciec wspominał, jak w czasach jego dzieciństwa przyplływał na Kępę ze strony warszawskiej, łodziami, na karuzele. Było tam - jakby

się dziś powiedziało - wesołe miasteczko, obok Bielan ulubione miejsce zabaw tzw. "warszawki".

Kiedy ojciec rozpoczynał budowę domu nie było już śladu karuzeli, Saska Kępa była wtedy rozwijającą się elegancką dzielnicą willową. Wszystko co ojciec robił było solidne i porządne. Dom też był solidnie budowany. Pojechałam któregoś dnia z ojcem na wizytację budowy. Czekałam na tatę na ulicy. Obok mnie stanęli dwaj panowie. Jeden z nich powiedział:

"Zwariował ten Klarner, twierdzą buduje!"

Opłaciło się to nam stokrotnie. W 1939 r. i potem w 1944-45 dom dostał wiele pocisków artyleryjskich, miał podcięte filary główne [zdaje się, że tak to się nazywa w budownictwie] a jednak stał i udało się go wyremontować. W 1935 r. przenieśliśmy się całą rodziną do nowego domu. Było przestronnie wygodnie, elegancko. Na parterze, w pięciopokojowym mieszkaniu zamieszkali rodzice i my z Marią, obok w dwu-pokojowej kawalerce Jerzy i Janusz.

Jedno mieszkanie na drugim piętrze zajął później Zbigniew z żoną, a na pierwszym mieszkali kuzyni, Zofia i Stefan Klarnerowie i Staszka Czerwińska z mężem.

Przy domu był spory ogródek, w którym nasza matka i Zbigniew realizowali swoje zamiłowania ogrodnicze.

Nasze mieszkanie na Marszałkowskiej 9 było dla licznej rodziny z dorastającymi dziećmi niezbyt wygodne i trudno było w nim uprawiać tzw. życie towarzyskie. Nie przypominam sobie w nim żadnych przyjęć z wyjątkiem świąt Bożego narodzenia i Wielkanocy, na które zwykle byli zapraszani nasi kuzyni (brat ojca, stryj Alfons i jego żona wcześniej umarli i ojciec opiekował się i pomagał piątce ich dzieci, zwłaszcza najmłodszym Stefanem, równolatkiem Marii).

Na Francuskiej można było urządzać wystawne przyjęcia, ale niestety nasza matka stale niedomagająca wycofała się zupełnie z życia towarzyskiego i nie chciała przyjmować u siebie w domu ani nigdzie bywać.

Mam wrażenie, że ojcu przy jego stanowiskach i stosunkach brakowało tego rodzaju reprezentacji. Dopiero kiedy Maria dorosła zaczęła towarzyszyć ojcu na rauty na Zamku i przy różnych innych uroczystych okazjach. Była drobna, elegancka, śliczna. Tata był dumny z córki.

Jedynie przyjęcia na Francuskiej to wesołe Sylwestry, które urządziło kilkakrotnie moje dorosłe rodzeństwo, korzystając z wyjazdów matki ze mną – na święta Bożego Narodzenia wyjeżdżaliśmy wszyscy razem w góry, poczym starsi wracali na sylwestra do Warszawy. Podobno było hucznie i wesoło, z tańcami przy adapterze, z zimnym bufetem, z czymś gorącym o północy i na pewno ze sporą ilością dobrego alkoholu.

Parokrotnie zapraszałam też moje koleżanki i znajomych chłopców na tańczące wieczorki od 5-ej po południu. Było dużo słodkości, jakieś owocowe napoje, tańczyliśmy przy adapterze, urządzaliśmy różne gry towarzyskie. Niestety o godzinie 9-ej wieczorem - ku mojej rozpacz - w trakcie najlepszej zabawy, wkraczali rodzice i oświadczyli, że jest samochód aby odwieźć panienki do domów. Koniec wieczorku. Byłam wściekła, jak można tak wypraszać gości. Obiecywałam sobie, że już nigdy nikogo nie zaproszę. Jednak zapraszałam, licząc, że może tatuś poprze moje błagania o przesunięcie godziny zakończenia wieczorku. Mama była jednak nieugięta.

## Wyjazdy w góry

Od końca lat dwudziestych jeździliśmy w góry na prawie wszystkie Święta Bożego Narodzenia, na tydzień - dwa, zależnie od ferii szkolnych.

Jeździliśmy całą piątką wraz rodzicami, a później też z narzeczoną Zbigniewa. Zajmowaliśmy niemal pół wagonu sypialnego. Nawet kiedy chłopcy już pracowali starali się robić z nami choć kilkudniowe wypadu w góry. Najczęściej jeździliśmy do Wisły-Głębcze do pensjonatu "Wierchy", a potem "Pod Modrzewiem". Dostyc szybko opanowałam technikę jazdy na nartach (pługiem i z oporu - tak się wtedy jeździło), na tyle że mogłam dotrzymać kroku starszemu rodzeństwu. Tam też, koło "Wierchów" na skoczni narciarskiej zrobionej przez kolegów z pensjonatu ze starej skrzynki, zdobyłam mając 10 lat puchar "Wierchów" w skokach narciarskich - skoczyłam 12 metrów - słownie dwanaście.

Fatalnie skończył się dla mnie wyjazd do Rabki. Miałam wtedy 12 lat. Tuż przed świętami przesłam bronchit i właściwie nie byłam jeszcze całkiem wyleczona, kiedy wyjechaliśmy. Zamieszkaliśmy w ślicznym i eleganckim Pałacyku Babuni. Niestety, od razu pierwszej nocy dostałam tam gwałtownego napadu duszności z kaszlem. Potem napady powtarzały się co noc. Wtedy nie wiedziano nic o alergii, nie znano nawet tego słowa, a ja byłam niewątpliwie dzieckiem alergicznym. Miejscowy lekarz stwierdził astmę dojrzewaniową i jako jedyne lekarstwo zalecił w razie ataku rozwieszanie wokół mnie mokrych prześcieradeł i stawianie miednic z gorącą wodą, aby zwiększyć wilgotność powietrza. Pomagało to jak przysłowiowe kadzidło umarłemu. Razem z matką przesiedziałam w Rabce trzy miesiące - dla świeżego powietrza - dusząc się co noc jak potępieniec. Nie wiem co mogło mnie w tym ślicznym pensjonacie uczulać. Dziś wiadomo, że może uczulać wszystko.

Wreszcie zadziałała dr Zabawska, nasza domowa lekarka, telefonicznie radząc powrót do Warszawy. W Warszawie duszności ustąpiły. Miałam jednak stracony rok szkolny. Nie było mnie w szkole od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. W Rabce nie uczyłam się wcale - matka nie chciała mnie męczyć. Na koniec roku szkolnego nie zostałam sklasyfikowana. Moja matka umówiła się więc z przełożonymi, że przez pierwsze półrocze następnego roku szkolnego będę się uczyła w domu z nauczycielką, żeby uzupełnić materiał, poczym przystąpię do małej matury razem z koleżankami.

Tak też się stało, tylko, że na maturze dostałam niedostateczny z języka polskiego. Dla mnie to był grom z jasnego nieba. Nie miałabym śladu żalu do profesora matematyki albo fizyki gdyby mnie oblali, bo zawsze byłam tumanem do przedmiotów ścisłych. Ale język polski... Uwielbiałam dobrą literaturę, czytałam masę, byłam odcytana na pewno powyżej przeciętnej, miałam łatwość wypowiedziania się, nigdy żadnych problemów z pisaniem wypracowań i dwója na maturze!

Podejrzewam, że nauczycielka polskiego, która była przyjaciółką mojej kuzynki chciała pokazać swoją ważność i zaznaczyć, że nie akceptuje mojej długiej nieobecności w szkole i na jej lekcjach. Miałam jednak poczucie niesprawiedliwości. Zwłaszcza, że w następnym roku szkolnym 1938/39, po przeniesieniu do szkoły Popielewskiej i Roszkowskiej, za pierwsze wypracowanie w nowej klasie dostałam piątkę, a z małej matury przy końcu roku szkolnego zostałam zwolniona za dobre stopnie.

W roku szkolnym 1938/39 zmieniłam szkołę. Przeniosłam się do szkoły Roszkowskiej i Popielewskiej, zajmującej dużą część domu przy placu Unii Lubelskiej róg Bagateli. Ciepło wspominałam tę szkołę w której panowała znacznie większa swoboda, gdzie na przerwach wolno było biegać po korytarzach, hałasować i śmiać się dowoli z pełną aprobatą przełożonych i nauczycieli. Uczennice były z różnych środowisk. Szkoła była demokratyczna. Były też Żydówki - dla mnie zupełna nowość. Na terenie szkoły stosunki polsko-żydowskie były koleżeńskie, ale poza szkołą żadnych towarzyskich stosunków nie utrzymywałyśmy, co wynikało głównie z ich tendencji do separowania się.

W tej szkole poznałam Barbarę Drapczyńską, późniejszą żonę Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, z którą związałam się najserdeczniejszą przyjaźnią do końca jej krótkiego, ledwie dwudziestodwuletniego życia.

Szkoła posiadała własny dom pod Warszawą, w lesie, do którego każda klasa po kolei, wyjeżdżała na 2 - 3 tygodnie na tzw. "zieloną szkołę". Mieliśmy tam lekcje w skróconym wymiarze godzin, a reszta czasu należała do nauczycielki gimnastyki, młodej, wysportowanej kobiety, która organizowała nam różne biegi, podchody, zawody sportowe i gimnastyczne. Było świetnie.

\* \* \*

W czasie karnawału szkoła urządzała dla poszczególnych klas wieczorki taneczne z udziałem chłopców z równoległych klas ze szkoły Ziemi Mazowieckiej, która mieściła się niedaleko. Obowiązywały mundurki: chłopcy granatowe spodnie, marynarka, biała koszula z krawatem, dziewczęta: biała bluzka z granatową spódnicą układaną w fałdy. Początek wieczorku był zwykle dość sztywny. Zwracaliśmy się do siebie per "pan - pani". Muzyka była z gramofonu, ale nikt nie miał odwagi zacząć tańczyć. Dopiero kiedy zabawny, młody jeszcze nauczyciel fizyki dał dobry przykład i poprosił do tańca którąś z dziewczynek towarzystwo się ośmiało i zaczynały się tańce. Matki szykowały kanapki, słodczyce, jakieś owocowe napoje i bawiliśmy się aż do dziewiątej wieczorem, kiedy ojcowie zjawiali się po dziewczynki, bo nie wypadało żeby panienki o tak późnej porze chodziły same po ulicy.

Często też odbywały się wieczorki w domach prywatnych. u koleżanek, na które byli zapraszani znajomi chłopcy i kuzyni. Na ogół była to nieskrępowana zabawa, dużo tańczyliśmy przy patefonie, organizowaliśmy różne gry towarzyskie, które zapewne wywoływałyby uśmiech politowania na twarzach dzisiejszej młodzieży.

Przy bardziej uroczystych okazjach na wieczorki taneczne angażowano tzw. taperów, którzy grali do tańca na fortepianie. Zwykle byli to niewidomi, co przyznam się, mnie zdecydowanie psuło zabawę - obecność kalekiego grajka odbierała mi połowę przyjemności, choć wiedziałam, że dla tych ludzi jest to okazja do zarobku.

\*\*\*

W owym czasie było przyjęte, że młodzież 13-14-letnia obojga płci chodziła na lekcje tańca. Przeważnie były to komplety 10-12 par. Lekcje odbywały się albo w mieszkaniach prywatnych, jeśli ktoś miał dostatecznie duży salon z fortepianem, albo w wynajętych salach. Nauczyciel tańca przychodził zwykle ze swoim taperem, który przygrywał nam na fortepianie. To nie były lekcje wyłącznie tańca, to był również

instruktaż zachowania się w towarzystwie, jak się przywitać, jak zagać rozmowę, a jak poprosić do tańca, jak po tańcu odprowadzić partnerkę na miejsce. Bardzo by się to przydało i dziś. Dopiero po takim wstępie rozpoczynała się nauka poszczególnych "pas".



*Jadwiga Klarner w 1938 r.*

Tańczyliśmy tanga, fokstroty no i oczywiście nieśmiertelne walce - wiedeński i angielski. Uczyliśmy się też tańców ludowych, ale nie cieszyły się one wśród nas specjalnym wzięciem. W czasie kiedy my usiłowaliśmy zgrać nasze nogi z muzyką, nasze matki usadowione na fotelach pod ścianami bacznie przyglądały się czynionym przez nas postępom. Na zakończenie kursu odbywał się uroczysty wieczorek.

\*\*\*

Byłam o wiele za młoda, żeby chodzić na publiczne bale, ale moje starsze rodzeństwo (bracia po studiach, a siostra na studiach) w karnawale prawie wszystkie wieczory i noce sobotnio-niedzielne spędzali na różnych imprezach. Wielkie bale były urządzone przez różne organizacje i instytucje w ich własnych lokalach lub w wynajętych salach balowych eleganckich hoteli. Wstęp był wyłącznie za zaproszeniami, towarzystwo doborowe, "nadużycie alkoholu" nie zdarzało się, a jeśli - to był wielki skandal, o którym mówiło się po cichu, długo i wstydliwie. Do najelegantszych bali należały bale organizowane przez snobistyczne korporacje studenckie jak Arkonia, Veletia, Jagiellonia, na których spotykało się wytworne młode towarzystwo Warszawy. Starsi bywali raczej na balach w Hotelu Europejskim lub w Bristolu. Eleganckie też były bale w Izbie Przemysłowo-Handlowej w jej własnym pięknym gmachu na Wiejskiej 10 (za prezydentury Wałęsy była tam kancelaria prezydenta), piękną salą balową miała też Resursa Kupiecka na Senatorskiej (w czasie okupacji był tam Szpital Maltański).

Na bale chodziło się we własnym, zwykle licznym towarzystwie. Jerzy i Janusz z Marią umawiali się przeważnie z kolegami chłopców z politechniki – z Tauszyńskimi, Swiderskimi, Majewskimi. Przed balem często spotykali się na lekkiej kolacji u kogoś ze współbalowiczów, bo na balu nie było już konsumpcji, popijało się najwyżej wino siedząc przy stoliku w przerwach w tańcach.

Bo na balu przede wszystkim się tańczyło, tańczyło do upadłego, do 6 - 7-ej rano.

Z zapartym tchem i dużą dozą zazdrości asystowałam siostrze przy jej przygotowaniach do balu, przy wyborze sukni, pantofli, przy makijażu. Potem przychodzili po nią bracia we frakach... Ach! kiedy ja też tak będę... No i nigdy nie byłam na prawdziwym balu i nigdy nie miałam na sobie długiej sukni, bo kiedy dorosłam była wojna, znikły długie suknie i fraki, a potem były najwyżej studenckie zabawy, na które koledzy przychodzili w swetrach bo nie mieli garniturów, a dziewczyny coś tam sobie ściboliły z byle szmatek, co udawało sukienki. Zresztą kiedy byłam nastolatką znacznie bardziej niż bale i długie suknie interesował mnie sport.

Nasza domowa lekarka, prze - mądra doktor Zabawska - Domosławska (zginęła w 1939 r. w zbombardowanym szpitalu Dzieciątka Jezus) wytłumaczyła mojej matce, że jedyne co może mnie wyleczyć z wątpliwości i ciągłego chorowania - to sport, a że dr Zabawska była w naszym domu autorytetem najważniejszym zaraz po Panu Bogu, wszystko co prowadziło do rozwoju "tęczyzny fizycznej" było w pełni popierane przez rodziców. Do tego miałam trzech dużo starszych i bardzo wysportowanych braci, których bawiła moja zajadłość w wyczynach sportowych. Mając 12 lat bez wysiłku przepływałam przez Wisłę - oczywiście zawsze z ubezpieczeniem, w postaci któregoś z braci lub łódki.

A było gdzie nauczyć się pływać w Warszawie. Wprawdzie basenów krytych i otwartych było jak na lekarstwo, ale Wisła była wtedy rzeką nieuregulowaną, dziką i piękną, o krętym, leniwym nurcie i rozległych piaszczystych łąkach, jak najbardziej nadających się do uprawiania sportów wodnych. Cała prawa strona Wisły, zwłaszcza powyżej mostu Poniatowskiego, to była jedna długa plaża, częściowo dzika częściowo zagospodarowana, z szatniami, kajakami do wynajęcia i wytyczonymi miejscami do kąpieli. Przy moście Poniatowskiego była pływalnia i szkoła pływania Kozłowskiego. Był to rodzaj kosza o wymiarach basenu, z drewnianą podłogą, z pomostami dokoła - woda swobodnie przepływała między luźnymi żerdziami boków, a pan Kozłowski na

grubej wędce trzymał adeptów sztuki pływackiej i instruował ich pokrzykując miarowo.

Po lewej stronie Wisły, tzw. warszawskiej, mieściły się liczne kluby wioślarskie i żeglarskie. Przy moście Poniatowskiego był wytworny i snobistyczny Yacht Klub Oficerski, którego honorowym komandorem był marszałek Rydz-Śmigły. Po drugiej stronie - Wisły, około 2 km powyżej mostu Poniatowskiego, znajdował się cywilny - również snobistyczny Yacht - Klub Polski z prezydentem Mościckim jako honorowym prezesem.

Bardzo przyjemna i często przez nas odwiedzana była pływalnia AZS na jezioru Kamionkowskim. Dzięki temu, że nie było tam prądu można było pływać swobodnie przez całą długość jeziora.

Klimat w tamtych czasach był trochę inny niż dziś. Lata były prawdziwymi upalnymi latami, a zimy były prawdziwymi zimami z dużym mrozem przez parę miesięcy i z dużymi opadami śniegu od listopada do marca, ku utrapieniu służb miejskich. Przy bardzo dużych opadach śniegu, kiedy sprzątacze nie nadążali ze sprząaniem, na ulicach pojawiały się sanki konne zamiast dorożek - wtedy taksówki były rzadkością.

Ze sportów zimowych najpopularniejszym i najłatwiej dostępnym było łyżwiarstwo. Ślizgawek było w Warszawie pełno. Prawie każdy niezabudowany plac - a było ich w Warszawie sporo - w zimie zalewano wodą, stawiano byle jaką budę jako szatnię z bufetem, podłączano głośnik z popularną muzyką i ślizgawka gotowa. Łyżwy, jeśli ktoś nie miał własnych, można było za drobną opłatą wypożyczyć. Przeważnie były to "śniegurki" do jazdy figurowej, o humorystycznie zawiniętych czubach, albo proste "hokeje". Łyżwy mocowało się na zwykłych butach, w obcasach których były wyżłobione specjalne otwory, a z przodu "łapki" łyżew obejmowały podeszew. Była to jednak konstrukcja dość niepewna i często zdarzało się, że "łapki" puszczały i łyżwiarz z hukiem lądował na lodzie.

Kiedy już opanowałam sztukę utrzymywania równowagi na lodzie dostałam buty razem z łyżwami, takie jakich i dziś się używa. Zaczęłam wtedy chodzić do Doliny Szwajcarskiej przy ul. Chopina, ślizgawki z tradycją eleganckiego towarzystwa. Podstawową zaletą Doliny byli instruktorzy, którzy udzielali lekcji prawdziwej jazdy figurowej. Bardzo to lubiłam i mogę pochwalić się niezłymi wynikami.

Gorzej było z nartami. Wszyscy pięcioro byliśmy zapalonymi narciarzami, niestety okolice Warszawy są płaskie jak półmisek. Udało nam się znaleźć trochę pagórków w okolicach Miłosnej, ale w gruncie rzeczy były to tereny raczej do biegów płaskich. Na prawdziwe narty trzeba było jeździć w góry.

Jak inaczej wyglądała Warszawa w latach trzydziestych XX wieku. Chyba nawet nie była ładna, z wąskimi ulicami, bez szerokich arterii, bez rozmachu. z nieporównanie mniejszą ilością samochodów, ale było to miasto tętniące życiem do późnej nocy - wiem to z relacji starszego rodzeństwa - pełne lokali i lokalików na każdą kieszeń, gdzie można było wstąpić na kawę czy kieliszek wina, spotkać się ze znajomymi, zobaczyć znanych ludzi, aktorów, pisarzy, polityków. Było wiele teatrów, teatrzyków, rewii, dancinów. Popularna ówczesna piosenka "Umówiłem się z nią na dziewiątą" opowiada jak to pójdą we dwoje do kina, potem do kawiarni i na spacer "Aż przyjdzie północ i nas rozdzieli..." Kto dzisiaj umawia się z dziewczyną o 9-tej wieczorem? O 8-ej Warszawa się wyludnia. Tylko koło kin i teatrów, kiedy kończą się seanse widać trochę ludzi, poza tym tylko pojedynczy przechodnie przemykają się pustymi ulicami. Reszta Warszawiaków zamyka się w domach i pewnie patrzy w

telewizory popijając piwo albo i coś mocniejszego.

Trzeba jednak powiedzieć, że Warszawa była wtedy miastem bezpiecznym. Napady na przechodniów i rabunki na ulicach nie zdarzały się, chyba, że gdzieś w peryferyjnych dzielnicach, ale tam "nie chodziło się". Dzielnice centralne były rojne, gwarne i całkowicie bezpieczne o każdej porze dnia i nocy.

Trzeba tu wspomnieć instytucję stróżów domowych, czyli dozorców, którzy pilnowali porządku na terenie podwórza domu i przed domem, patrzyli kto wchodzi i do kogo i byle kogo do domu nie wpuszczali, a na noc zamykali bramy domów wielkim kluczem, kto przychodził późno musiał dzwonić i płacić za otwarcie stróżowi. Pamiętam pana Pawła z Marszałkowskiej 9, o potężnej postawie, z sumiastym wąsem, w maciejówce, zawsze w bramie domu z nieodłączną miotłą w ręce budził respekt w dzieciach i domokrażcach - w stosunku do moich rodziców odnosił się zawsze z wielką atencją.

Podwórza warszawskich kamienic otoczone z czterech stron oficynami tzw. podwórza studnie, z suchotniczymi ogródkami po środku stanowiły swoiste enklawy z własnym życiem. Były miejscem spotkań i wymiany plotek służących z całego domu – "państwo" raczej się nie znali i nie kontaktowali. Na podwórze przychodzili drobni rzemieślnicy i handlarze, oznajmiając swoje przybycie głośnym wołaniem:

"Noże ostrzę, noże!"

"Garnki dziurawe – lutuję, garnki drutuję!"

albo handlarze starzyzną, prawie wyłącznie Żydzi w jarmułkach i długich czarnych chałatach wołali:

"Handel, handel, stare ubrania kupuję!"

Czasem zjawiała się orkiestra podwórkowa - dla mnie dziecka za rzadko - bo im bardziej elegancki był dom, tym bardziej stróż przepędzał domokrażców.

## Janusz i góry

Zimą 1937-1938 r. Janusz kilkakrotnie wyjeżdżał na zimową wspinaczkę w Tatry Polskie i Czeskie. Zapisał się do Klubu Wysokogórskiego i trenował razem z jego członkami. W końcu roku 1938 kiedy Klub Wysokogórski zaczął organizować pierwszą polską wyprawę himalajską, jej organizator i kierownik Adam Karpiński - Akar - zaproponował Januszowi uczestnictwo. Celem był siedmiotysięcznik Nanda Devi Wschodnia [7.434 m]. Pozostali uczestnicy to Jakub Bujak i Stefan Bernadzikiewicz. Wszyscy czterej inżynierowie. Nasz ojciec był oburzony, że Janusz, oficer rezerwy, mimo narastających nastrojów wojennych chce wyjechać z Polski. Janusz dał ojcu uroczyste słowo honoru, że w razie wojny na pewno wróci do kraju. Słowa dotrzymał.

Na budżet wyprawy składało się: 1/3 dotacja państwa, 1/3 wkład Klubu Wysokogórskiego, 1/3 to wkład własny uczestników.

Janusz był najmłodszy z czwórki, miał 29 lat i był najmniej doświadczony - nigdy nie odbywał wspinaczek poza Tatrami. Reszta uczestników miała na swoim koncie Alpy, Andy, Kaukaz, Spitzbergen. A jednak Akar, z któregoś z wyższych obozów, kiedy borykali się z licznymi trudnościami i wszyscy bardzo cierpieli z powodu choroby wysokościowej, napisał w liście do żony, że jeśli któremuś z nich uda się zdobyć Nanda Devi, to na pewno będzie Janusz. Nieporównanie trudniejsze były wówczas



wyprawy wysokogórskie niż dziś. Przede wszystkim aparaty tlenowe tak pomocne dzisiejszym himalaistom były tak prymitywne i ciężkie, że mało kto decydował się na ich używanie. Nie było sztucznych włókien lekkich a bardzo mocnych, z których dziś robi się liny wspinaczkowe, tkaniny na namioty i ubrania o minimalnej wadze a ciepłe i nieprzewiewalne. Pamiętam jak Janusz ważył każdą sztukę ubrania i bielizny przysyłanych przez austriacką firmę specjalizującą się w dostarczaniu ekwipunku wysokogórskiego, - bo waga każdej sztuki była określona z dokładnością do grama - i odrzucił śliczny sweter z angory, bo ważył 21 dag zamiast dopuszczalnych 17 dag. Wyjechali z Warszawy 23 kwietnia 1939 r. Pociągiem do Genui, dalej do Bombaju statkiem. W Indiach dołączył do nich angielski oficer łącznikowy mjr Foy, który towarzyszył wyprawie. Doszedł razem z nimi do bazy i w niej pozostawał. 2 lipca Janusz i Jakub Bujak zdobyli szczyt Nanda Devi, pierwszy siedmio-tysięcznik dla polskiego himalaizmu. Akara i Bernadzikiewicza zmogła choroba wysokogórska. Wszyscy razem zeszli w dolinę podejmowani przez ludność tubylczą jako świątobliwi pielgrzymi po odbyciu pielgrzymki do sanktuarium bogini śmierci Kali-Nanda. Powodzenie wyprawy tubylcy uznali za dowód iż bogini przyjęła pobożną pielgrzymkę.

Jako drugi cel wyprawy postanowili zdobyć Tirsuli [7150 m.] Tu nastąpiła katastrofa. 18 lipca Akar i Bernadzikiewicz założyli III obóz na wysokości 6.150 m. W nocy potężna lawina śnieżno-lodowa zmiotła obóz. Ciał nie znaleziono. Bogini śmierci jednak zemściła się za naruszenie spokoju jej sanktuarium. Janusz z Bujakiem wysłali wiadomość do bazy do mjr. Foya:

“Akar i Berna zginęli w lawinie”

Ze względu na zbyt trudne dla Anglików nazwisko, Bernadzikiewicz używał skrótu Berna. Nie dość wyraźnie napisaną kartkę Foy odczytał jako Akar i Kerna i przesłał do Bombaju wiadomość:

“Akar i Klarner zginęli.”

Taka depesza dotarła do Polski. Ale Janusz zorientował się w pomyłce i jeszcze tego samego dnia wysłał kolejną depeszę:

“Wracam z gór - Janusz.”

Janusz z Bujakiem dotarli do kraju już po wybuchu wojny. Granicę polsko-rumuńską przekroczyli 9 września, pod prąd uciekających przed Niemcami z Polski do Rumunii rozbitych oddziałów wojska i gromad cywilów. We Lwowie u rodziców Bujaka złożyli sprzęt wyprawy i filmy, które zdołali przewieźć. Bujak zdecydował się na opuszczenie Polski. Dotarł do Anglii.

Wybitny specjalista w zakresie silników odrzutowych pracował tam całą wojnę. Po wojnie chciał koniecznie wrócić do Polski, do żony i córeczki. Anglicy nie chcieli go wypuścić. Jesienią 1945 r. pojechał do Walii na wspinaczkę na nadmorskich skałach. Nikt go więcej nie widział. Ciała nie znaleziono.

Janusz w myśl danego ojcu słowa wrócił do Polski, zdążył walczyć w 1939 r. Przez całą okupację był w konspiracji, przeżył. We wrześniu 1949 r. wyszedł z domu i nikt nigdy go więcej nie widział.

Wszyscy uczestnicy pierwszej polskiej wyprawy himalajskiej zaginęli bez śladu, ciała żadnego z nich nie znaleziono. Czy to przekleństwo mściwej bogini śmierci Kali-Nanda?

\*\*\*

Koniec roku 1938 i 1939-ty przynoszą nastroje wojenne.

Wszyscy rozumieją, że Hitler nie zadowolony się Czechosłowacją i Austrią. Co będzie ich następnym celem? Awantura o "korytarz" wydaje się go jednoznacznie wskazywać. Wszyscy, niezależnie od wieku, uczestniczymy w ćwiczeniach OPL (Obrony przeciwlotniczej), w szkołach, domach, miejscach pracy. Warszawa szykuje się do wojny. Każdy zaopatruje się w maskę przeciwgazową. Okna zakleja się paskami papieru na krzyż - ma to chronić przed pęknięciem przy podmuchu (nie chroniło). Wszyscy robią zapasy soli, cukru, mąki, tłuszczów, matka zamawia specjalne skrzynie gazoszczelne na zapasy. Jest psychoza wojny gazowej.

## Wojna

Piątek, pierwszy września 1939 roku zastał mnie w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie spędzałam z matką ostatnie tygodnie wakacji. Rano usłyszałam w radiu (na baterie) komunikat o wkroczeniu armii niemieckiej w granice Polski.

WOJNA!

Postanawiamy z matką natychmiast wracać do Warszawy. Wprawdzie w sobotę miał przyjechać po nas ojciec, ale nie chcemy czekać. Jednak nie jest łatwo wyjechać. Wiadomo, że pociągi wożą jedynie wojskowych. Telefony zastrzeżone do użytku wojska – nie możemy się skontaktować z Warszawą.

Decydujemy się na powrót statkiem, Wisłą. Pakujemy najniezbędniejsze rzeczy do małej walizki i furką zaprzyjaźnionego Gąsiorka jedziemy na przystań w Puławach. Czekamy tam wiele godzin w sporym tłumie chętnych do jazdy. Kiedy przyjdzie statek nie wiadomo. Wisła wysuszona upalnym latem jest bardzo płytka, co utrudnia żeglugę.

Przeżywamy pierwszy nalot. Kiedy na niebie ukazało się kilka samolotów, wszyscy myśleli, że to polscy lotnicy, wybiegli na drogę, machali przyjaźnie rękami, wiwatowali. Ale samoloty zniżyły się, widać było czarne krzyże na skrzydłach, i zaczęły siec z broni pokładowej do wiwatujących. Ludzie nie umieli jeszcze chronić się, byli ranni. Po chwili pojawiły się samoloty z białą-czerwoną szachownicą – polskie – i byliśmy świadkami bitwy powietrznej. Z zapartym tchem patrzyliśmy na te popisy akrobatyczne, w których nagrodą było życie. Jeden, potem drugi samolot, zapaliły się i rozpadły w powietrzu, inny uciekł dymiąc. Z daleka nie można było rozróżnić – z czarnymi krzyżami czy z białą – czerwoną szachownicą. Wydawało się nam, że to Polacy byli górą, że przepędzili Niemców.

Późnym popołudniem zobaczyliśmy wreszcie zbliżający się statek. Ale w odległości ok. kilometra od przystani utknął na mieliźnie. Widać było wysiłki załogi żeby zepchnąć statek na nurt. Bez skutku. Wtedy przyleciały samoloty niemieckie i jak do celu zaczęły ostrzeliwać uwięziony, bezbronny statek. Ludzie skakali z pokładu, usiłowali uciekać po płyciźnie i po łasze w kierunku zbawiennych wiklin porastających brzeg. A samoloty krążyły, wzbijały się w górę, po czym z jazgotem karabinów maszynowych zniżały lot nad statkiem i nad łaczą, po której biegli uciekający. Ze zgrozą patrzyliśmy, jak sylwetki ludzkie, pomniejszone przez odległość, ustają w biegu i padają na piasek.

Nie wiem ile czasu to trwało, ale wystarczająco długo, żeby wprawić patrzących

w przerażenie: to pierwszy dzień wojny, a samoloty niemieckie bezkarnie zapuszczają się aż do środka Polski i ostrzeliwiają ludność cywilną.

Wieczorem znalazł nas na przystani ojciec, jak zawsze niezawodny. Bardzo zaniepokojony, bo zjechał do naszego domu w Kazimierzu i dowiedział się od dozorczyń, że planowałyśmy z matką powrót do Warszawy statkiem. Po drodze opowiedziano mu o ostrzeleniu statku przez niemieckie samoloty i obawiał się, że mogliśmy być na nim.

Droga do Warszawy była ciężka. Już było ciemno. Obowiązywało zaciemnienie – wielki czarny Buick ojca miał reflektory zamalowane granatową farbą. Widoczność była bardzo zła, a szosa zbombardowana. Kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się tuż nad samym brzegiem lejów po bombach. Kierowca nie mógł jechać szybciej niż 20km/godz. Po drodze mijaliśmy Dęblin z palącym się lotniskiem wojskowym. Straszny widok! Nalot musiał być bardzo niedawno. Rzędy płonących hangarów, rzędy palących się i dopalających się wraków samolotów, które nie wystartowały, gdyż – jak się dowiedzieliśmy później, w momencie alarmu przeciwlotniczego, lotnicy dostali rozkaz “do schronów” zamiast “na start”. Głupota – czy sabotaż? Pali się Irena, ubogie przedmieście Dęblina, sąsiadujące z lotniskiem. Mieszkańcy uciekają w popłochu taszcząc co kto zdołał uratować. Nie widać prób gaszenia pożarów.

Przejeżdżamy przez Ryki zbombardowane i palące się. Na szosie tłum ludzi uciekających z dziećmi, ze zwierzętami, z tobołami, przerażonych, krzyczących, idących nie wiadomo dokąd.

Do Warszawy dobiliśmy nad ranem. W sam czas, żeby szofer wraz z Buickiem zdążyli stawić się na wezwanie mobilizacyjne – więcej nigdy Buicka nie widzieliśmy.

Już w pierwszym dniu wojny samoloty niemieckie pojawiły się nad Warszawą i zrzucały bomby. Nie były to intensywne bombardowania, ale sam fakt obecności Niemców nad stolicą pierwszego dnia wojny był zupełnym zaskoczeniem. Mimo nalotów entuzjazm społeczeństwa był ogromny. 3-go września wiadomość o przystąpieniu do wojny Anglii i Francji jeszcze podgrzała nastrój - za tydzień będziemy w Berlinie, a za dwa tygodnie wojna się skończy!.

Ojciec mój nie poddał się ogólnemu entuzjazmowi. Obawiał się, że mosty na Wiśle mogą być zbombardowane i zostaniemy odcięci na Saskiej Kępie, a będąc prezesem zarządu Starachowickich Zakładów Przemysłowych i Zakładów Południowych w Stalowej Woli, chciał mieć stały kontakt z nimi. Przenieśliśmy się więc w pierwszych dniach września na Warecką 15 do biur Starachowic. Kontakt ten okazał się jednak iluzją, gdyż połączenia telefoniczne zostały wkrótce przerwane.

Byliśmy więc we czwórkę: rodzice, Maria i ja. Najstarszy z braci Jerzy, inżynier, oficer rezerwy P.A.N. (pułk artylerii najcięższej) już od początku sierpnia był zmobilizowany wraz ze swym Oplem Olimpią i był przy swojej jednostce koło Włodzimierza Wołyńskiego.

Janusz, oficer rezerwy 1 DAK’u (dywizjon artylerii konnej), w myśl danego ojcu słowa, wracał z wyprawy himalajskiej. Zdążył na wojnę. Pod prąd uciekających z Polski do Rumunii przekroczył granicę i szukał swego dywizjonu artylerii konnej. W zatłoczonej, pełnej wojska, żydowskiej karczmie, ciemnej, oświetlonej jedyną marną świeczką, po głosie uporczywie upominającym się o jajecznicę rozpoznał Jerzego. Razem wzięli udział w bitwie pod Kamionką Strumiłową, po czym przemykając się między frontem niemieckim i rosyjskim, mając niezachwiane przekonanie, że w żadnym przypadku nie można dostać się do niewoli sowieckiej, bo bezmiar przestrzeni ZSSR nie daje szans na ucieczkę do kraju, a na niewolę niemiecką też nie

mając specjalnej ochoty, dotarli do Warszawy tuż po kapitulacji.

Najmłodszy z braci Zbigniew, po licznych chorobach, nigdy nie był w wojsku, 9-go września, po apelu Umiastowskiego aby wszyscy mężczyźni opuścili Warszawę, wyruszył wraz z żoną na bezsensowną wędrówkę po Polsce, podobnie jak tysiące innych mieszkańców stolicy.

Mimo, że pierwszego września powinien nastąpić początek roku szkolnego, szkoły były zamknięte, nikt nie myślał o nauce, wobec czego, zaraz po przeprowadzce na Warecką zgłosiłam się do Harcerskiej Służby Pomocniczej. Komenda mieściła się na zapleczu kina Napoleon, przy placu Trzech Krzyży – dziś mieści się tam hotel Sheraton. Było nas tam kilkanaście dziewcząt w wieku 15 - 17 lat. Używano nas głównie jako gońców - było to zajęcie dla szybko - chodzących, bo komunikacja miejska przestała działać, a zaraz też zamilkły telefony. Poza tym nosiliśmy jedzenie dla żołnierzy na stanowiskach artylerii przeciwlotniczej, a właściwie suchy prowiant, ale zdarzało się, że polecano nam coś ugotować.

Zwłaszcza pierwszy wyczyn kulinarny wyrwał mi się w pamięci: mnie i trzem koleżankom dano wielki kocioł na wózku, worek mąki, poleć słoniny i adres kuchni, gdzie miałyśmy ugotować “pożywną zupę” dla żołnierzy. Żadna z nas nie miała najmniejszego pojęcia jak się zabrać do tego zadania. Cudem udało nam się rozpalić ogień pod kuchnią i zagotować wodę. Jakaś kobieta poradziła nam jak zagnieść ciasto z mąki i wody, porobiłyśmy z niego ogromne kluchy i wrzuciłyśmy do wrzątku razem z grubo pokrajaną słoniną. Wyszła z tego obrzydliwa breja. Drugim cudem było przeniesienie, bez poparzenia się, kotła z wrzącą zawartością z kuchni na wózek i dowiezienie “pożywej zupy” do stanowiska artylerii przeciwlotniczej w dolnej części Łazienek. Biedne chłopaki! Przez całą poprzednią dobę nie dostarczono im żadnego jedzenia i byli tak głodni, że spotkałyśmy się z niekłamanym entuzjazmem i wdzięcznością, bez jednego słowa krytyki. Trzeba przyznać, że gotowałyśmy z samozaparciem nie zważając na alarmy lotnicze, które parokrotnie ogłaszano w czasie naszej męki kuchennej. Szczęśliwie samoloty niemieckie zrzucały bomby gdzieś dalej. Dopiero w drodze z kuchni przy ul. Hożej do Łazienek gdzie stała bateria P-L nalot napędził nam solidnego stracha, bo tym razem bomby padały znacznie bliżej.

Po tym wyczynie zostałyśmy w komendzie uznane za wykwalifikowane kucharki wojskowe. Suma wieku nas czterech wynosiła 63 lata.

W początkowym okresie wojny bombardowania z samolotów nie były bardzo intensywne i wyrządzały stosunkowo niewiele szkody. Mimo iż wielokrotnie w ciągu dnia rozlegały się przez radio charakterystyczne wołania:

“Uwaga, uwaga, nadchodzi...”,

a potem

“Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”

Ludzie reagowali na to na ogół spokojnie, dopiero gdy słyhać było samoloty, ci którzy byli na ulicach chowali się do bram domów, które z braku prawdziwych schronów stanowiły pewną ochronę, ci, którzy byli w domach schodzili z wyższych pięter niżej, ewentualnie do piwnic.

Jednak front posuwał się błyskawicznie. Rząd i ważniejsze instytucje w popłochu opuściły miasto. Umiastowski swoim apelem aby mężczyźni wyszli z Warszawy, spowodował tragiczny exodus, w którym ginęli na drogach tysiącami bezbronni, bombardowani i ostrzeliwani z samolotów.

Skończył się nastrój tromtadracki, nikt nie myślał o zdobywaniu Berlina, ale wśród tych co pozostali zjawiała się jakaś niebywała zaciętość - “nie damy się!”.

Podtrzymywał w tym Warszawiaków prezydent miasta Stefan Starzyński, mianowany cywilnym komisarzem obrony, który swoimi przemówieniami, komunikatami i apelami wygłaszanymi nieustannie przez radio - w ostatnim okresie głosem tak zachrypniętym od ciągłego przemawiania, że ledwo go było słycać - potrafił zorganizować życie w mieście opuszczonym przez rząd i władze i dodawać ducha mieszkańcom i obrońcom. Mój ojciec był członkiem Komitetu Obrony Cywilnej przy Starzyńskim.

Do Warszawy ściągają niedobitki wojska polskiego z jednostek rozbitych przez miażdżącą przewagę niemiecką. Powstaje "Armia Warszawa" dla bezpośredniej obrony stolicy. W ciężkich walkach wojsko polskie zadaje duże straty Niemcom nie spodziewającym się takiego oporu.

Starzyński wzywa cywilów do kopania rowów przeciwczołgowych i strzeleckich wokół przedmieść. 14-go września Warszawa zostaje otoczona ze wszystkich stron zwartym pierścieniem wojsk niemieckich.

Na Woli powstają bataliony robotnicze dla wspomagania regularnych oddziałów wojska. Każdy dom ma zorganizowaną własną obronę przeciwlotniczą (OPL), dyżurni na strychach usiłują gasić pożary wzniecane przez bomby zapalające. Warszawa staje się twierdzą.

17-go września radio podaje wiadomość, że wojska sowieckie przekraczają wschodnią granicę Polski i posuwają się w głąb kraju. Nóż w plecy!

Zaczął się oblężenie. Naloty bombowców naprzemian z ostrzałem artyleryjskim dokonywane z ciężkiej i kolejowej - najcięższej artylerii, systematycznie, kwadratami ulic. Burzyły, zabijały, wznicały pożary. Odpowiedź polskiej artylerii przy tej nawale ognia niemieckiego wydawała się nam ledwie pukaniem.

Zacząła się wędrówka ludzi ocalałych ze zburzonych domów w poszukiwaniu wolnego kąta w jakiejś piwnicy, wzajemne poszukiwania pogubionych członków rodzin. Warunki bytowania stają się coraz trudniejsze: brak elektryczności, brak gazu i co najgorsze - brak wody. Coraz większe problemy z aprowizacją.

Ludzie biją się na ulicach o lepsze kawałki mięsa z koni zabitych w czasie bombardowań. Nigdy konina nie była obiektem takiego pożądania i w takiej cenie.

Dla nas, dziewczyn ze Służby Pomocniczej, to był brutalny kopniak w dorosłość: teraz naszym zadaniem było zbieranie rannych po bombardowaniu, z ulic, z rozbitych domów i odnoszenie ich do Szpitala Ujazdowskiego przy ul. Pięknej. Po cztery dziewczyny na jedno nosze, jedna miała torbę z materiałem opatrunkowym, ale pierwsza pomoc w naszym wykonaniu była fikcją. Byłyśmy po prostu przerażone widokiem krwi, ran, bólu. Rany przykrywałyśmy płacem gazy i ile sił nam starczyło biegłyśmy z noszami do szpitala, byle szybciej pozbyć się tej nieszczęsnej krwawiącej, jęczącej zawartości noszy, oddać ją w ręce sanitariuszy z prawdziwego zdarzenia i lekarzy.

Najgorsze było jednak noszenie trupów, dla mnie, tej najmłodszej w rodzinie, hołubionej, wciąż uważanej za "małą" przez rodziców i rodzeństwo, to nagłe zetknięcie się z taką straszną śmiercią było szokiem.

Pamiętam ostrzał z ciężkiej artylerii placu Trzech Krzyży, gdzie na rogu Hożej stał wielki niewykończony budynek o żelbetowej konstrukcji, robiący solidne wrażenie. Schroniło się w nim dużo ludzi. Przyszedł ciężki ostrzał tego właśnie kwadratu. Natychmiast po ustaniu bombardowania dano znać, że w niewykończonym domu jest masakra. Wskoczyłyśmy z noszami z naszej piwnicy pod kinem Napoleon.

To co zastałyśmy na miejscu to była makabra. Konstrukcja żelbetowa okazała się niewystarczająca jako osłona przed ciężką artylerią. Dom nie miał jeszcze ścian bocznych, tak, że pociski nie tylko załamywały stropy, które zgniatały ludzi, ale wpadały z boków i dosłownie rozrywały nieszczęsnych. Nie wiem ilu ich było. Dużo. Ktoś starszy dyrygował akcją ratowniczą: ranni do szpitala, trupy kazano nam nosić na plac, na skwer przed trzema krzyżami, gdzie potem pochowano je, i gdzie utworzył się już mały cmentarzyk. Nie byliśmy w stanie pozbierać tych ludzi, to były ledwie szczątki - ręce, nogi poszarpane walające się osobno, głowy zmiażdżone z wylewającym się mózgiem.

Potworne!

To chyba tego samego dnia ledwie zdołałam dojść z placu Trzech Krzyży do domu na Wareckiej - na Nowym Świecie wiele budynków zburzonych, wiele paliło się, to samo na Brackiej, żar nie pozwalał podejść, zwały gruzu tarasowały przejście, poczta na rogu Wareckiej i placu Napoleona zbombardowana paliła się. Wydawało się dziwne, że w tym piekle mogą żyć ludzie.

To jeszcze nie było najgorsze.

Późnym wieczorem, przy małej świeczce, w krótkich chwilach ciszy między ostrzałami ojciec czytał głośno "Pana Tadeusza", pięknie czytał.

Potem przyszły dwa straszne dni 27 i 28 września. Bombardowanie naprzemian z samolotów i artylerią, trwało bez ustanku dwa dni i dwie noce. Prawie nie było słyhać naszej, polskiej artylerii - zaczynało brakować amunicji. Wydawało się, że to koniec świata, że nie możliwe żebyśmy z tego wyszli żywi. Ludzie siedzieli przyczajeni w piwnicach, w każdej chwili gotowi do ucieczki w razie zbombardowania domu lub pożaru. Ognia nie było czym gasić, wody nie było, piasek przygotowany przed wojną w akcji OPL w zbyt małych ilościach już zużyto. Między piwnicami poprzebijano otwory, żeby w razie potrzeby ułatwić ucieczkę. Zaczynał się głód.

I nagle zrobiła się cisza. Przerazająca cisza. Nikt nie strzelał, nie bombardował, nie słyhać samolotów. Co to znaczy? Czyżbyśmy przegrali?

To był koniec oblężenia Warszawy. "Festung Warschau" poddała się. Niemcy weszli do zniszczonego, palącego się miasta.

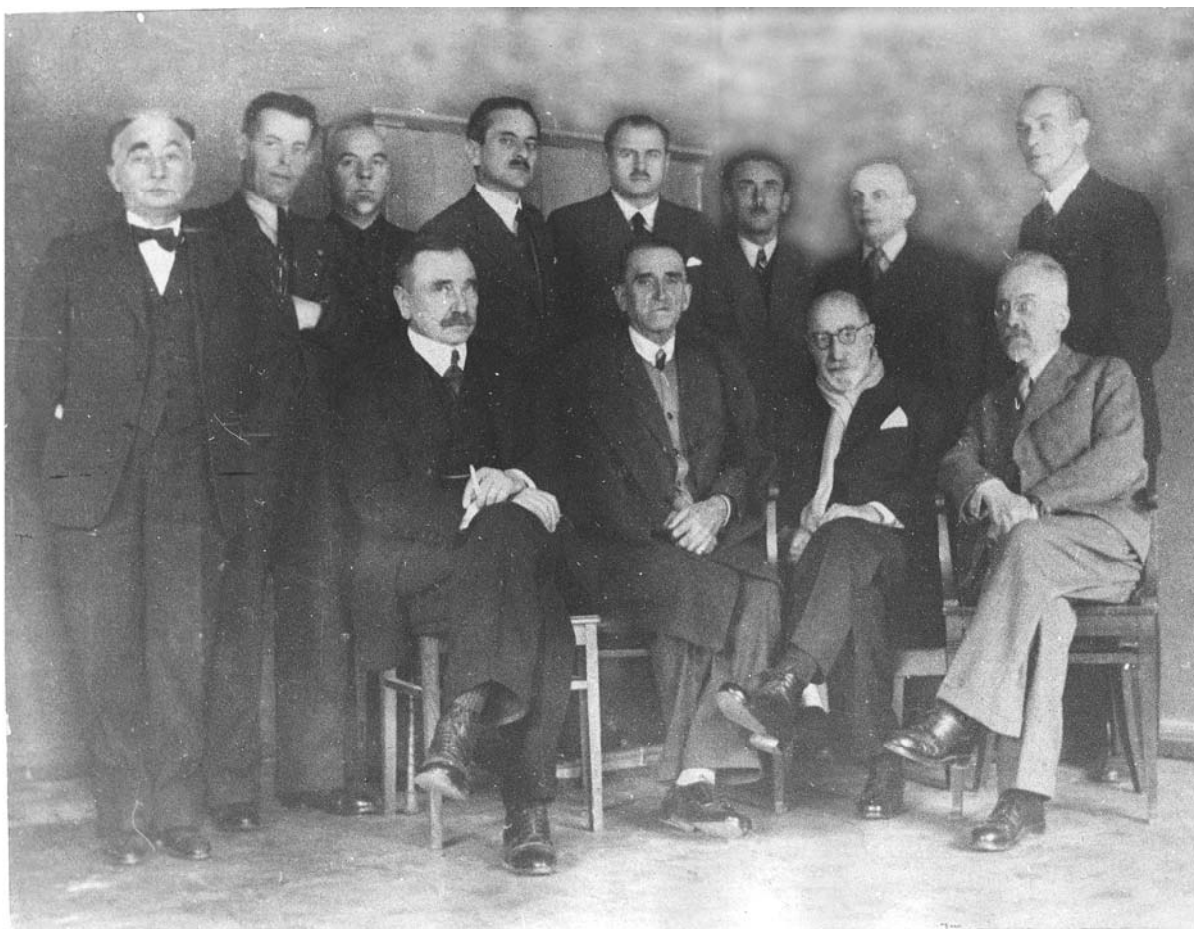
Właśnie skończyłam 17 lat.

Nasza rodzina przeżyła kolejny ciężki dzień, kiedy Niemcy zażądali zakładników na czas defilady wojskowej przed Hitlerem, który przyjechał osobiście święcić triumf. Pierwszym, który się zgłosił był nasz ojciec, drugim S.Starzyński. Cały dzień przesiedziałyśmy z matką i siostrą - nasłuchując czy broń Boże nie słyhać strzałów. Szczęśliwie ojciec wieczorem wrócił. Niemcy zamknęli zakładników pod strażą w pomieszczeniach Ratusza. Defilada odbywała się w Al. Ujazdowskich.

Przez cały ten dzień Polacy mieli zakaz wychodzenia z domów.

Kilka dni po kapitulacji zjawili się moi bracia: Jerzy i Janusz przyjechali furką chłopską zaprzęgniętą w jednego konia (Opla zostawili w majątku znajomych ukrytego pod sianem w stogu), ubrani w cywilne ubrania "od Sasa do Lasa" wyraźnie po ludziach czasem wyższych, czasem grubszych. Ale byli cali i zdrowi.

Wrócił też Zbigniew z żoną z wędrowni po Polsce, wymizerowani, ale zdrowi.



*Zakładnicy na Ratuszu wrzesień 1939r.*

*Stoją: Cz. Klarner (drugi od prawej)*

*S. Starzyński (czwarty od prawej)*

*Siedzą od prawej: prof. Staniszkis,*

*P. Eweist,*

*Ks. Lubomirski*

*P. Śliwiński*

*(Zdjęcie ze zbiorów Komisji badania zbrodni hitlerowskich)*

Jesteśmy znów wszyscy razem.

Saska Kępa jest stosunkowo mało zniszczona, ale nasz dom na Francuskiej jest tak postrzelany, że nie nadaje się do mieszkania. W jadalnym pokoju wybuchły trzy pociski z granatnika, z czego jeden w samym kredensie. Cała zastawa stołowa została dosłownie sproszkowana. Reszta domu wygląda nie wiele lepiej. Dom jest nie tylko mocno uszkodzony, ale i splądrowany - przez wyrwy w murze i rozwalone drzwi mógł wchodzić bez dużego trudu kto tylko chciał. Straciliśmy znaczną część naszego dobytku.

Przenosimy się do pałacyku znajomych, pp. Komorowskich w Alejach Ujazdowskich nr 26 (dziś to nr 14). Zajmujemy całe piętro, mieści się cała rodzina, zamieszkują z nami babcia mojej bratowej i siostra Iza – moja równolatka. Najpierw my młodzi sprowadzamy ocalałe meble i resztki dobytku, urządzamy mieszkanie, rodzice przeniosą się później. W długim korytarzu prowadzącym do kuchni ustawiamy worki z mąką przywiezioną przez Janusza ze wsi, paczki z naszymi rzeczami, worki z kredą, z której Zbigniew z Kidą produkują niemal przemysłowo kit do szklenia okien - w całej Warszawie niema chyba ani jednego całego okna. Zaraz pierwszego dnia po naszej przeprowadzce zamawiamy u gosposi, na śniadanie kluski kładzione - chleb jest wciąż nieosiągalny. Gosposia przynosi nam miskę z zarobionym na kluski ciastem i mówi, że jakieś dziwne to ciasto, czy ta mąka to aby dobra? Janusz, który tę mąkę kupił i przywiózł poczuł się dotknięty podaniem w wątpliwość jej wysokiego gatunku. Poleciał robić kluski. Gosposia po dłuższej chwili zjawia się z półmiskiem dziwnej masy, która ma być kluskami. Bezradnie rozkłada ręce:

“Ja nie wiem co to wyszło”

Janusz próbuje i stwierdza:

“Nieźle, ale będzie jeszcze lepsze jak się podsmaży.”

Ale kiedy po paru minutach gosposia demonstruje nam na patelni coś co ani trochę nie przypomina klusek, ktoś przytomnie pyta:

“A z którego worka wzięła gosposia mąkę”

Okazało się, że była to kreda do wyrobu kitu. Na kluski się jednak nie nadawała.

W pałacyku w Alejach, mimo przegranej wojny, okropności klęski, strat, jest nam chwilami nieprzyzwoicie wesoło. W długie wieczory przymusowo spędzane w domu - godzina policyjna od 20-ej do 6-ej rano – potrafimy dokazywać jak dzieci. Te stare konie, moi bracia, poważni panowie inżynierowie wymyślają psikusy godne 10-latków Janusz kiedyś powiedział:

“Jeśli my tak będziemy zawsze mieszkać razem, to się nigdy nie zestarzejemy.”

Niestety, nie było nam to dane.

Niemcy wprowadzają godzinę policyjną. Od godziny 20-tej Polakom nie wolno przebywać na ulicach bez przepustki, ale Polacy praktycznie przepustek nie dostają. Patrole krążą po mieście i jeżeli kogoś zatrzymają bez przepustki – aresztują, a zdarza się też, że strzelają bez ostrzeżenia.

Niemcy likwidują polską prasę, natomiast wydają po polsku Nowy Kurier Warszawski popolicie zwany “szmatławcem”, w którym można przeczytać wyłącznie hymny pochwalne na cześć Hitlera, armii niemieckiej i “wielkiej rzeszy”. Istnieje w społeczeństwie polskim niepisany, ale surowy zakaz kupowania szmatławca. Podobnie równie przestrzegany jest zakaz uczęszczania do kin i teatrów, gdyż w cenie biletów mieści się pewna suma na armię niemiecką. Na murach pojawiają się liczne rysunki świnek przed ekranem kinowym i napisy:

“Tylko śwynie siedzą w kinie”

Niemcy każą oddać wszystkie odbiorniki radiowe - za posiadanie radia grozi rozstrzelanie. Nasz piękny Telefunken, który ostał się bombardowaniu zostaje zakopany w ogródku przy domu na Francuskiej. Niestety nie przetrzymał wojny – rozsypał się.

Okupant rekwiruje wszystkie auta i motocykle.



Mimo ogromnych strat jakie poniosła Warszawa w ludziach, w domach, majątku, jednak życie zaczyna się powoli organizować. Podstawowa sprawa to szklenie okien, w domach, które się ostały i uprzątnięcie gruzów. Węższe ulice w wielu miejscach są tak zawalone gruzem, że z trudem tylko można przejść, o przejechaniu nie ma mowy.

Wiele domów jest zburzonych tylko częściowo, przeciętych bombą na pół, przez kilka pięter, jak nożem. Odslaniają swoją intymność, ukazują czyjeś ocalałe szczątki mebli: tu szafa wisząca nad zerwanym stropem, tu łóżko, ówdzie wanna grozi, że zaraz spadnie, firanka powiewa w ocalałym oknie nieistniejącego mieszkania.

Te zachowane częściowo domy są bardzo niebezpieczne, grożą zawaleniem.

Specjaliści muszą ocenić co się da uratować i zabezpieczyć, a co zburzyć do reszty. Przy usuwaniu gruzów zburzonych domów odkopuje się trupy ludzi zabitych w bombardowaniu.

Sytuacja finansowa ojca zmienia się diametralnie - stracił wszystkie swoje źródła dochodów. Oszczędności nie ma. Jako lojalny obywatel państwa polskiego oszczędności lokował w akcjach wielkich przedsiębiorstw i w obligacjach - dziś mają one tylko wartość makulatury. Pozostaje firma Drzewiecki i Jeziorański, która po raz kolejny straciła prawie cały majątek wskutek działań wojennych, ale jednak w skromnym zakresie usiłuje wznowić działalność. Niewielkie sumy otrzymywane z firmy D-J pozwalają nam przetrwać.

Na ulicach zjawiają się długie szeregi wozów konnych wywożących poza miasto gruz. Mój brat Janusz z inżyniera elektryka zamienia się w woźnicę i furmanką wymienioną za Opla, też wozi gruz.

Jerzy wraca do pracy w fabryce Lilpopa, gdzie pracował przed wojną, Maria, absolwentka SGH dostaje pracę jako ekspedientka w sklepie z materiałami.

Ruszą szkoły. Budynek mojej szkoły przy placu Unii Lubelskiej istnieje, mocno postrzelany, okna częściowo zabite dyktą, w salach ciemnawo. Po kilku dniach jako tako zorganizowanych lekcji - nie wszyscy nauczyciele stawili się w szkole - Niemcy wydają zarządzenie, że polskie dzieci i młodzież mogą się uczyć wyłącznie w szkołach podstawowych i zawodowych, każde dalsze wykształcenie jest dla nich zabronione. Nasza szkoła przekształca się więc w zawodową szkołę handlową. Mnie to jednak nie odpowiada. Ponieważ przełożone organizują równoległe tajne komplety z programem licealnym zgłaszam się na nie. W komplecie jest 4-5 dziewcząt, lekcje odbywają się w domach prywatnych, głównie u nauczycieli. Przychodzimy na lekcje i wychodzimy pojedynczo, najwyżej po dwie, nie nosimy teczek z książkami i zeszytami, używamy raczej pojedynczych kartek, które chowamy w torebkach czy kieszeniach. Oczywiście nie nosimy mundurków. Staramy się nie zwracać na siebie uwagi, na ulicy ani w tramwaju nigdy nie rozmawiamy o nauce. Godzin lekcyjnych jest znacznie mniej niż w normalnej szkole. Ze względów organizacyjnych i żeby nie narażać uczennic na ciągłe bieganie po mieście, zwykle lekcje jednego przedmiotu trwają dwie godziny, albo i dłużej, ale przy tak małej liczbie uczących się i tak bliskim kontakcie uczeń - nauczyciel nauka o wiele lepiej wchodzi do głów, a nauczycielom o wiele łatwiej zorientować się w naszych umiejętnościach. Przy tym działa duch przekory: lepiej smakuje to co zakazane, a tu nie tylko, że zakazane, ale i niebezpieczne, grożące aresztowaniem. To stwarza, że nauka stała się dla nas czymś bardzo cennym i pożądanym. Myślę, że potwierdzą to inni, którzy brali udział w tajnym nauczaniu.

Z Basią Drapczyńską - późniejszą Baczyńską - jesteśmy w tym samym komplecie. Stajemy się nierozłączne.

Dwa lata liceum (wtedy po szkole podstawowej były cztery klasy gimnazjum, a następnie dwa lata liceum) odbyte na tajnych kompletach wspominam - mimo całej otaczającej nas grozy - jako najprzyjemniejszy okres szkoły. Właśnie ten bliski kontakt z nauczycielami i nasza gotowość do nauki stwarzała niemal przyjacielski nastrój na lekcjach. Pamiętam przemilała nauczycielkę francuskiego, dla nas starszą panią (pewnie nie miała jeszcze pięćdziesiątki) – ex - lektorę Sorbony, mówiącą piękną francuszczyzną z paryskim akcentem, której bomba rozpruła dom na pół. Ocalała kuchnia i wielki pokój jadalny o ścianach zastawionych do sufitu regałami z książkami. Barbarę i mnie darzyła szczególną sympatią, pożyczała nam francuskie książki ze swego księgozbioru, a kiedy przeczytałyśmy, zatrzymywała nas po lekcjach na dyskusje o książkach prowadzone w języku francuskim. To jej głównie zawdzięczam niezłą znajomość literatury francuskiej i języka francuskiego.

W maju 1941 roku zdawałyśmy maturę. Odbywało się to w mieszkaniu pp. Rabcewicz, rodziców jednej z koleżanek. Przy stoliku do kart, z rozłożoną licytacją bridżową zasiadała komisja złożona z naszych nauczycieli, w razie wpadki i nalotu gestapo mieli udawać, że grają w bridża. O ile sobie przypominam egzamin maturalny był tylko ustny i odbył się hurtowo jednego dnia ze wszystkich przedmiotów. Wymagały tego zasady konspiracji. Nasza piątka przystępująca do egzaminów była oczywiście zdenerwowana jak wszyscy maturzyści na świecie. Komisja traktowała nas z wyrozumiałością, albo my byłyśmy dobrze przygotowane, dość, że żadna nie oblała. Świadectwo na piśmie, ze zdanego egzaminu dojrzałości, z “ogólnym wynikiem zadawalającym”, dostałam dopiero po wojnie. Nie można było ryzykować wpadki całej skomplikowanej organizacji tajnego nauczania przez zbyt dokładną dokumentację.

### **Pomoc**

Wkrótce po kapitulacji Warszawy dostajemy sygnał, że w Szpitalu Ujazdowskim leży bardzo wielu rannych żołnierzy polskich, będących jeńcami wojennymi, pod strażą niemieckich żandarmów. Wyżywienie w szpitalu było gorsze niż złe, nasi żołnierze po prostu głodowali. Powstaje więc cała organizacja dożywiania. Mieszkańcy okolic szpitala z Al. Ujazdowskich, ul. Pięknej, Wiejskiej deklarują posiłki, co kto może. Wszystkim jest bardzo ciężko - trochę zupy, kaszy, czy klusek, chleb, rzadko kawałek mięsa. Od niemieckiego dowództwa szpitala udaje się wydostać kilkadziesiąt przepustek dla młodych dziewcząt i kobiet (mężczyzn wolimy do tego nie zatrudniać) i z menażkami, garnkami, słoikami biegamy we trzy z Marią i Izą, o określonych godzinach, po mieszkaniach ofiarodawców, zabieramy jedzenie i nosimy je do szpitala. Każda z nas “mężczyzn” ma określone sale, które aprowizuje, tak, że wkrótce zawieramy znajomości i zyskujemy zaufanie rannych żołnierzy. Dowiadujemy się, że każdy z nich jak tylko zostanie podleczonej na tyle żeby chodzić, marzy o ucieczce ze szpitala. Niestety Niemcy co jakiś czas przeprowadzają selekcję rannych i wyleczonych wysyłają do obozów jenieckich do rzeszy, skąd ucieczka jest bardzo trudna i ryzykowna. Wydaje się, że ucieczka ze szpitala jest znacznie łatwiejsza. Główny problem polega na zdobyciu cywilnego ubrania, co w zniszczonej Warszawie nie jest łatwe. Puszczamy więc chyr po znajomych, że potrzebujemy męskich ubrań wszelkich rodzajów i rozmiarów. I tu Warszawiacy stanęli na wysokości zadania. Przynoszą nam przeróżne kawałki męskiej garderoby (zdarzył się nawet frak!), z których składamy stroje niezbyt zwracające

uwagę i jako tako dopasowane do figur konkretnych żołnierzy.

Teraz zaczyna się poważna trudność jak dostarczyć ubranie na sale rannych. Przy wejściu do szpitala stoi niemiecka warta starannie sprawdzająca nasze przepustki i zawartość naszych toreb z prowiantem. Po szpitalu też kręcą się patrole pomiędzy pawilonami i na korytarzach. Marynarkę czy koszulę można od biedy włożyć na siebie, na własne ubranie - ale spodnie? Wtedy nie było mody damskiej dopuszczającej kobietom noszenia spodni w mieście, a tylko dla uprawiania sportów. Transport spodni wymagał najwięcej pomysłowości. Okręcałyśmy się nimi w pasie, albo złożone przyczepiało się agrafkami na plecach pod żakietem czy marynarką.

Kiedy już dostarczyłyśmy ubranie na salę rannych i jakoś tam dopasowało się je do żołnierza planującego ucieczkę, zaczynał się kolejny kłopot – jak ubranie ukryć? Posiadanie cywilnych ubrań było surowo zabronione przez Niemców, jeśli je wykryto posiadacz zostawał natychmiast wysłany do obozu. Kandydat nie obawiał się donosu ze strony swoich kolegów, ale w obsłudze, wśród sanitariuszy mógł się zdarzyć ktoś niepewny. Żołnierze, którzy dostali cywilne ubranie musieli jak najszybciej opuścić szpital. Mieli opracowane ścieżki ucieczki, zdaje się, że najczęściej uciekło przez pawilon administracyjny, który miał wyjście na miasto, względnie mało strzeżone. Cała ta akcja nie trwała długo, chyba nieco ponad miesiąc, Niemcy zorientowali się, że im się remanent nie zgadza i pewnego dnia cofnęli menażkowym wszystkie przepustki, zaostrzyli reżim i wkrótce potem wywieźli polskich żołnierzy do stalagów. Ale kilkudziesięciu chłopakom udało się uniknąć obozu.

\*\*\*

W końcu października czy na początku listopada 1939 r. Niemcy oklejają Warszawę ogłoszeniami wzywającymi wszystkich oficerów zawodowych i rezerwy do stawienia się w określonym dniu i godzinie na peronie dworca Gdańskiego, w mundurach wojskowych z rzeczami osobistymi celem wyjazdu do oflagu - obozu jenieckiego dla oficerów. Niestawienie się grozi aresztowaniem. Moi bracia Jerzy i Janusz obaj oficerowie rezerwy odbywają długą naradę. Co robić? Postanawiają nie zgłaszać się, ale choć w przybliżeniu chcą wiedzieć ilu oficerów stawi się na wezwanie Niemców. Delegują mnie. Mam wprawdzie skończone 17 lat, ale wyglądam bardziej smarkato, więc nic mi nie grozi. Mam przejść na piechotę przez wiadukt nad dworcem Gdańskim i postarać się policzyć odjeżdżających oficerów. Uczą mnie orientacyjnego liczenia dużych grup, dają swoje błogosławieństwo i przykazują w razie gdybym była obserwowana natychmiast wsiadać w tramwaj i uciekać. Wyruszam w poczuciu ważności mojej misji, lekko zemocjonowana maszeruję przez wiadukt. Nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Natomiast ja mam z wiaduktu świetny widok na grupę wojskowych z bagażami na peronie dworca. Trzykrotnie przechodzę wolno tam i z powrotem i liczę. Wychodzi mi 280 do 300 osób. Zdaję braciom relację. Są zadowoleni. Wyliczają, że w Warszawie jest kilka tysięcy oficerów czyli, że zgłosiło się prawdopodobnie mniej niż 10% i dochodzą do wniosku, że zanim Niemcom uda się skompletować listy oficerów będzie można wystarać się o zaświadczenie z pracy "Kriegswichtig" - potrzebny dla celów wojennych - co będzie reklamować w razie ponownej branki do oflagów.

W tym czasie wielu żołnierzy, a zwłaszcza oficerów, przedostaje się przez zieloną granicę na Słowację i dalej przez Węgry, Jugosławię, Włochy do Francji, do tworzących się tam jednostek armii polskiej. Przez nasz dom przechodzą "turyści"

wspierani radami przez Jerzego i Janusza. M.in. przechodzą dwaj bracia Nowakowscy z Poznania (Poznań należy do Reichu). Mieszkają u nas kilka dni, kompletują wyposażenie, dostają mapy, kontakty i umawiają się z nami, że będą pisać o swoich perypetiach jakby o swoim zdrowiu. Po kilku miesiącach dostajemy od jednego z nich list z Turcji (była neutralna) z długim i szczegółowym opisem skomplikowanej operacji wyrostka robaczkowego, którą jakoby przeżył. Głowimy się co też mogło mu się przytrafić. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że istotnie miał zapalenie wyrostka robaczkowego tzw. rozlane i niedaleko mu było do śmierci.

\* \* \*

Warszawa wyludnia się, podobnie jak cała Polska. Chyba nie ma rodziny, która nie straciłaby kogoś z bliskich. W Warszawie straty wśród ludności cywilnej, w zabitych i rannych, są niemal tak duże jak straty wojska biorącego udział w obronie. Do niewoli dostaje się prawie trzy czwarte blisko milionowej armii polskiej. Tyle rodzin zostaje pozbawionych swoich mężów, braci i synów. Teraz kobiety – nieraz do tego całkiem nieprzygotowane – muszą przejąć obowiązki utrzymania rodzin w ciężkich warunkach okupacyjnych.

Moi czterej bracia stryjeczni, wszyscy oficerowie rezerwy, dostają się do niewoli. Tadeusz Klarner do niemieckiej. Oficerowie – jeńcy, przebywający w oflagach byli chronieni konwencją genewską, która zabraniała zmuszania ich do pracy. Wyżywienie w obozach było marne, ale w całej Rzeszy w tym okresie była bardzo ciężka sytuacja żywnościowa, obowiązywały kartki na wszelkie produkty, a przydziały były bardzo skąpe. Każda polska rodzina mająca kogoś w obozie słała mu paczki ze smalcem, cebulą, sucharami, i w miarę możliwości, jakimiś dodatkami. Listy z obozów, tęsknie oczekiwane, były czytane przez bliższą i dalszą rodzinę oraz przyjaciół. Często były to listy drukowane, w których można było tylko wykreślić np. jestem zdrow – chory, czuję się dobrze – źle, a na prawdziwą korespondencję przeznaczano jedną krótką linię. Pamiętam jednak taki właśnie drukowany list z roku 1943 czy 44. U spodu listu, zamiast podpisu, zamaszystym charakterem, widniały słowa:

“Wszystko w gruzach”

Cenzor nie zwrócił na to uwagi. Taka wiadomość bardzo podnosiła nas – tu w kraju – na duchu.

Nie zawsze jednak przychodziły tylko listy – ankiety. Bywały listy normalne, pełne tęsknoty i niepokoju o bliskich, przychodziły wiersze, które krążyły w odpisach po całej Polsce. Pamiętam długi patriotyczny wiersz:

“Kriegsgefangenen post to numer, to dom, to ulica...”

albo humorystyczny wiersz o wszach:

“Pierwszy raz się w szwach zaszywszy,  
w szyku pieszym wyszły trzy wszy...”

w listach niedrukowanych, w których można było względnie swobodnie pisać stosowano swoisty szyfr w podawanych wiadomościach, aby zmylić cenzora. Utarło się, że “ciocia Frania” to Francja, a “ciocia Ania” to Anglia. Ale cenzorzy nie byli tacy całkiem głupi. Kiedyś któryś z jeńców na przełomie 1939/40 r. Napisał, że:

“Wiosna idzie. Ciocia Ania z ciocią Franią zrobią pranie, a potem będą wieszać”  
co miało oznaczać, że Anglia z Francją pobiją Niemców, cenzor dopisał czerwonym ołówkiem:

“ciocia Ania z ciocią Franią się zes... i nie mają siły prac”

Trzeba jednak powiedzieć, że oficerowie w niemieckich obozach jenieckich przetrwali wojnę w sposób na pewno uciążliwy, ale względnie bezpieczny. Bez łapanek, bez aresztowań, bez codziennej, ciężkiej walki o byt, jak to miało miejsce na terenie całej Polski.

Szeregowcy, którzy dostali się do niewoli niemieckiej byli przetrzymywani w stalagach, gdzie zmuszano ich do pracy w różnych zakładach przemysłowych.

Witold, Józef i Czesław Klarnerowie trafili do niewoli sowieckiej. Dwaj pierwsi znajdują się później na listach katyńskich, o trzecim, jedyną wiadomość podał towarzysz z obozu, że Czesław zmarł na tyfus w obozie w Karagandzie.

Od Witolda z Kozielska przyszedł tylko jeden list, krótki i jakby oficjalny, wyraźnie pisany z obawą, żeby nie narażać się cenzurze. Jego żona pisała do niego kilkakrotnie, ale czy doszły te listy? W styczniu 1940r. Urodziła się ich córka Magda.

### **Pierwsza zima pod okupacją**

Nadchodzi pierwsza wojenna zima. Straszna. Natura nie ma litości dla Polaków, a zwłaszcza dla Warszawiaków. Ludzie mieszkają w byle jak odremontowanych domach, nieraz częściowo zburzonych, mało kto ma podwójne szyby w oknach, bo zabrakło szkła, większość Warszawiaków potraciła swój dobytek, w tym ciepłe ubrania, brak pieniędzy na nowe, tylko nieliczni mają stałe dochody, ludzie kombinują jakieś handle, jakieś pośrednictwa, wymyślają przedziwne zajęcia byle tylko zdobyć trochę grosza. Niemcy unieważnili polskie pieniądze - wymieniają je po 500zł na osobę na nowe tzw. "młynarki", banknoty z podpisem dyrektora mennicy Młynarskiego. Nawet jeśli ktoś miał stare pieniądze, to dziś mogą mu służyć najwyżej na podpałkę.

Dostaw węgla dla ludności Warszawy praktycznie nie ma. Węgiel kupuje się po paskarskich cenach od złodziei, którzy kradną go z narażeniem życia z wagonów wiozących zaopatrzenie dla Niemców. Często złodziejami są kilkunastoletni chłopcy.

Marzniemy okrutnie. Z niedogranych mieszkań, często po niewystarczającym posiłku wychodzi się w nie dość ciepłych ubraniach na siarczysty mróz z lodowatym wiatrem. Jestem zmarzłuchem, biegając z lekcji na lekcję trzęsę się z zimna, z oczu ciurkiem lecą mi łzy i natychmiast zamarzają na policzkach. Odmroziłam policzki, dłonie, stopy. Tworzą mi się na nich podpuchnięte, czerwone placki, które bardzo boją, zwłaszcza w nocy kiedy się rozgrzeją.

W mieszkaniu mamy zimno. Wielkie pokoje, wysokie, były trudne do dogrzania zapewne nawet w czasach kiedy węgiel nie stanowił problemu. Ale teraz kiedy węgiel jest na wagę złota, a tego złota nie ma, piece są ledwo letnie. Marzniemy. Trochę pomagają tzw. termy. Jest to rodzaj piecyków żeliwnych montowanych w otwartych drzwiczkach pieców kaflowych. Zużywają one znacznie mniej opału niż piece, dają ciepło od razu w momencie rozpalania, ale niestety grzeją dopóki się w nich pali. Potem znów robi się zimno. Stałym widokiem na warszawskiej ulicy stają się rury od tzw. "kóz" sterczące z okien przez dziury wycięte w szybie czy dykcie. Nie wiem skąd wzięła się ta nazwa, bo w niczym kozy nie przypominają. Grzeją podobnie jak termy, póki się w nich pali, ale są oszczędne, można w nich palić byle czym, można nawet na nich gotować.

Niemcy wprowadzają kartki na żywność. Choć kartki opiewają m.in. na mięso,

tłuszcze, cukier, praktycznie można kupić na nie tylko marmoladę z buraków, obrzydliwy chleb z trocinami i zawsze wódkę, jakby Niemcom zależało na rozpijaniu Polaków.

Apropozycja miasta opiera się na szmuglerach – nowe słowo – którzy jeżdżą na wieś i skupują u chłopów żywność, często za wódkę lub ubrania – “młynarki” mają małą wartość. Ten handel łączy się z dużym ryzykiem dla obu stron: chłopci są obowiązani dokonywać przymusowych dostaw dla Niemców wszystkiego co wyhodują. Za ukrycie części zboża czy świniaka grozi aresztowanie i wysyłka do obozu. Z kolei szmuglerzy są tropieni przez żandarmów i jeśli dadzą się złapać tracą cały towar i też bywają aresztowani, a często pobici. Sposoby ukrywania towaru przez szmuglerów bywają niebywale przemyślnie, ale też czasem odbierające apetyt. Najprostszy sposób to podwieszenie kielbas pod kurtką czy płaszczem, tak żeby na zewnątrz nie były widoczne. Słoninę i mięso okręcają wokół tułowia, na gołe ciało, kombinują w wagonach różne skrytki, potrafią wpuścić kielbasy w otwór sedesu w ubikacji, blokują potem drzwi do W.C. i nikogo nie wpuszczają. Czasem w razie rewizji, szmuglerzy robią “zrzutkę” i wykupują się żandarmom. Nic więc dziwnego, że kiedy towar dociera wreszcie do warszawskiego mieszkania jego cena wzrasta niebotycznie.

Nasza rodzina jest w nienajgorszej sytuacji: Janusz, kiedy jeszcze miał konia i furkę, pojechał na wieś i przywiózł kilka worków mąki, worek maku, kilka półci słoniny, kupił też sto kilo stockfische, który zajął pół strychu. Piecze się więc w domu chleb, który dostajemy “na deser” po obowiązkowym, kartkowym. Częstym daniem są też kluski z makiem. Najgorszym dopustem boskim jest stockfisch. Są to duże płyty ryby, chyba dorsza, suszone na skałach, twarde jak drewno. Żeby cokolwiek dało się z nich zrobić trzeba je moczyć w wodzie co najmniej przez trzy dni. Śmierdzą przy tym niemiłosiernie w całym mieszkaniu. Po trzech dniach moczenia miele się je, formuje kotlety i smaży na oleju. Jest to wyjątkowe cuchnące świństwo, ale trzeba przyznać ma znaczną wartość odżywczą - bądź co bądź jest to białko, którego bardzo mało dostajemy w innej formie. Starczyło nam tego stockfische na dwa lata. Jeszcze dziś wzdragam się na wspomnienie jego zapachu i smaku.

\* \* \*

Na początku grudnia 1939 r. Warszawa dowiaduje się ze zgrozą o rozstrzelaniu przez Niemców kilkudziesięciu przypadkowych mieszkańców Wawra, jako odwet za zabicie niemieckiego żołnierza w tamtejszej restauracji. Właściciela restauracji Niemcy powiesili na drzwiach jego zakładu. Zaczyna się terror. Stolicą G.G. (Generalnej Guberni) jest Kraków. Warszawa jest siedzibą władz okupacyjnych distrikt Warschau i głównym ośrodkiem gnębienia ludności. Więzienia na Pawiaku, na Rakowieckiej, siedziba Gestapo w al. Szucha zyskują groźną i ponurą sławę. Niemcy dokonują masowych egzekucji w Palmirach, w lasach Chojnowskich. Giną w nich ludzie znani i cenieni przez społeczeństwo polskie, profesorowie, artyści, lekarze, księża.

Niemcy wymieniają wszystkim dorosłym mieszkańcom G.G. dowody osobiste na kenkarty. Wprowadzają przymus pracy - nikt nie ma prawa uchylać się od pracy dla potrzeb Rzeszy. Zaczynają się łapanki. Żołnierze niemieccy otaczają pewien odcinek ulic, podjeżdżają tzw. budy - duże ciężarówki kryte brezentem, legitymują wszystkich znajdujących się na ulicy i jeśli ktoś powyżej szesnastego roku życia nie ma dość

“mocnego” ausweis’u (zaświadczenia z pracy), ładują do bud, a potem aresztują albo przez urząd pracy na ul. Skaryszewskiej wysyłają do Niemiec do fabryk lub do bauera na przymusowe roboty. Ilość ludzi aresztowanych i wywożonych szła w dziesiątki tysięcy.

Każdy stara się o jak najlepszy ausweis. Zwłaszcza cenione są te z “wronami” czyli z pieczęcią z niemieckim orłem, wydawanymi przez zakłady pracy w jakiś sposób związane z pracą dla Niemców.

Janusz do spółki z dwoma kolegami inżynierami otwiera “Start” duży warsztat naprawy samochodów, zatrudniający około 100 pracowników, w wielkiej hali przy ul. Jagiellońskiej 4/6. Poza doświadczonymi w zawodzie majstrami, jako chłopcy warsztatowi pracuje tam wielu młodych ludzi, którzy przed wojną rozpoczęli studia na politechnice. Wielu z nich potem należało do konspiracyjnego oddziału A.K. dowodzonego przez Janusza. W biurze warsztatu znajduje zatrudnienie wiele osób, które do tej pory nie miały nic wspólnego z mechaniką. Między innymi nasz kuzyn Stefan Klarner magister praw, przemily i przystojny Zygmunt Rodowicz (brat Anody) magister S.G.H., później zaprzyjaźniony z Januszem i w jego oddziale, zabawny zawodowy podoficer pan Waław, mawiający:

“Ja czy trzeba czy nie trzeba raz na tydzień się golę.”

Zbigniew Florczak parający się literaturą i wielu innych.

Warsztat zostaje wzięty pod niemiecki zarząd i ma reperować niemieckie samochody wojskowe. Dzięki temu pracownicy otrzymują znakomite ausweis’y z “wronami”. Mimo niemieckiego zarządcy uprawia się w “Starcie” sabotaż, zaufani monterzy reperują samochody tak, żeby po przejechaniu 100 - 150 kilometrów ponownie stanęły. Niezawodnym sposobem, a przy tym nie do wykrycia było sypanie cukru do karburatora. Murowane zatrzymanie silnika z “niewiadomych przyczyn”, w odległości ok. 150 km od warsztatu.

W “Starcie” rozpoczynam moją pierwszą płatną pracę. Jeszcze w końcu 1939 r. ojciec namówił mnie na kurs maszynopisania, dzięki czemu mogę zostać zatrudniona (na pół etatu - chodzę przecież do liceum tajnego) - jako maszynistka i “panienka z okienka” w biurze warsztatu. Pracuję w nim aż do powstania, a ausweis z wroną, z którym się nie rozstaję przydał mi się parokrotnie.

\* \* \*

Dziwny jest polski naród. Przegraliśmy wojnę, Polska jest podzielona między Niemcy i Sowiety, Warszawa zniszczona, ogromne straty wśród mieszkańców. Mamy trudną do zniesienia okupację niemiecką, jesteśmy aresztowani, wsadzani do więzień i obozów, żyjemy w biedzie, czasem w nędzy, wszędzie braki i niedostatek. Wydawałoby się, że powinniśmy być jako społeczeństwo zgnębieni, w skrajnej rozpacz, tymczasem wcale tak nie jest. Wszystkim się wydaje, że wojna potrwa tylko parę miesięcy, że Anglia z Francją rozbiją Niemcy, a potem zaraz będzie świetnie. Kiedy któryś z moich braci powiedział, że wojna skończy się za pięć lat, rzuciliśmy się na niego z wściekłością:

“Jak możesz coś podobnego mówić!”

Na murach pojawiają się napisy:

“Im słońeczko wyżej tym Sikorski bliżej”

Grupy dzieci, często obdartych i wymizerowanych, wyśpiewywały na ulicach dla

zarobku piosenki na dziadowskie melodie wykpiwające Niemców i Hitlera, w rodzaju:

“Siekiera, motyka bimber alasz,  
przegrał wojnę głupi malarz...”

wcale nie przejmując się chodzącymi po ulicach Niemcami, którzy nie rozumiejąc słów przyjaźnie uśmiechali się do dzieciaków i rzucali im pieniądze.

Spółeczeństwo stawia się okoniem w stosunku do okupanta, sabotuje jego zarządzenia, na każdym kroku usiłuje mu się przeciwstawić. Wszyscy robią coś przeciwko Niemcom. Młodzież wbrew zakazowi uczy się konspiracyjnie, chłopci ukrywają ile im się uda ze swojej produkcji rolnej, dzięki czemu szmuglerzy mają co szmuglować do głodzonych miast. Powstaje i na masową skalę rozszerza się ruch oporu. Działa konspiracyjna prasa. “Biuletyn Informacyjny” i inne gazetki to przeważnie jedna kartka papieru drukowana na powielaczu gęstym maczkiem z wiadomościami z nasłuchu radiowego BBC, dzięki którym jesteśmy dobrze poinformowani o tym co się dzieje na świecie.

Niemcy z pasją tępią nielegalne drukarnie i stacje nadawczo - odbiorcze. Ich nakrycie kończy się z reguły zastrzeleniem wszystkich pracujących w nich Polaków. Jednak “Biuletyn Informacyjny” wychodzi mimo represji i strat w ludziach i spręcie przez całą prawie okupację i stanowi niesłychanie ważny element podtrzymywania ducha w społeczeństwie. Każda karta Biuletynu jest czytana przez co najmniej kilka rodzin dobrze sobie nawzajem znanych i zaufanych, na zasadzie “podaj dalej”.

Tworzy się konspiracyjna armia, załóżek przyszłej Armii Krajowej, świetnie zorganizowana, która z czasem stanie się największą w okupowanej Europie armią podziemną, liczącą 250 tysięcy ludzi, działającą w ścisłym kontakcie z rządem emigracyjnym, najpierw w Paryżu, potem w Londynie, i przygotowująca przyszłe zbrojne powstanie przeciw okupantowi.

Jerzy i Janusz biorą w tym czynny udział.

Cywilną władzę konspiracyjną stanowi delegatura rządu emigracyjnego, w której nasz ojciec jest szefem departamentu finansowego. Zarządzał finansami państwa podziemnego od początku powstania delegatury aż do wiosny 1944r., kiedy widać już było zbliżający się koniec wojny i wśród członków delegatury rozpoczęły się dyskusje nad kształtem przyszłego rządu polskiego i obsadą stanowisk. Ojciec powiedział:

“Nigdy nie zabiegałem o żadne stanowisko.”

I wycofał się z delegatury. Dzięki temu uniknął aresztowania w 1945r., wywiezienia do Moskwy i “procesu szesnastu”.

\*\*\*

Wiosną 1940 r. jak grom z jasnego nieba spada na nas wiadomość o inwazji niemieckiej na zachodzie. Błyskawiczne zajęcie przez Niemców Holandii, Belgii, Danii, obejście “niezwyciężonej” linii Maginota, w ciągu paru tygodni opanowanie prawie bez oporu Francji. Jest to dla nas czymś niezrozumiałym i przerażającym. Armia francuska miała opinię nowoczesnej i bojowej. Okazało się, że wcale nie była nowoczesna, a Francuzi byli zupełnie pozbawieni woli walki. Pamiętam ten piękny czerwcowy dzień 1940 r. kiedy przyszła wiadomość o kapitulacji “wspaniałej” armii francuskiej wspomaganiej oddziałami angielskimi i polskimi. Początkowo nie wierzyliśmy tzw. “szczekaczkom” - głośnikom porozwieszanym na ulicach Warszawy, przez które Niemcy nadawali komunikaty. Niestety przyszło



potwierdzenie przez polską prasę podziemną. Rozpacz! Czy to oznacza koniec wojny? Zwycięstwo Niemiec nad prawie całą Europą? Co z polskimi żołnierzami walczącymi we Francji? Niemcy zachłystują się tryumfem. Nadchodzą jednak wiadomości nieco pocieszające: wojna trwa. Jednostki angielskie i polskie, które walczyły we Francji zostają ewakuowane do Anglii. Rząd polski - emigracyjny również przenosi się do Anglii. Słynne przemówienie Churchilla w parlamencie, o którym pisze prasa podziemna poprawia trochę nastrój. Wiemy, że będzie ciężko, długo, źle, ale Anglia będzie nadal walczyć, może Ameryka przystąpi do wojny? Wszyscy uważają, właściwie wbrew logice, że to niemożliwe żeby Niemcy wygrały wojnę.

### **Mały sabotaż**

Od początku okupacji Niemcy dokonują grabieży polskich zabytków kultury i sztuki: wywożą biblioteki, archiwa, muzea. Zaczyna się wyścig polskich kustoszów i ludzi sztuki i kultury z Niemcami. Niemcy grabią i wywożą, a Polacy starają się ich uprzedzić i ukryć najcenniejsze obiekty, co w praktyce jest bardzo trudne i niebezpieczne - w razie wykrycia grozi aresztowanie i obóz.

Niemcy chcą unicestwić wszelkie ślady kultury polskiej.

Osobny rozdział tej akcji stanowią pomniki, które Niemcy przetapiali na cenne metale. Pierwsza ofiara to Chopin. Okupanci nie tylko zwalili i pocięli na złom jego pomnik w Łazienkach, ale i zabronili wykonywać i słuchać jego muzyki. Pomnik Kilińskiego zdemontowali, ale nie wywieźli go od razu, a w wielkiej tajemnicy ukryli w podziemiach muzeum Narodowego. Wtedy na murze muzeum pojawił się - wykonany przez "mały sabotaż" Szarych Szeregów - ogromny napis:

"Ludu Warszawy! Jam tu!"

I podpis "Jan Kiliński".

Kopernika Niemcy zawłaszczyli - zdjęli tablice z polskim napisem, a założyli napis niemiecki chwalcący niemieckiego astronoma Copernicusa. Tu też zadziałały Szare Szeregi. Po zniknięciu pomnika Kilińskiego na cokole pomnika Kopernika, pojawił się napis po polsku i po niemiecku:

"W odwecie za zdjęcie pomnika Kilińskiego przedłużam zimę o sześć tygodni"

podpisano: "Kopernik".

A zima tego roku była bardzo mroźna, śnieżna i długa.

Tego rodzaju kawały "małego sabotażu", choć nie miały znaczenia w sensie militarnym, miały duże znaczenie psychologiczne, psuły okupantom krew, ośmieszały ich wobec podbitego narodu polskiego, który powinien być zgnębionym i posłusznym narodem niewolników, a tymczasem pozwala sobie na kpiny z "Herrenvolk'u".

Nie uchroniło to jednak Warszawskich pomników - prawie wszystkie uległy zniszczeniu.

\*\*\*

W 1941 r. ojcu udaje się wyremontować nasz dom przy ul. Francuskiej. Przenosimy się tam we czwórkę: rodzice, siostra i ja. Bracia wynajmują mieszkania każdy osobno. Nie mówimy o tym, ale jest to zrozumiałe, że wobec ich zaangażowania w robocie konspiracyjnej nie powinno mieszkać zbyt wielu członków

rodziny razem. W razie wpadki Niemcy aresztują wszystkich.

W rodzinie obowiązują ściśle zasady konspiracji: nic nie mówić, o nic nie pytać, im mniej się wie tym lepiej w razie aresztowania. Dopiero znacznie później, po wojnie, kiedy już miałam własne dzieci, zrozumiałam na jaki niepokój narażałam moją biedną matkę, kiedy odmawiałam odpowiedzi na pytanie dokąd idę, a szłam na stosunkowo “niewinne” konspiracyjne lekcje.

### **Okupacyjne wakacje w Kazimierzu**

Na początku okupacji, jesienią 1939r. Niemcy zajęli nasz dom w Kazimierzu. Spędzili Żydów z miasteczka do noszenia mebli, opróżnili dokładnie dom, wywieźli całe urządzenie łącznie z garnkami i pościelą. Żydzi bili się między sobą o skrzynkę soli ciechocińskiej, której nasza matka cierpiąca na reumatyzm używała do kąpieli, a która wobec zupełnego braku w Kazimierzu soli jadalnej została użyta do potraw. Niemcy na drzwiach frontowych przykleili kartkę, że dom jest “Beschlagnamt”. Zostawili w stróżówce naszą dozorczynię Bielcową, żeby pilnowała domu, gdyż mieli w nim urządzić dom wczasowy dla urzędników niemieckich urzędów w Lublinie.

Przywieźli jakieś prymitywne meble, ale nigdy żaden Niemiec się tam nie pokazał – zbyt się bali “chłopców z lasu”. I mieli rację. Partyzantka z Batalionami Chłopskimi na czele działała intensywnie w okolicznych lasach całą okupację.

Pierwszego okupacyjnego lata wybraliśmy się do Kazimierza w piątkę: rodzice, Barbara, Iza – siostra Kidy i ja. Staraliśmy się nie demonstrować zbyt naszej obecności, nie siadać na tarasie widocznym z drogi, ograniczać palenie światła. To już był inny Kazimierz. Wodociąg nie działał, wodę trzeba było ciągnąć ręcznie ze studni z głębokości 57m. Każda kropla deszczówki była cenna. Apropozycję trzeba było nosić z miasteczka, a nabrału szukać po okolicznych wsiach.

Pensjonaty w pobliżu naszego domu zamknięte, na Górze cicho, pusto, nie było mowy o wesołym towarzystwie, było co prawda paru znajomych chłopców w dalszym sąsiedztwie, ale to już nie to co dawniej. Nie było mowy o tenisie, siatkówce, Niemcy wywieźli nasze łodzie, ale Wisła była piękna, spędzamy więc pół dnia nad wodą. Wracamy, żeby upichcić jakiś łatwy obiad, przeważnie jajecznicę, którą uzupełniamy czereśniami i malinami z ogrodu. Chodzimy na długie spacery, czytamy. Odpoczywamy. Jednak w Kazimierzu znacznie mniej odczuwało się okupację. Jakby z innego świata wróciliśmy do Warszawy pełnej mundurów Feldgrau.

### **Komplety uniwersyteckie**

Po zdaniu matury w maju 1941 r. postanawiam zostać dziennikarką. Dobrym przygotowaniem do tego zawodu wydaje mi się historia i socjologia. Dzięki kontaktowi przez przełożoną mojej właśnie ukończonej szkoły trafiam do profesora Manteufla, dziekana konspiracyjnego wydziału historii Uniwersytetu Warszawskiego. Równocześnie dostaję się na wydział socjologii - oczywiście konspiracyjny. Zasady nauki są podobne jak w liceum: grupy po sześciu - ośmiu studentów, wykłady w domach prywatnych, często u profesorów, żadnych teczek, kartki z notatkami w kieszeniach albo torebkach, przychodzenie i wychodzenie pojedynczo, najwyżej po dwoje. Wykłady na ogół 2-godzinne odbywają się popołudniami, bo wszyscy musimy

gdzieś pracować, żeby mieć ausweis'y chroniące w razie łapanki i żeby zarabiać. Nauka nastawiona była głównie na pracę własną, gdyż, z konieczności, wykłady były raczej skrótowe, nadające temat do opracowania, nieraz miały charakter wręcz seminaryjny. Profesorów mieliśmy znakomitych. Na socjologii wykładali profesorowie Kotarbiński, Suchodolski, Czarnocki. Na historii profesorowie Manteufel, Wojciechowski, Widerszal. Ten ostatni, Żyd z pochodzenia, gorliwy katolik, ukrywał się przez całą okupację we własnym mieszkaniu nie wychodząc z niego wcale, gdyż wybitnie semicki wygląd zdradziłby go natychmiast. W 1944 r. na wiosnę został zamordowany - prawdopodobnie przez bojówkę NSZ - w obecności ciężarnej żony i paroletniej córeczki.

W grupie historycznej, do której należałam była również Krystyna Wańkowiczówna – córka Melchiora. Niektóre wykłady odbywały się w domku pp. Wańkowiczów na Żoliborzu. Melchior Wańkowicz przebywał zagranicą.

Pani Wańkowiczowa była wytworną, nobliwą damą, w typie matrony polskiej, ani trochę nie pasująca do humorystycznego przezwiska "królik", którym obdarzył ją sławny małżonek. Otwierała nam drzwi domu sprawdzając czy na ulicy nie ma kogoś podejrzanego. A po wykładzie wypuszczała nas pojedynczo upominając żebyśmy udawali, że się nie znamy, gdybyśmy się spotkali na przystanku lub w tramwaju. Krystyna zginęła w Powstaniu Warszawskim.

Po wojnie nie miałam kontaktu z kolegami z konspiracyjnego wydziału historii, ale wiem, że dwóch kolegów zostało profesorami Uniwersytetu Warszawskiego.

Profesorowie socjologii organizowali dla swoich studentów tzw. kluby dyskusyjne - zbieraliśmy się u kogoś w mieszkaniu, profesor "podrzucał" temat i zaczynała się swobodna wymiana myśli i zdań. Było to na pewno bardzo rozwijające dla młodych głów.

Nie znam liczb, nie wiem czy w ogóle istnieją takie statystyki, ale mam wrażenie, że w okupowanej Warszawie tajne nauczanie obejmowało znaczną część młodej populacji. W moim otoczeniu wszyscy młodzi uczyli się.

Stosunkowo łatwo było zorganizować wykłady na wydziałach humanistycznych, jak historia czy polonistyka, na którą chodziła moja przyjaciółka Barbara. Znacznie większy problem był z wydziałami wymagającymi pracowni i laboratorium. W medycynie działał profesor Zaorski, który dostał od władz okupacyjnych zezwolenie na prowadzenie szkoły laborantów medycznych. Pod tą przykrywką ruszyła prawdziwa medycyna i jakimś cudem przetrwała całą okupację.

Wiem, że były też próby ze strony profesorów politechniki zorganizowania szkół zawodowych z tajnymi kursami na wyższym poziomie, ale nie znam szczegółów. Były też tajne komplety na SGGW i SGH.

### **Jak żyjemy**

Czerwiec 1941 r. Warszawa z wielką radością przyjmuje wiadomość o ataku armii niemieckiej na Związek Sowiecki i jej szybki pochód przez dawne polskie ziemie i dalej w głąb Rosji. Wydaje się nam, że teraz kiedy dwaj śmiertelni wrogowie Polski rzucili się na siebie, wynik tej walki musi być dla nas korzystny.

Ogromną karierę robi przepowiednia Nostradamusa, długa, wielostronicowa, przepisywana ręcznie i na maszynie, podawana z rąk do rąk, czytana zachłannie i interpretowana zależnie od fantazji czytających. Pamiętam tylko urywki:

“... gdy czarny orzeł wejdzie na rozstaje  
na wschód swe oczy obróci  
krzyżackie szerząc obyczaje  
z złamanym skrzydłem powróci...”  
“... krzyż splugawiony razem z młotem padnie  
najeżdźcom nic nie zostanie ...”  
“... powstanie Polska od morza do morza  
czekajcie na to pół wieku  
więc cierp i módl się człowieku...”

Nawet trudno się dziwić, że ludzie żyjący w takich warunkach w jakich żyliśmy w czasie okupacji, przeważnie w biedzie i w stałym zagrożeniu niemieckimi represjami, szukali pociechy w przepowiedni obiecującej nam pognębienie wrogów i “Polskę od morza do morza”. Byli tacy, którzy traktowali to całkiem serio, na ogół jednak podchodziliśmy do natchnionych wierszy z przymrużeniem oka. Co nie przeszkadzało wszystkim solidarnie zaczytywać się w nich.

Tymczasem życie w okupowanej Warszawie staje się coraz trudniejsze. Wprawdzie ludzie na ogół jakoś się urządzili, mają jakąś pracę zarówno w celu zdobycia pieniędzy na utrzymanie jak i zabezpieczenia się dobrym *ausweis*’em, jednak zarobki są niewspółmiernie małe w stosunku do cen. Jest po prostu bardzo biednie. Kwitnie handel wymienny, zwłaszcza między miastem a wsią, która wciąż jest źródłem żywności. W największej cenie jest złoto i biżuteria - to są dobra trwałe. Chłopi biorą też chętnie wyroby przemysłowe, których na wsi brak - materiały, ubrania, obuwie. Ale są to jedynie resztki zapasów cudem uratowane ze zburzonej Warszawy lub kupowane od Niemców “na lewo”. Dobrym towarem wymiennym jest też wódka. Pijaństwo kwitnie. Kwitną też tzw. “cinkciarze” czyli handlarze złotem i walutą. Posiadanie tych dóbr oraz handel nimi jest surowo zabroniony, obwarowany wysokimi karami: konfiskatą “towaru” i zsyłką do obozu. Jednak zysk jest na tyle duży, że w określonych punktach miasta - głównie na placu Napoleona (dziś Powstańców) przechadzają się panowie o charakterystycznym wyglądem mrużąc po cichu do przechodniów:

“Złoto, dolary, złoto, dolary, kupuję, sprzedaję..”

Ponieważ transakcje są dokonywane po kryjomu, w bramach domów czy w innych ciemnych kątach warunki sprzyjające oszustwu są znakomite. Ale naiwnych nigdy nie brak, więc cinkciarze dość sprytni żeby nie dać się złapać Niemcom dorabiali się majątków.

Wracając do trudności życia codziennego, to jedną z najbardziej dokuczliwych było ograniczanie dostaw gazu i elektryczności, związane z brakiem węgla - węgiel z polskich kopalń szedł prawie w całości do Niemiec. Ciśnienie gazu często było tak małe w ciągu dnia, że nie udawało się zagotować czajnika wody. W mieszkaniach, w których były tylko gazowe kuchnie ugotowanie obiadu nie raz było możliwe jedynie między godziną drugą a czwartą w nocy, kiedy ciśnienie gazu było względnie normalne. Trzeba było zrywać się w nocy, gotować potrawy, które można było przetrzymać razem z garnkami zawinięte w poduszki i koce do pory obiadowej, żeby je zjeść letnie. Gazu w butlach w owym czasie nie znano, dostępne były jedynie maszynki naftowe “Primus”. Cóż z tego kiedy nafty nie można było dostać za żadne pieniądze.

Wahania ciśnienia gazu były bardzo niebezpieczne i powodowały wiele wypadków kiedy wskutek spadku ciśnienia gaśł płomień w kuchence lub piecyku do

grzania wody w łazience, potem ciśnienie gazu się zwiększało i gaz ulatniał się. Wówczas gaz rzadziej wybuchał, był natomiast bardzo toksyczny.

W ten sposób zatrała się Barbara. Wstała w nocy żeby wykapać się - jak wszyscy Warszawiacy mający wodę w łazienkach ogrzewaną gazem, nie miała, żadnych szans na kąpiel w dzień. Nie zauważyła, że zgasł płomyk w piecyku, ani, że po pewnym czasie gaz zaczął się ulatniać. Na szczęście ojciec Basi zaniepokojony przedłużającą się kąpielą córki zajrzał do łazienki i znalazł ją nieprzytomną w wannie pełnej wody. Podniósł alarm, wyciągnęli ją z wanny, ułożyli pod otwartym oknem - a była to zima - udało się sprowadzić lekarza, mimo godziny policyjnej. Skończyło się na zapaleniu oskrzeli.

Ze względu na brak węgla elektrownia warszawska pracowała "na pół gwizdka". W praktyce to oznaczało, że w dni parzyste włączano prąd po parzystych, a w dni nieparzyste - nieparzystych stronach ulic. Wobec czego byliśmy skazani na oświetlenie jak w czasach króla Ćwieczka. Nafty do lamp nie było, świece znikły, przeważnie napełniało się małe miseczki albo szklanki olejem na który puszczało się po kilka knotów misternie oprawionych w blaszane oprawki. Kilka takich palących się knotów dawało światło przy którym od biedy można było czytać. Dodatkową atrakcją był paskudny swąd rozgrzanego oleju i nastrojowe skwierczenie. Dość popularne były też lampy karbidowe. Dawały one ostre, białe światło, ale śmierdziały jeszcze gorzej niż olejowe knoty, do tego miały brzydki zwyczaj wybuchania co jakiś czas, co się źle kończyło dla osób siedzących obok.

Z jaśniejszych wspomnień pierwszych lat okupacji, przypominam sobie nasze niedzielne wyprawy nad Wisłę. W upalne, letnie niedziele, wybieraliśmy się wcześniej rano całą gromadą ze znajomymi do Wilanowa, tramwajem dwójką z pl. Trzech Krzyży. Z Wilanowa wędrowaliśmy pieszo spory kawał przez podmokłe łąki i rozlewiska Wisły, dźwigając zapasy jedzenia na cały dzień, koce i różny "sprzęt" plażowy, dochodziliśmy do odległej plaży, na którą nikt poza nami nie przychodził, gdzie nie było wojny, nie było Niemców, ani łapanek, gdzie było tylko słońce, woda i czysty piasek. Spędzaliśmy tam cały dzień jakby w innym świecie, opalając się, pływając, grając w piłkę. Wszyscy byliśmy młodzi i chyba takie odprężenie było nam bardzo potrzebne dla naszej kondycji psychicznej.

Pamiętam też, jak ten plażowy nastrój opadał z nas w drodze powrotnej, kiedy na przystanku tramwajowym w Wilanowie natykaliśmy się na kręcących się tam Niemców.

Chyba właśnie potrzebą oderwania się od ponurej rzeczywistości i naszą młodością można wytłumaczyć urządzenie całonocnych przyjęć. Godzina policyjna była od 19-ej lub 20-ej, wszyscy pracowali długo po południu, więc jedyny możliwy termin organizowania towarzyskich spotkań to noc. Spotykaliśmy się w kilkanaście osób u znajomych mających odpowiednie mieszkania, panie przynosiły coś do jedzenia, według ustalonego z góry harmonogramu. Pamiętam te pyszne pasztety z fasoli i jarzyn oraz torty z razowego chleba z sacharyną zamiast cukru (czy ktoś chciałby to dzisiaj jeść?). panowie przynosili alkohol, czyli po prostu przydziałową wódkę (nic lepszego nie było), którą zaprawiali czymś tam żeby zabić obrzydliwy smak. Po upadku Francji można było czasem kupić od Niemców francuskie alkohole, ale były piekielnie drogie. Zawsze był adapter i dużo płyt. Do gospodarzy należało takie rozdzielenie jadła i napojów, żeby starczyło do rana.

Tańczyliśmy, rozmawialiśmy, opowiadaliśmy kawały, czasem ktoś układał okolicznościowe wierszyki.

Jeśli był to sylwester oczywiście życzyliśmy sobie żeby był to ostatni rok wojny. W miarę upływu godzin zapał do tańców przygasał, humor mimo alkoholu przycichał, czasem ktoś przysnął w wygodnym fotelu. O 6-tej rano, kiedy kończyła się godzina policyjna wychodziliśmy cicho po parę osób, żeby nie zbyt dużą grupą i tramwajami wracaliśmy do domów odespać skromne nocne szaleństwo.

### Krzysztof

Zimą 1941/42 r. przyprowadziła do mnie Barbara, poznanego poprzedniego dnia nowego znajomego:

“Krzysztof Baczyński – poeta” - przedstawiła go.

Drobny, szczupły, o dziewczęcych rysach z długimi rzęsami, poważny, dziwnie skupiony przy swoich dwudziestu latach. Nie kazał się prosić, wyciągnął z kieszeni kartki i przy skwierczących knotach olejowych czytał swoje niezwykle wiersze. Pierwszy był zadedykowany:

“Dziwnej Barbarze, dziwny wiersz, dziwny Krzysztof”

Wiersz napisany nocą po ich poznaniu się, w klubie dyskusyjnym. Widać było, że tych dwoje istnieje tylko dla siebie, nic dla nich się poza tym nie liczy. W czerwcu był ich ślub.

W “podróż poślubną” Baczyńscy wybrali się do Radości. Na żadną dalszą nie było ich stać, ani nie było można. Basia była bardzo rozczarowana kiedy twardo odmówiłam wyjazdu razem z nimi. Byliśmy tak zżyte, że w głowie jej się nie mieściło – mimo nieprzytomnego zakochania w Krzysztofie – że mogłybyśmy się rozstać na 10 dni.

Byłam częstym gościem w ich małym mieszkanku przy ul. Hołównki 3. Nieraz otwierał mi drzwi Krzysztof, patrząc na mnie niewidzącym wzrokiem i mruczając coś pod nosem. Potem mnie zauważał:

“Basia jest tam” – mówił wskazując na drzwi do pokoju i wracał do stołu pod oknem w kuchni. Barbara witała mnie z palcem na ustach:

“Cicho! Krzyś pisze.”

Po jakimś czasie przychodził do nas Krzysztof z kartką w ręce i czytał nam właśnie ukończony wiersz.

Nigdy nie dyskutowaliśmy na temat jego wierszy, nic w nich nie można by zmienić. Były wspaniałe, można było tylko ich słuchać. Pisał te wiersze ręcznie, na małych kolorowych kartonikach (z drukarni ojca Basi, w której pracował), często ozdabiał je filigranowymi rysunkami przypominającymi japońskie rysunki piórkiem, albo ilustracje Walta Disney’a. Krzysztof miał wyraźne zdolności plastyczne. Rysunek, którymi zdobił dla Basi swoje wiersze – tzw. “wydawnictwa” – były po prostu doskonałe. Rysował też węglem akty Basi i choć Barbara, mimo młodego wieku, znacznie bardziej fascynowała swoim intelektem niż urodą, jej akty w wykonaniu Krzysztofa były aktami pięknej kobiety.

Krzysztof był miłym, raczej wesołym chłopakiem. Kiedy kończył pisać jakiś wiersz, musiał się potem odprężyć, pozartować. Nigdy nie była to jednak wesołość hałaśliwa, zawsze była w niej szczypta jakiejś zadumy czy powagi. Nawet kiedy dla zabawy, nieco się wygłupiając, czytaliśmy na głos ulubiony Krzysia “Obłok w spodniach” Majakowskiego, nie był to całkiem wesoły śmiech. Krzysztof miał pełne poczucie swojej wartości, ale nie był zarozumiały. Pamiętam, jak na jakimś wieczorze literackim czytał swoje wiersze, gdy skończył, podszedł do niego Miłosz mówiąc:

“Wiesz – ty będziesz większy ode mnie!”

“Już jestem.” – spokojnie odpowiedział Krzys przyszłemu nobliście, a wtedy dobrze zapowiadającemu się młodemu poecie.

Później, gdzieś na początku 1944 r. przyszedł do mnie Janek Rodowicz “Anoda” i powiedział:

“Znasz Baczyńskiego, wytłumacz mu żeby nie bawił się w wojsko, a siedział w Warszawie i pisał wiersze”

Janek był szefem Krzysztofa w konspiracyjnej podchorążówce i ten silny, wysoki i wysportowany chłopak rozumiał, że wątpy, słaby fizycznie, chorujący na astmę Krzys nie jest materiałem na żołnierza i dywersanta. Ale Krzysztofowi nie dało się tego wytłumaczyć. Uważał, że walka z okupantem z bronią w rękę jest obowiązkiem każdego Polaka, bez żadnych wyjątków. Przepraszam, z jednym wyjątkiem – Barbary - jej nie pozwolił na żadną konspiracyjną robotę poza nauką.

Krzysztof Kamil Baczyński zginął w czasie Powstania Warszawskiego 4.08.1944 r w czasie ataku na pałac Blanka. Barbara zmarła kilka dni później ranna w głowę w mieszkaniu swoich rodziców.

### **Futra i rosyjska zima**

Blitzkrieg na froncie wschodnim nie wyszedł Niemcom. Powtórzyli błąd Napoleona, połknęli więcej niż mogli strawić. Wczesna zima rosyjska zaskoczyła nieprzygotowaną na nią armię niemiecką. Zwykle szynele niemieckich mundurów są zupełnie niewystarczające na mrozy 20-30-to stopniowe i większe. Żeby zwalczyć “generała Mroza” Niemcy każą Żydom oddać wszystkie futra. Zdarza się, że i polskim kobietom potrafią zdjąć z szyi kołnierz z lisa. Całymi wagonami wywożą z terenów okupowanych futra i przerabiają je na podpinki, kamizelki pod szynele, czapki, rękawice i wysyłają na front wschodni.

Ponieważ wielkie opady śniegu utrudniają poruszanie się żołnierzy po rosyjskich pustkowiach, każą wszystkim Polakom oddać narty. Cała nasza rodzinna piątka była zapalonymi narciarzami. Niedoczekanie, żeby szkopy jeździły na naszych deskach! Bracia skombinowali sprytny schowek - pod samym dachem między belkami. Niestety, narty rozłożone pojedynczo, nie rozparte kołkami, nie spięte, nie wytrzymały takiego traktowania. Po wojnie wyciągnęliśmy deski spaczzone, do niczego nie nadające się, bardziej przypominające makaron “świderki”. Ale szkopy ich nie dostały!

### **Pracujemy**

W czasie okupacji była ogromna ilość osób nie mogących znaleźć pracy w swoim zawodzie. Właściwie dotyczyło to wszystkich spoza zawodów ściśle technicznych. Po pierwszym okresie kompletnego oszołomienia i zagubienia w nowych warunkach Warszawiacy usiłują się jakoś zorganizować. Zakładają sklepy, sklepiki, różne agencje pośrednictwa, artyści i aktorzy otwierają kawiarnie - najsłynniejsza "U aktorek" w Al. Ujazdowskich, prowadzi ją Mieczysława Ćwiklińska, kelnerkami jest cała plejada najlepszych aktorek warszawskich. Niepisane polskie prawo zabrania nie tylko chodzenia do teatrów, ale i grania w nich - Maria Malicka, która występowała w czasie wojny w teatrze, po wojnie została skazana na 8 lat zakazu grania – dla amantki to śmierć zawodowa.

Fogg zakłada kawiarnię na Nowym Świecie i śpiewa w niej, kelnerami są znani aktorzy. Wielu muzyków występuje w lokalach. Świetny duet fortepianowy Panufnik i Lutosławski też występuje w kawiarni. Wiele młodych kobiet pracuje jako kelnerki, starsze zarabiają wypiekaniem ciastek. Najlepsze ciastka na świecie były w budce na placu Napoleona (dziś Powstańców). Już nigdy później ciastka nie wydawały mi się takie pyszne jak wtedy, po kluskowo - dorszowej diecie domowej, kupowane za z trudem zaoszczędzone grosze.

W prywatnych mieszkaniach ogłaszają się “domowe obiady”, gdzie można względnie dobrze i tanio zjeść. Wiele kobiet zarabia robieniem na drutach swetrów, rękawiczek, szalików. Z dwóch starych swetrów robi się jeden nowy. Popularne są też małe warsztaty tkackie, na których powstają eleganckie kupony samodziałów. Ludzie starsi zarabiają produkując papierosy przy pomocy gilz nabijanych mieszanką tytoniu. Mój brat Zbigniew, prawnik – ekonomista, do spółki z dwoma chemikami otwierają firmę “Klar” produkującą przyprawy do zup i namiastkę herbaty – prawdziwa herbata i kawa znikły z rynku. Miarą dobroci ich wyrobów jest 16 nielegalnych firm podrabiających “Klar”.

Do niezłe płatnych, a stosunkowo mało absorbujących posad należało karmienie wszy. Była to praca niewymagająca żadnych kwalifikacji, a jedynie odporności na ukąszenia. Instytut Higieny do produkcji szczepionki przeciw – durowej potrzebował wszy. Założono więc hodowlę tych miłych zwierzątek. One jednak potrzebowały jeść, a nie chciały jeść niczego innego jak tylko żywego człowieka. Karmiciele zjawiają się więc w Instytucie w określonych porach, na obnażonych udach przyczepia się im paskami klateczki – wielkości pudełka cygar – pełne wszy. Przez określony czas wszy mają prawo bezkarnie kąsać swego żywiciela, po czym klateczki zostają usunięte, skóra przekrwiona i obrzmiała w miejscu, gdzie przylegały, zdezynfekowana, a karmiciel poinstruowany, żeby broń Boże nie drapał się. Ten sposób zarobkowania wymagał jednak samozaparcia.

Znajomy rzeźbiarz, rzeźbi z drewna podeszwy do butów - drewniaków. Obuwie skórzane stało się bardzo kosztownym luksusem. Wielu malarzy przestawia się na twórczość sakralną i produkują masowo Madonny z Jezuskami, które zawsze mają zbyt na wsi. Żona mojego stryjecznego brata Tadeusza, Bogna Klarner, starszy asystent (po wojnie profesor) Politechniki Warszawskiej utrzymuje siebie i starych rodziców hodując kozy i sprzedając mleko i mięso. Pani Zofia Rabcewiczowa, babcia mojej koleżanki z kompletów, sędziwa pianistka, która w czasach swojej młodości była nadworną pianistką carskiego dworu i której honoraria wypłacano w brylantach, dziś straciła wszystko, daje więc koncerty w swoim mieszkaniu przy ul. Łowickiej. Jest to oczywiście zabronione – nie wolno organizować zgromadzeń – ale ludzie są spragnieni dobrej muzyki, schodzi się więc w określonych dniach kilkadziesiąt osób znajomych i zaufanych, w przedpokoju stoi koszyczek, do którego każdy wrzuca jakieś pieniądze i stłoczeni w dwóch niewielkich pokojach słuchamy muzyki, którą ta siwa, krucha, bardzo stara pani, wyczarowuje na fortepianie swoimi wciąż młodymi palcami. Jeśli w programie jest Chopin lub Mendelson, a przeważnie jest, okna zostają szczelnie zamknięte, gdyż jest to muzyka zabroniona. Cudowne były te koncerty.

Można tak wyliczać długą litanię dziwnych sposobów zarabiania, które Warszawiakom umożliwiły przetrwanie okupacji.



## Wielkanocne Groby Pańskie

Zawsze warszawskie kościoły prześcigały się w dekoracji Wielkopiątkowych grobów, ale w czasie okupacji nabrało to specyficznego wymiaru. Symbolika śmierci i zmartwychwstania Chrystusa nasuwała analogie z losami Polski: Polska Chrystusem narodów.

Okupacyjne wielkanocne groby miały wyraz mistyczo – polityczny. Celowały w tym zwłaszcza kościoły pod wezwaniem św. Anny na Krakowskim Przedmieściu i św. Marcina na Piwnej.

Cała Warszawa ustawiała się przed tymi kościołami w długich kolejkach do odwiedzenia Grobów Pańskich. Niektórzy stawali w kolejkach po parę razy, wymieniając po cichu uwagi, podpowiadając tym, którzy jeszcze nie widzieli, na co trzeba zwrócić specjalną uwagę.

Wreszcie Niemcy zorientowali się w grze, aresztowali proboszcza od św. Anny. Nie zmieniło to jednak patriotycznego wydźwięku Wielkanocnych grobów, może tylko symbolika stała się trochę bardziej zawoalowana, ale Warszawiaczy i tak wiedzieli o co chodzi.

## Paczki więzienne

Mój ojciec jest członkiem R.G.O. (Rada Główna Opiekuńcza) instytucji akceptowanej przez Niemców, mającej na celu opiekę nad ubogimi i więźniami. Wyżywienie w więzieniach jest głodowe. Powstaje więc w porozumieniu z RGO organizacja “prywatna” wysyłki paczek do więzień. Z RGO dostajemy nazwiska więźniów, którzy nie otrzymują paczek od rodzin. Wśród Warszawiaków zbieramy produkty żywnościowe oraz pieniądze. Paczki muszą mieć określoną wagę i zawartość – smalec, cebula, chleb. Grupa kobiet do której należą wysyła do 150 paczek tygodniowo - od tamtej pory stałam się wysoką specjalistką w pakowaniu paczek. Paczka musi być tak zapakowana, żeby można ją było błyskawicznie rozpakować, pokazać strażnikowi jej zawartość, strażnik często rozkrawa chleb, grzebie nożem w smalcu, sprawdza czy nic tam nie jest schowane, dopiero po tej rewizji paczkę trzeba szybko zawinąć na tyle solidnie, żeby można ją było rzucać.

Wystajemy w ogonkach pod więzieniami na Pawiaku czy na Rakowieckiej. Od czasu do czasu paczka nie zostaje przyjęta. Powodu nigdy nie podają. Nie wiadomo, czy dany więzień został przeniesiony do innego więzienia, wysłany do obozu, czy zmarł lub został zabity. Zwolnienie z więzienia zdarza się tak rzadko (wykupienie), że nie bierzemy tej ewentualności pod uwagę.

\*\*\*

Maria jest bardzo cierpiąca. Ma zapalenie nerwu kulszowego. Nabawiła się go będąc przed wojną na kursie językowym w Alpach, skoczyła w upalny dzień do lodowatego górskiego jeziora. Dopiero wieczorem, kiedy ją “połamało”, zrozumiała dlaczego nikt poza nią się nie kąpał. Ma okresy spokoju, ale potem nagle, po jakimś przeziębieniu dostaje bóli tak silnych, że dosłownie nie może się poruszać. Właśnie ją dopadło. Leczenia wtedy właściwie nie było żadnego, jedynie ciepło. Leży więc

obłożona poduszkami, smaruję ją jakimiś rozgrzewającymi maściami, prasuję gorącym żelazkiem przez grubą flanelę. Nic to nie pomaga.

Nagle pukanie do drzwi. Kuzynka mieszkająca obok, zdenerwowana, szeptem anonsuje, że dom jest otoczony przez Niemców, że kręcą się po podwórzu. Na to Maria, jak łania wyskoczyła z łóżka roztrzając grzejące ją poduszki, chwyciła leżące na stoliku przy łóżku numery “Biuletynu Informacyjnego” i pomknęła do przedpokoju, żeby je schować w skrytce. I tam stanęła jak słup soli. Alarm okazał się niegroźny – Niemcy szukali skradzionego im samochodu. Do domu nawet nie weszli, ale Marię trzeba było zanieść do łóżka, bo o własnych siłach nie była w stanie przejść tych paru metrów.

### **W co się ubieramy?**

Ubranie stało się poważnym problemem. Nasza garderoba wydziera się, a na nową są słabe szanse. Oficjalnie tkalnie pracują wyłącznie na potrzeby armii i Rzeszy. Wyciągane z ukrytych zapasów sztuki materiałów są bardzo drogie, samodzielnie tkane na domowych warsztatach wcale nie są tańsze – brak surowców, nie ma bawełny, nie ma wełny. W okolicach Warszawy nie hoduje się owiec, sprowadzanie wełny z gór jest zbyt skomplikowane i ryzykowne. Ale pomysłowość ludzka nie zna granic. Nasi znajomi – Żywiccy, mają dużego, czarnego pudła. Maryla czesze go często, strzyże i zbiera starannie każdy włoszek. Po pewnym czasie ma już pokaźny woreczek pełen psiej sierści. Dodaje trochę wełny owczej, oddaje do tkania i Władek ma elegancki nowy garnitur. Tyle, że na ulicy psy dziwnie obwąchują jego spodnie.

Bardziej ogólnodostępnym sposobem jest nicowanie. Nicuje się wszystko: płaszcze, sukienki, spodnie, marynarki. Kiedy nicowane spodnie robią się za krótkie wskutek wystrzępienia nogawek, odziedziczą je damskie członkinie rodziny i przerabiają na spódnice. Panuje moda: spódnice z młodszej siostry, żakiet z marynarki brata boksera. Ze spódnicą nie ma problemu – wystarcza jedna para spodni, ale z żakiem jest to gorsza sprawa, bo bracia jakoś nie chcą się pozbywać swoich marynarek.

Od czegoż jest jednak inwencja? Ktoś odkrył, że żołnierze niemieccy wyjeżdżający na front wschodni dostają wspaniałą wełnianą bieliznę, tzw. “jegiery”. Jest to dzianina bardzo ciepła, niezbyt gruba. Niemcy po cichu nią handlują. Można kupić, ufarbować, z kalesonów wychodzi spódnica, z podkoszulka żakiet. Tuż przed powstaniem udaje mi się zdobyć taki komplet. Pruję szwy, wypruwam starannie wszelkie znaki świadczące o jego pochodzeniu i niosę do farbiarni firmy Rył na Puławskiej. Ma być kolor pistacjowy. Kwit przechowuję jak skarb i marzę o nowej dżersejowej garsonce.

Niemalym problemem dla wszystkich kobiet w czasie okupacji były cienkie pończochy. Po prostu ich nie było, a przedwojenna moda nakazywała noszenie pończoch nawet w lecie. W zimie nosiło się jakieś kordonkowe grubasy, ale cienkie pończochy zdobywało się różnym psim śwędem za duże pieniądze. A że potrzeba jest matką wynalazku, więc któraś zdesperowana brakiem tej części garderoby dziewczyna pomalowała sobie gołe nogi esencją herbaty “Klar”, co dało efekt pięknych, cieniutkich pończoch. I przyjęło się. Na wiosnę, jak tylko ocieplało się, na tyle, że można było wytrzymać z gołymi nogami, rozsmarowywałyśmy sobie na nich “Klar”. Równie, na dowolnie intensywny kolor brązowy. Perfekcjonistki malowały sobie nawzajem, cieniutkim pędzelkiem, czarną farbą – szef. I wszystko było dobrze dopóki

nie padał deszcz. Bo deszczu “Klar” nie wytrzymał i na nogach robiły się obrzydliwe zacieki nie mające nic wspólnego z eleganckimi pończochami.

### **Dzieci Zamojszczyzny**

W 1942 i 1943 r. dochodzą nas bulwersujące wieści z Zamojszczyzny. W odwecie za zbrojne akcje dywersyjne tamtejszej partyzantki i Batalionów Chłopskich, Niemcy dokonują nieludzkich pacyfikacji, masowych egzekucji, palenia całych wsi wraz z ludnością, deportacji. Niemcy planują przesiedlenie na Zamojszczyznę ludności niemieckiej. W tym celu wywożą ocalałą z pacyfikacji ludność polską do obozów koncentracyjnych i w głąb rzeszy na roboty. Pewnego dnia Warszawa została zelektryzowana wiadomością, że Niemcy wiozą do Rzeszy wagony pełne zabranych rodzicom polskich dzieci z Zamojszczyzny, które spełniały warunki fizyczne “czystej rasy aryjskiej” – blond włosy, niebieskie oczy, odpowiednie wymiary czaszki. Dzieci miały być przeznaczone do wychowania w niemieckich rodzinach i całkowicie zniemczone.

Według plotki, wagony z dziećmi w drodze do Niemiec miały w określonym dniu przejechać przez Warszawę i miały zatrzymać się na jednym z dworców. Na którym? - co do tego informacje były rozbieżne. Ludzie pędzili na dworce chcąc odnaleźć i wziąć dzieci, nie dopuścić do ich wywiezienia i zgermanizowania.

Ci, którzy własnych dzieci nie mieli, chcieli wziąć dziecko “zamojskie” uważając to za swój obywatelski obowiązek, ci, którzy dzieci mieli, uważali, że jedno, czy dwoje więcej jakoś się wyżywi.

Nasza zaprzyjaźniona znajoma, Maryla Żywicka, bezdzietna mężatka, biegła w grupie ludzi poszukujących dzieci po dworcu Wschodnim, Gdańskim, Zachodnim, wypytywała kolejarzy, kogo trzeba przekupywała, żeby pozwolili szukać na bocznicach. Bez skutku. Nikt w Warszawie dzieci nie znalazł.

Jednak Niemcy wywozili dzieci z Zamojszczyzny.

### **Getto**

W końcu 1940 r. Niemcy tworzą w Warszawie getto. Przesiedlają do niego wszystkich Żydów nie tylko z Warszawy, ale również z wielu miast polskich a nawet z innych okupowanych krajów. Od początku okupacji Niemcy traktowali Żydów jako naród “podludzi”, poddawali ich przeróżnym szykanom, zmuszali do niewolniczej pracy, Żydzi musieli nosić opaski z gwiazdą Dawida, przed Niemcami musieli zdejmować czapki i schodzić z chodnika, gmina żydowska była zmuszana do wpłacania Niemcom dużych sum pod różnymi pretekstami, zabicie Żyda właściwie nie było karane.

Równoległe do tworzenia getta dla Żydów okupanci tworzyli dzielnice niemieckie, z których wysiedlali Polaków. A ponieważ dzielnice niemieckie stopniowo rozszerzały się - przybywało Niemców - było wiele rodzin polskich zmuszonych kilkakrotnie w czasie okupacji do przeprowadzek. Między innymi rodzice mego męża musieli trzykrotnie przeprowadzać się mając kilkanaście godzin na spakowanie się. Po drugiej przeprowadzce matka męża przestała rozpakowywać skrzynie z porcelaną i szkłem. Dobrze jeśli Niemcy pozwalali Polakom zabrać ich

dobytek - bo zdarzało, że kazali zostawić całe urządzenie mieszkania, jeśli im się podobało, pozwalając właścicielom zabrać jedynie podręczne walizki z rzeczami osobistymi.

Warunki życia w getcie były nieludzkie. Niemcy wysokim murem otoczyli dzielnicę żydowską oddzielając ją całkowicie od reszty Warszawy. Wstęp do getta był dla Polaków zabroniony. Wielkie napisy przy wjeździe głoszą, że to teren epidemii tyfusu. Przez getto można jedynie przejechać tramwajem o zamalowanych oknach, z żołnierzami niemieckimi na stopniach wagonów. Zagęszczenie mieszkań w getcie było straszliwe, po kilkanaście i więcej osób w jednej izbie, warunki sanitarne fatalne. Apropozycja minimalna. Bogaci mogą kupować jedzenie za złoto - przez mur idzie jednak pewien przemyt, mimo, że jest to bardzo niebezpieczne i trudne. Biedni cierpią głód powiększający się z każdym tygodniem. Małe dzieci żydowskie przedostają się przez otwory w murze i żebrzą po stronie polskiej o jedzenie. Polacy mimo, że sami w ciężkich warunkach nie żałują pożywienia. Ale to kropla w morzu potrzeb. Niemcy urządzają sobie zabawę: obserwują od strony aryjskiej dziury w murze i strzelają do prześlizgujących się przez nie malców. Ilu ich zginęło w ten sposób? Śmierć z głodu staje się czymś zwykłym, szerzą się choroby których nie ma czym leczyć: tyfus, czerwonka, gruźlica. Trupy wychudzone jak szkielety są codziennym widokiem na ulicach. Żydowskie służby porządkowe zbierają je na ręczne wózki i wywożą niczym śmiecie. Nikt nie myśli o uroczystych pogrzebach. Silniejszych mężczyzn Niemcy pędzą do pracy w różnych zakładach niemieckich, żeby po pewnym czasie wysłać ich do Treblinki, Majdanka, Oświęcimia. Do gazu.

Można sobie wyobrazić jaką tragedią było zamknięcie w getcie dla ludzi czujących się Polakami, całkowicie zasymilowanych, nieraz nawet nie wiedzących o babce Żydówce - Niemcy żądali udowodnienia aryjskości do trzech pokoleń wstecz. Istniała konspiracyjna akcja wydostawania Żydów z getta i ukrywania ich po stronie aryjskiej. Dotyczyło to głównie inteligencji: profesorów, naukowców, literatów. Wyrabia się im fałszywe dokumenty, zmienia się im nazwiska, w miarę możliwości wygląd, wynajduje się im kryjówki u zaufanych ludzi. Za ukrywanie Żydów Niemcy stosują najsurowsze kary, z reguły rozstrzeliwują na miejscu ukrytych Żydów i ukrywających ich Polaków wraz z całymi rodzinami. A jednak mimo takich represji Polacy zdołali uratować kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Przypadki wydawania ukrywających się Żydów przez tzw. szmalcowników - niewątpliwie hańbiące - zdarzały się jedynie sporadycznie i są doprawdy niewspółmierne w stosunku do poświęcenia tych, którzy Żydów ukrywali z narażeniem życia własnego i swoich rodzin.

Zza murów dochodzą coraz bardziej przerażające wieści. Niemcy eksterminują Żydów. Całymi rodzinami wywożą mieszkańców, oddzielają silniejszych mężczyzn do pracy, a resztę, słabszych, chorych, starców, kobiety, dzieci ładują w nieludzkich warunkach do bydłowych wagonów i wiozą do obozów zagłady.

Wreszcie w kwietniu 1943 r. wybucha w getcie powstanie. Walka Dawida z Goliatem. Z jednej strony silne oddziały Wehrmachtu i SS uzbrojone w broń ciężką, miotacze ognia, czołgi. Z drugiej strony garstka zdeterminowanych młodych Żydów słabo uzbrojonych, ale zdecydowanych drogo sprzedać swoją skórę. Po wojnie odezwały się zarzuty, że Polacy nie dostarczyli powstańcom żydowskim broni, że nie pomogli. Owszem, pomagali, ale w miarę możliwości w ówczesnej sytuacji, a broni nie dostarczyli, bo sami jej nie mieli. Chyba rozpaczliwy stan uzbrojenia powstańców warszawskich w sierpniu 1944 r. był tego wystarczającym wytłumaczeniem.

Getto staje w ogniu i dymie.

Straszny był ten słup dymu na tle pogodnego wiosennego nieba. W nocy czerwona luna z nad getta rozświetlała ponurym blaskiem całą Warszawę. Każdy dom staje się twierdzą żydowskich powstańców. Bronią się z zajądlą determinacją, wiedzą, że jest to walka bez szans. Strzelanina trwa dzień i noc przeszło dwa tygodnie. Niemcy są zaskoczeni tym oporem, ale ich przewaga jest zbyt wielka. Zdobywają, burzą, palą dom po domu. Powstanie upadło gdy zginęli prawie wszyscy powstańcy. Z getta, dużej dzielnicy Warszawy zostają koszarne, tłące się gruzowiska. Straszny smród spalonych domów, trupów unosi się nad pogorzelskiem i nad całą Warszawą.

### **Ślub Janusza**

Któregoś dnia, zimą 1943 r. Janusz zaskakuje nas wiadomością, że nazajutrz odbędzie się jego ślub z Kamą Świdorską, ex-zoną jego kolegi z politechniki Stefana Świdorskiego. Zupełny szok. Wprowadzie od kilku miesięcy wiadomo było, że Świdorscy się rozwodzą, że Janusz wodzi za Kamą nieprzytomnymi oczami, ale ślub...

Na ślubie z rodziny ma być tylko Jerzy jako świadek, po ślubie chcą złożyć wizytę rodzicom.

Gniotę ciasto na kruche ciasteczka na tę po-ślubną wizytę i skrapiam je obficie łzami. Zdaje się, że cała rodzina podziela moje uczucia, ale nikt nic nie mówi. Bo i cóż można powiedzieć. Kama, adwokat i kobieta, która świetnie wie czego chce, Janusz zakochany.

Wizyta się odbyła.

Zamieszkali blisko nas, na Lipskiej, razem z matką Kamy i jej 4-letnim synkiem z pierwszego małżeństwa, Krzysiem Świdorskim.

### **Aresztowanie Jerzego**

29 lipca 1943 r. Gestapo aresztuje Jerzego, mego najstarszego brata, porucznika A.K. pseudonim Konar. W dniu aresztowania, wieczorem, mój średni brat, Janusz, powiedział głuchym głosem:

“Jerzy nie żyje.”

Byłam wstrząśnięta.

“Skąd wiesz?”

“Bo myśmy się tak umówili.”

Uznali, że jedyne wyjście w razie aresztowania to samobójstwo wszelkimi dostępnymi sposobami, gdyż pod wpływem tortur stale stosowanych przez Gestapo wobec więźniów, najwytrzymalszy nawet człowiek może się załamać i wydać kolegów.

Istotnie, jak później potwierdziła akowska “wtyczka” - maszynistka pracująca w Gestapo na Szucha - Jerzy już w parę godzin po aresztowaniu, wykorzystał chwilę przerwy w badaniu i wyskoczył oknem z trzeciego piętra. Zginął na miejscu. Miał 33 lata.

Po jego śmierci nie było dalszych aresztowań w jego oddziale. Oficjalne zawiadomienie o śmierci Jerzego Gestapo podało nam dopiero 15 października. Przez cały czas od 29 lipca do 15 października nic pewnego - poza przypuszczeniem Janusza

- nie wiemy co się z Jerzym dzieje. Gestapo nie udziela żadnych informacji, nawet tego, że został aresztowany, jedynym sposobem żeby “znaleźć” aresztowanego w którymś z warszawskich więzień jest podawanie paczek: jeśli przyjmą paczkę to znaczy, że poszukiwany znajduje się w danym więzieniu. Obie z siostrą na zmianę wystajemy w wielogodzinnych kolejkach kobiet podających paczki pod Pawiakiem, pod więzieniem na Rakowieckiej, na Pradze. Nigdy naszej paczki nie przyjęto. Jerzy już nie żył.

Już nigdy nie będzie nas pięcioro. Straciliśmy Jerzego, naszego najstarszego brata, autorytet rodzeństwa, łączący w sobie mądrość i powagę w sprawach zasadniczych z wesołością kiedy to było możliwe. Uroczy, dzielny, odważny. Jerzy.

Jerzego wydał jego kolega z politechniki i konspiracji Ali Rómel. Aresztowany, wcale nie torturowany, traktowany przez Gestapo wręcz uprzejmie (mówił biegle po niemiecku, a do takich Niemcy odnosili się zwykle inaczej niż do przeciętnych Polaków), podał nazwisko Jerzego, gdyż, jak się przyznał nam po wojnie z rozbrajającą szczerością – “musiał kogoś wydać bo w przeciwnym razie Gestapo by go rozstrzelało, a on miał żonę i dziecko, natomiast Jerzy był kawalerem.”

Ali przeżył wojnę. Niemcy wysłali go do Oświęcimia, tam też dał sobie radę.

## Kociol

Ponieważ Janusz był związany w konspiracji z Jerzym, a nie wiadomo było jak głęboko sięgnęła penetracja Gestapo w ich oddziale - musi zniknąć. W warsztacie składa fikcyjne zaświadczenie o długotrwałej chorobie, likwiduje mieszkanie. Usuwa z niego wszystko co nie powinno trafić w ręce Gestapo. Między innymi odkręca sedes w ubikacji, zdejmuje go i, ku przerażeniu żony, okazuje się, że puste normalnie zakamarki sedesu są ciasno wypełnione granatami i pistoletem na dokładkę.

“Jezus Maria! Na czym ja siadałam!”

lamentuje Kama, niezbyt wtajemniczona w zaangażowanie Janusza. Ale nie ma czasu na dłuższe dyskusje. Zamykają mieszkanie, Kama przenosi się do krewnych, Janusz lokuje się na Wareckiej 15, w pokoju należącym do biur Starachowickich Zakładów, obecnie pustych i nieużywanych. Pokój jest na samym końcu długiego korytarza, wydaje się znakomitą kryjówką. Janusz zaszywa się tam i pisze książkę - reportaż z pierwszej polskiej wyprawy himalajskiej, w której brał udział tuż przed wojną w 1939r. W tym samym korytarzu, przy wejściu, moja siostra Maria do spółki z dwiema plastyczkami wynajmują lokal i urządzają w nim sklep -pracownię pod hasłem “wszystko dla pani i domu”. Sprzedają własnej roboty lampy, abażury, swetry, rękawiczki, różne damskie drobiazgi. Ich wyroby są ładne, ceny umiarkowane, więc ruch w interesie mają duży, po sklepie zawsze kręcą się klienci. Ten ruch i łatwość wejścia do sklepu w samym centrum Warszawy zostają wykorzystane do założenia “skrzynki pocztowej”. Przychodzą łącznicy, podają hasło, czekają na odzew, niepostrzeżenie przekazują małe pakieciki i znikają wraz z klientami. Maria i jej dwie towarzyszki – wszystkie trzy Marie, jedna z nich to siostra Gralewskiego, kuriera Sikorskiego, który zginął wraz z generałem w Gibraltarze - przechowują tajną korespondencję w zmyślnych skrytkach do czasu aż zjawi się inny łącznik, poda hasło i odbierze pakiecik. Skrzynka funkcjonuje długi szereg miesięcy, ale kiedy na którymś szczeblu następuje wpadka i aresztowania, ich “skrzynka” zostaje zlikwidowana,

materiały kompromitujące usunięte i hasło wycofane. Wkrótce potem do sklepu trzech Marii przychodzi elegancki pan i podaje hasło:

“Czy dostanę niebieski abażur z radoidu?”

jedna z Marii odpowiada:

“Nie, proszę pana.”

w tym momencie elegancki pan nie czekając na odzew wyciąga rewolwer i wrzeszczy:

“Hande hoch!”

Gdyby zażądał odzewu niewątpliwie Maria podałaby mu dalszy kontakt. Sytuacja staje się groźna. Sklep i pracownia zapełniają się gestapowcami w mundurach i w cywilu, wszyscy klienci zostają postawieni w korytarzu twarzami do ściany, z rękami do góry. Pilnuje ich gestapowiec z automatem gotowym do strzału, a każdą z Marii badają osobno inni:

"Kto organizuje siatkę?

Kto co przynosi?

Kto odbiera?

Nazwiska, adresy?!”

Wszystkie trzy udają “pierwsze naiwne”. O niczym nie wiedzą, nikogo nie znają, w ogóle o co chodzi? Wszyscy gestapowcy mówią dobrze po polsku, są świetnie zorientowani. Do mojej siostry czarno ubranej po śmierci Jerzego, badający ją mówi:

"Niech pani wszystko powie, inaczej będzie pani nosić drugą żałobę”

Okazuje się, że pokój na końcu korytarza, który Janusz uznał za świetną kryjówkę jest dobrze znany Gestapo. Wtargnęli do niego równocześnie z wejściem do sklepu. Janusz właśnie opracowywał plan ataku na koszary DAK-u przy ul. Podchorążych, w których stała silna jednostka niemiecka, a które miały być celem ataku jego oddziału w razie powstania. Dobrze, że słysząc głośnie kroki na korytarzu przyrzucił plany koszar fotografiami i kartkami rękopisu swojej książki o Himalajach. Wygarnęli go z wrzaskiem "hande hoch" i postawili w korytarzu obok stojących już tam przypadkowych klientów sklepu. Gestapo zrobiło w sklepie tzw. “kocioł” - wpuszczają każdego, kto wchodzi, ale nikogo nie wypuszczają. Kiedy przyszedłem do Marii zorientowałam się już na klatce schodowej, że coś się dzieje - sklep mieścił się na pierwszym piętrze - chciałam się wycofać, ale jeden z cywilnych gestapowców chwycił mnie za kark i wepchnął z wrzaskiem “Dort” na korytarz. Zamarłam. Zaraz pierwszy przy drzwiach stał z rękami do góry, z twarzą szarą, Janusz. Za nim kilkanaście osób, pewnie klienci. Stałam obok brata. Szepnął mi:

“Spokojnie, nie znamy się, nie legitymuj”

Widząc zmienioną twarz Janusza uświadomiłam sobie, z przerażeniem, że w jego pokoju, w biurowej szafce z licznymi szufladami, za jedną z nich Janusz zrobił skrytkę na broń i trzymał tam pistolet. Jeśli Gestapo go znajdzie – wszystkich nas rozwali. Po dobrej godzinie, kiedy nazbierało się na korytarzu ze trzydzieści osób, gestapowcy kazali wszystkim przejść do pokoju Janusza. Jeden z nich zwrócił się uprzejmie po polsku, wskazując tapczan:

“Panie zechcą usiąść.”

po czym z wrzaskiem:

“Panowie na ziemi siad!”

Siedliśmy. Przybywało wciąż ludzi. Jakbyśmy się umówili przyszła cała młoda generacja naszej rodziny. Zjawił się mój najmłodszy brat Zbigniew z żoną, żona Janusza, Kama, no i ja. Poza tym wielu klientów, inkasent z elektrowni, starszy pan, który przynosił nam “Biuletyn Informacyjny” z podejrzaną grubą teczką. Z

przerażeniem zobaczyłam, że starszy pan powoli, ale systematycznie przesuwa się siedzeniem po podłodze w kierunku tapczanu Janusza, wyraźnie w celu wrzucenia za tapczan zawartości teczki. Udało mi się szepnąć:

“Nie tutaj! To pokój mego brata!”

Godziny płynęły. W niedużym pokoju tłoczyło się pewnie więcej niż 40 osób. Kiedy gestapowiec pilnujący nas pozwolił wychodzić do ubikacji, starszy pan też wyszedł i po chwili wrócił z pustawą teczką. Po zakończeniu “kotła” przestała spływać woda w ubikacji. Okazało się, że zbiornik był dokładnie wypełniony wszelkiego rodzaju trefną bibułą.

Dotychczas gestapowcy nikogo nie legitymowali. Ale kiedy w pewnej chwili któryś z nich stanął w drzwiach pokoju w którym nas upchnięto i wywołał:

“Klarner!”

wstało nas pięcioro: Janusz i jego żona, Zbigniew i jego żona i ja. Pierwsza odezwała się Kama, żona Janusza, mówiąca biegle po niemiecku, efektowna blondynka, bardzo pewna siebie, wzięty adwokat, zaczęła szybko mówić do Niemca, nam dała ruchem ręki znak, żebyśmy siedli. Wyszła razem z Januszem na “rozmowę” z gestapowcami. Szczegółowa rewizja w sklepie i pracowni nic nie dała. W trakcie rewizji w pokoju Janusza gestapowcy wysuwali szuflady szafki, sprawdzali ich zawartość, ale żadnej nie wyjęli całkowicie i skrytki z pistoletem nie odkryli. Trzy Marie były także “czyste”. Co prawda znaleźli u nich duży karton pełen środków opatrunkowych.

“O, to dla chłopców z lasu?” - zapytali.

Istotnie to było dla chłopców z lasu, ale Marie gorliwie zaprzeczały i tłumaczyły, że one przy wyrobie abażurów i lamp często się kaleczą i muszą mieć dużo środków opatrunkowych. Widocznie to nie był interesujący Gestapo temat, gdyż nie poszli dalej tym tropem i po siedmiu czy ośmiu godzinach wszystkich wypuścili i jak się nam zdawało nie zostawili nawet “obserwacji” sklepu.

W tym okresie po aresztowaniu Jerzego, kiedy Janusz ukrywał się, od czasu do czasu wpadał do swego pustego mieszkania na Lipskiej, żeby wziąć jakieś rzeczy. Nim wszedł dłuższą chwilę obserwował dom, czy nie ma czegoś lub kogoś podejrzanego. Dopiero gdy upewnił się, że wszystko wygląda normalnie - wchodził. Podczas którejś takiej bytności przyszła do niego dozorczyńca domu i powiedziała, że właściciel domu prosi go do siebie. Poszedł. Właściciel oświadczył mu, że wie, iż Janusz się ukrywa, a on – właściciel, nie toleruje takiej sytuacji w swoim domu i jeśli Janusz natychmiast nie zamieszka z powrotem, to on da znać na policję. Na co Janusz spokojnie mu odpowiedział:

“Zapewne pan wie co spotyka donosicieli i zdrajców. Otóż bezpośrednio od pana idę do odpowiedniej komórki organizacji i jeśli tylko z pana powodu włos mi spadnie z głowy, pana godziny będą policzone.”

I wyszedł.

Tenże właściciel domu, pan Cz. tak panicznie bał się Niemców, że zaszył sobie kieszenie w płaszczach, żeby przypadkiem ktoś nie podrzucił mu jakiejś nielegalnej bibuły. Nie uchroniło go to jednak. Jechał kiedyś tramwajem. Niemcy tramwaj zatrzymali, otoczyli, kazali wszystkim wysiąść, wszystkich legitymowali i rewidowali, w opróżnionym tramwaju znaleźli teczkę a w niej pistolet. Powiedzieli, że jeśli nie zgłosi się właściciel rozstrzelają wszystkich. Ktoś z zatrzymanych wskazał na pana Cz. Niemcy rozstrzelali wskazanego i wskazującego.

Resztę wypuścili.



\*\*\*

Kiedy Januszowie wprowadzili się z powrotem do swego mieszkania na Lipskiej 21, Janusz wolał się ubezpieczyć i zorganizować na zapas ewentualną ucieczkę w razie nalotu Gestapo. Dom w którym mieszkali była to mała 6-cio mieszkaniowa kamieniczka. Okna ich mieszkania na drugim piętrze wychodziły na ogródki. Janusz - himalaista- przywiązał jeden koniec liny wspinaczkowej do kaloryfera pod oknem. Wymierzył odległość, żeby drugi koniec dosięgnął do ziemi w ogródku i tłumaczył żonie jak w razie czego ma się po niej spuszczać. Kama była przerażona tą perspektywą, zwłaszcza, że była kobietą dużą o odpowiedniej wadze i bez zacięcia wysokogórskiego. Zapisła się więc na gimnastykę i namiętnie ćwiczyła zjazd na linie. Trener proponował jej różne ćwiczenia to na biodra, to na mięśnie brzucha, a Kama nic, tylko wspinała się na drabinkę i zjeżdżała na linie.

Któregoś razu nie wiele brakowało a byliby rzeczywiście zjechali z drugiego piętra po linie. Oboje byli w mieszkaniu wieczorem, kiedy rozległy się niemieckie krzyki pod ich domem, potem stukot okutych butów i krzyki na klatce schodowej, wreszcie walenie do ich drzwi. Janusz wyrzucił wolny koniec liny za okno i przynaglał żonę, żeby się spuszczała. Ale Kama bardziej bała się liny niż Niemców. Szepnęła Januszowi:

“Porozmawiam z nimi przez zamknięte drzwi.”

i swoją świetną niemczyzną zaczęła wypytywać o co chodzi.

Okazało się, że w którymś z okiem mieli nieszczelne zaciemnienie i prześwitywało światło. Skończyło się na dużym strachu i Kama ostatecznie nie wypróbowała swoich umiejętności wysokogórskich.

\*\*\*

Czasem mimo panującej powszechnie grozy zdarzały się sytuacje nie pozbawione dozy komizmu.

Jeden z naszych znajomych, pan P. znany z tego, że przez całą okupację zdołał nauczyć się po niemiecku tylko:

“Raus! Hande hoch du polnische ferfluchte schweine”

[won! ręce do góry ty przeklęta polska świnió]

znalazł się kiedyś w łapance na cinkciarzy na placu Napoleona, nie mając przy sobie żadnego dobrego ausweissu. Miał jednak świetny refleks. Zauważył, że wśród umundurowanych żandarmów są też cywilni. Bez sekundy namysłu chwycił za kołnierz najbliższego stojącego w grupie złapanych wystraszonego jegomościa, zaczął go tłuc pięścią - niezbyt mocno - po głowie, dokładając kolaniem w siedzenie i z wrzaskiem:

“Raus du polnische ferfluchte schweine”

wypchnął go za kordon Niemców. Wrzeszczał tak dopóki nie skryli się za rogiem ulicy. Wtedy go puścił, uklonił się grzecznie kapeluszem i powiedział:

“Bardzo pana przepraszam!”

Po czym każdy poszedł w swoją stronę.

Inny nasz znajomy, Tadeusz L. wraz ze swym kolegą z pracy trafili na łapankę.

Ponieważ ausweissy mieli niezbyt pewne, dla wzmocnienia ich ważności mieli w nie włożone po 500 zł. (tzw. "Górale" z wizerunkiem Górala) - a było to wtedy sporo pieniędzy, ale za wolność opłacało się je zapłacić.

Cały duży odcinek ulicy był szczelnie obstawiony wojskiem i żandarmami. Stanęli trochę z boku grupy ludzi zatrzymanych, tuż obok nich stanął jakiś mizerny człeczyna. Żandarm, który ich legitymował zgarnął "Górale" do kieszeni i widocznie uznał, że to zapłata za trzech, bo pozwolił odejść też temu trzeciemu. Przeszli więc przez kordon, ale ten trzeci gdzieś się zapodział. Poszli dalej byle odejść z terenu zagrożonego. Nagle usłyszeli tupot kogoś biegnącego. Był to ten trzeci, który pędził za nimi wołając:

"Panowie, czekajcie, wasze pieniądze"

Myśleli, że uniesiony honorem chce im oddać swoją część wykupu. Tadeusz machnął ręką:

- "Daj pan spokój, grunt żeśmy wyszli"

- "Ale panowie, to są wasze "Górale", zabrałem je szkopowi z kieszeni"

Okazało się że był to zawodowy złodziej-kieszonkowiec. Poszli więc we trzech na wódkę oblać darmowe ocalenie.

W czasie okupacji w Warszawie (a zapewne nie tylko) powstał cały przemysł chałupniczy podrabiania "Górali" na łapanki w myśl śpiewanej na ulicach popularnej piosenki:

"Siekiera, motyka, bimber gwóźdz

Masz "Górala" a mnie puść"

Fałszywe "Górale" nie odznaczały się wysoką precyzją wykonania, ale w ferworze łapanki Niemcy nie mieli czasu, żeby zbyt dokładnie przyglądać się branej łapówce, natomiast nikt z Polaków, w tracie spokojnej wymiany handlowej, nie dał się nabrać na fałszywkę.

Były też w obrocie fałszywe obrączki niby-ślubne z tombaku, które w sytuacji awaryjnej zdejmowało się z palca gestem rozpaczony żeby wcisnąć Niemcowi w rękę w zamian za wolność.

### **Zostaję sanitariuszką**

Dla mnie ten okres był bardzo pracowity, gdyż poza pracą na pół etatu w "Starcie" (warsztat Janusza) gdzie pracowałam przede wszystkim dla ausweis'u, poza wykładami i nauką, jeszcze przygotowywałam się do roli sanitariuszki w oddziale Janusza. Chodziłam do gabinetu zabiegowego szpitala św. Ducha, gdzie sympatyczna i cierpliwa siostra zakonna wtajemniczała mnie w arkana udzielania pierwszej pomocy: robienia opatrunków, bandażowania, unieruchamiania, robienia zastrzyków podskórnych i domięśniowych. Chodziłam też na dyżury do szpitala Maltańskiego - w dawnej Resursie Kupieckiej - gdzie pełniłam rolę pomocy pielęgniarki dyżurnej, ucząc się przy okazji różnych drobnych zabiegów, pielęgnacji chorych, ich układania, prześcielania łóżek obłożnie chorych i nieprzytomnych - bardzo mi się to później przydało. Podczas tych dyżurów stykałam się nieraz z problemami zupełnie dla mnie dotąd obcymi. Pamiętam pacjentkę, tancerkę, która znalazła się w szpitalu na "odwykówce", gdyż kiedy była aresztowana tak ją katowali na Gestapo, że polski lekarz więzienny wstrzykiwał jej morfinę żeby ulżyć strasznym bólom po "badaniach". I przyzwyczaiła się. Rodzinie udało się ją wykupić, ale niestety już była

morfinistką. Jej mąż zdecydował się oddać ją na kurację odwykową do szpitala. Była sympatyczną kobietą, ale kiedy dostawała głodu morfinowego stawało się z nią coś niesamowitego. Była zupełnie nieprzytomna, bez kontaktu, zrywała się, gdzieś chciała pędzić, rzucała się na inne chore. Musiałyśmy ją przywiązywać pasami do łóżka, ale ona była tak wygimnastykowana – jak to tancerka – a przy tym tak silna, że wysuwała się z każdych więzów. Jedynie kaftanem bezpieczeństwa udawało się ją unieruchomić.

Kiedyś wieczorem niedaleko szpitala rozjazgotała się strzelanina, w chwilę potem zaczął napływać do izby przyjęć tłum rannych. Okazało się, że w miejscu, gdzie przed paru dniami na Senatorskiej Niemcy dokonali publicznej egzekucji i rozstrzelali kilkudziesięciu Polaków, przechodnie układali kwiaty i zapalali świece. Na to przyjechała buda z Niemcami którzy wysiekli z pistoletów maszynowych zgromadzonych ludzi. Kilkunastu zabili, wielu ciężko ranili. Między innymi był chłopczyk 8-letni. dostał serię z pistoletu przez brzuch, miał rozszarpaną wątrobę. śledzionę, jelita. Przybiegła jego matka, wynędniała kobiecina. Przyniosła swemu synkowi największy w jej pojęciu luksus - pączek. Była ogromnie rozczarowana i zrozpaczona kiedy nie pozwolono jej dać mu go. A chłopiec umierał.

Kiedy już osiągnęłam pewien stopień wiedzy pielęgniarstwa zaczęłam szkolić moje trzy towarzyszki - sanitariuszki in spe. Wszystkie trzy były żonami Janusza kolegów z konspiracyjnego oddziału. Sytuacja była trochę zabawna bo ja - smarkata uczyłam te - jak dla mnie - starsze panie, mężatki (pewnie żadna nie przekroczyła trzydziestki) i byłam ich szefową. Jednak pilnie uczyły się teorii i praktycznych wskazówek udzielanych przeze mnie, z samozaparciem kłuły się nawzajem ucząc się robienia zastrzyków. Zużywałyśmy kilometry bandaży ćwicząc prawidłowe bandażowanie kolejno wszystkich części ciała i zgodnie wszystkie cztery bałyśmy się jak to będzie, kiedy będą prawdziwe rany, krew i ból. Bo tylko ja jedna z naszej czwórki przeszłam coś w rodzaju sanitariackiego chrztu bojowego i zetknęłam się z okropnościami wojny. Chyba dlatego ja najbardziej bałam się konfrontacji z rzeczywistością i odpowiedzialności na mnie cięższej.

Zostajemy zaprzysiężone. Przychodzi nasz główny szef, wygłasza krótkie przemówienie na temat naszych obowiązków jako sanitariuszek, stawia nas na baczność, powtarzamy za nim rotę przysięgi, gratuluje nam, wyraża nadzieję, że oddział może liczyć na naszą pomoc w godzinie "W".

Przeszkolenie sanitariackie zmieniło zupełnie moje zainteresowania. Socjologia i historia stały się dla mnie nieważne. Postanowiłam iść na medycynę.

## **Terror**

Narasta terror niemiecki. Wzmaga się też polski ruch oporu. Dywersja A.K. działa na wielką skalę: chłopcy z KEDYW'u wysadzają pociągi, mosty, odbijają więźniów (akcja pod Arsenalem, czy w Celestynowie) wykonują wyroki na volksdeutchach, donosicielach, na szczególnie okrutnych żandarmach i gestapowcach (zamach na Kutscherę). Po każdej takiej polskiej akcji na mieście pojawiają się wielkie czerwone afisze z listami nazwisk Polaków rozstrzelanych w odwecie. Z reguły są to przypadkowi ludzie aresztowani w ulicznych łapankach lub wyciągnięci z więzień. Najczęściej Niemcy dokonują egzekucji na ulicach Warszawy. Obstawiają wojskiem

jakąs dzielnicę czy kwadrat ulic, przechodnie w popłochu uciekają i chowają się gdzie kto może. Niemcy przywożą ciężarówkami skazańców, często z zagipsowanymi ustami, żeby nie mogli wznosić patriotycznych okrzyków, często “ubranych” w papierowe worki, zawsze z rękami zawiązanymi na plecach, ustawiają pod ścianą i siekają z karabinów maszynowych. Do załadowania zmasakrowanych trupów z powrotem na ciężarówki używają Żydów lub innych więźniów. Ciały wywożą i grzebią w zbiorowych grobach na terenie lasów otaczających Warszawę. Ile takich grobów do dziś nie zostało odkrytych? W miejscach egzekucji, mimo represji, ludność kładzie kwiaty, zapala lampki nagrobne. Grozę ulicznych egzekucji powiększały rajdy odkrytych ciężarówek z siedzącymi w nich w równych rzędach żołnierzami feldgrau, w hełmach, z bronią w rękach, które krążą po mieście z włączonymi sygnałami. W czasie okupacji każdy samochód to Niemiec - nikt z Polaków nie miał samochodu, a takich kilka czy kilkanaście ciężarówek na sygnałach, pełnych żołnierzy zawsze oznaczało coś strasznego. Pamiętam grozę poprzedzającą egzekucję na Saskiej Kępie. Wracałam do domu na Francuską. W Alei 3-go Maja zorientowałam się, że coś się dzieje złego. Samochody niemieckie osobowe i ciężarówki z żołnierzami jechały jeden za drugim. Wyskoczyłam z tramwaju przy Solcu (był tam wtedy przystanek) i poszłam do Barbary na Powiśle. W tym czasie jechał też Janusz, widział, że coś bardzo niedobrego się szykuje, też wyskoczył przy Solcu, ale wrócił do Nowego Świata, wsiadł do tramwaju w kierunku Pragi i przeszedł przez wagon cicho mówiąc:

“Wysiadać, na Saskiej Kępie łapanka, wysiadać”

Przy Solcu zostali w wagonie tylko zdziwieni Niemcy w swojej przegródce “Nur für Deutsche” Powtórzył tę operację kilka razy, aż na przystanku przy Nowym Świecie nie było amatorów na jazdę w kierunku Pragi, bo ludzie już wiedzieli o obstawianiu Saskiej Kępy.

To było przedziwne jak błyskawicznie wieści o łapanekach, egzekucjach, obstawach rozchodziły się wśród mieszkańców Warszawy, jakby w powietrzu funkcjonował jakiś telefon bez drutu. Jeden drugiego, obcy sobie ludzie uprzedzali o niebezpieczeństwie. Solidarność była przy tym ogromna. Wiele razy uniknęłam łapanki uprzedzona przez nieznanego informatora. Niezawodni w tym byli chłopcy, warszawskie łobuziaki - kilkunastoletki nie zwracający uwagi swoim wyglądem i wiekiem, docierali tam, gdzie żaden dorosły nie ośmieliłby się dojść. Bo nie zawsze najlepszy nawet ausweis był dostateczną ochroną przed przypadkowym aresztowaniem.

Ważną rolę w warszawskim “telefonie bez drutu” odgrywali riksarze. Kiedy z okupowanej Warszawy znikły taksówki, ich miejsce zajęły riksze. Były to trójkołowe rowery z wygodnym siedzeniem dla dwóch osób z przodu albo riksze towarowe mające zamiast fotela platformę na towary. Duży procent rikszarzy to byli młodzi, wysportowani mężczyźni z inteligencji, którzy w warunkach okupacyjnych nie mogli znaleźć pracy w swoim zawodzie. Rikszarze z racji swojej profesji jeździli po całej Warszawie nie zwracając niczyjej uwagi, widząc co gdzie się dzieje i byli znakomitymi informatorami. Bardzo wielu z nich było zaangażowanych w konspiracji i oddawało nieocenione usługi właśnie przez łatwość poruszania się po mieście.

\* \* \*

W 1943 r. Niemcy ogłaszają straszną wiadomość – odkrycie masowych grobów w lesie katyńskim zawierających zwłoki kilkunastu tysięcy polskich oficerów

zamordowanych strzałem w tył głowy. Niemcy oskarżają o mord Związek Sowiecki. Są to oficerowie, o których upominał się rząd polski w Londynie z gen. Sikorskim na czele, od 1941 r. od chwili kiedy ZSSR zaatakowany przez Niemców stał się automatycznie sojusznikiem aliantów, a więc i Polski. Oczywiście ZSSR twierdzi, że mordu dokonali Niemcy. Do Katynia przyjeżdża międzynarodowa komisja Czerwonego Krzyża, która ustala datę masakry na wczesną wiosnę 1940r. Właśnie z marca i początku kwietnia 1940r. były datowane ostatnie listy, jakie dotarły do rodzin jeńców. Wśród zidentyfikowanych zwłok znajdują się moi dwaj stryjeczni bracia Witold i Józef Klarnerowie.

\* \* \*

Zimą 1943/44 r. nasz ojciec został potrącony przez niemiecką ciężarówkę. Przypadkowi przechodnie zanieśli nieprzytomnego do pobliskiego szpitala na Solcu. Na izbie przyjęć, w czasie rozbierania wypadły z wysokich butów "gazetki". Na szczęście lekarzem dyżurnym był szkolny kolega jednego z braci. Zgarnął trefną bibułę nim pielęgniarki zorientowały się o co chodzi i zawiadomił rodzinę. U ojca stwierdzono pęknięcie miednicy i złamanie kości udowej. To wymaga operacji. Siedzę przy ojcu kiedy budzi się z narkozy. Budzi się fatalnie, bo ma "gadane", a jest nieprzytomny - umawia się z kimś, każe kogoś zawiadomić, podaje konspiracyjne adresy, wymienia nazwiska. Jestem przerażona. Pod różnymi pretekstami wysyłam z pokoju pielęgniarki, tłumacząc, że potrafię sobie poradzić z ojcem. Zostawiają nas. Kiedy ojciec przytomnieje jego pierwsze słowa były:

"Co ja mówiłem? kto przy tym był?"

Widocznie coś w podświadomości zostało. Ojciec ma 71 lat i ogromną wolę szybkiego wyzdrowienia. Pogania lekarzy:

"Panowie pośpieszcie się, ja nie mam czasu!"

Istotnie po dwóch, miesiącach chodził z laską, trochę utykając. To że był drobnym, bardzo szczupłym panem na pewno ułatwiło rehabilitację.

Parę miesięcy później nasza matka dostała wylewu do mózgu. Ojciec miał właśnie u siebie zebranie delegatury rządu. Zawiadomiony przez gospozię, że "pani zemdlą", nie zorientował się w sytuacji, kazał wezwać lekarza, ale zebrania nie przerwał. Lekarz zajęty u pacjentów zjawił się dopiero po paru godzinach. Stwierdził wylew i porażenie obustronne. Kiedy matka odzyskała przytomność okazało się, że ma też kłopoty z mówieniem. Szpitale - pod zarządem niemieckim - takich chorych nie przyjmują. Zostaje więc w domu. Leczenia właściwie nie ma żadnego, tylko spokój. Stopniowo, po trochu wraca częściowo władza w jednej połowie ciała, poprawia się mowa, ale jest to wciąż sparaliżowana kobieta. Ma 65 lat.

Rano przenosimy matkę na fotel, wieczorem przenosimy z powrotem do łóżka. Dawniej, kiedy była czynna, zawsze czymś zajęta, mówiła nieraz, że najgorsze co mogłoby ją spotkać w życiu to paraliż. I spotkało ją to.

\* \* \*

W pierwszej połowie lipca 1944r. Wybieramy się na krótki urlop do Kazimierza – jedyne okupacyjne wakacje przypominające trochę wakacje w przedwojennym Kazimierzu.

Przyjechaliśmy w licznym towarzystwie, poza mną byli Janusz z Kamą, Maryla i

Władek Żywicy, Zygmunt Rodowicz i najmłodszy z nas – Andrzej Nowakowski, pospolicie “Pipsem” zwany. Konspirujemy się na naszej Górze: śpimy w domu, ale na dzień wynosimy walizki z rzeczami do garażu przy stróżówce, drzwi frontowe trzymamy stale zamknięte, staramy się być niewidoczni z drogi. Stale ktoś jest “na nasłuchu” czy nie słychać jadącego samochodu – wtedy samochód oznaczał Niemców, a na piaszczystej, polnej drodze prowadzącej od szosy do nas, każdy samochód tak piłuje silnik na pierwszym biegu, że słychać go z odległości powyżej kilometra. Mielibyśmy czas na ucieczkę. Ale nie musieliśmy uciekać – Niemcy nie odważali się na takie eskapady. Natomiast chłopcy z lasu nie raz przychodzili do Janka – syna naszej dozorczyń. Janek wkrótce potem zginął w jakiejś potyczce z Niemcami.

Pływamy, wylegujemy się na słońcu, objadamy się czereśniami i wiśniami, które niesamowicie obrodziły tamtego roku. Wreszcie Zygmunt zauważył, że jestem nie tylko młodszą siostrą przyjaciela, ale i nie najbrzydszą dziewczyną. Pyszenie nam się razem spędza czas. Ponieważ Zygmunt – dusza towarzystwa – musi wcześniej wyjechać, urządzamy uroczysty obiad pożegnalny. Ustalamy, że obowiązują stroje wieczorowe. Panowie w szortach, ale z muchami z papieru toaletowego na gołych szyjach, ponieważ Kama deklaruje, że uwielbia brunetów, więc Janusz, blondyn, maluje sobie sadyż na “wysokim czole” czarny lok, a pod nosem zabójczy wąsik. Kama wkłada jakąś elegancką suknię, Maryla długie, “wieczorowe” spodnie, ja przypinam do dekoltu opalacza kiść czereśni. W piwnicy chłodzą się alkohole. Zygmunt z Pipsem co chwila tam schodzą, pilnują czy aby dobrze się chłodzą i robią się coraz weselsi. Obiad mija w wesołym nastroju. Potem Zygmunt wstaje, klaszcze w ręce, woła:

“Orkiestra! Muzyka!”

i śpiewając uroczystego poloneza “trampa pa pa...” posuwistym krokiem, ze mną w pierwszą parę prowadzi korowód przez bramę, wbrew zasadom konspiracji, na ugór naprzeciw naszego ogrodu, między pasące się tam spokojnie krowy. Bydłęta patrzą na nas zdziwione, ale nie przerywają przeżuwania.

Zygmunt wyjechał, a my wsłuchujemy się w dziwne odgłosy dochodzące ze wschodu. Nie ma wątpliwości – to zbliża się front. Trzeba szybko wracać do Warszawy. Mieliliśmy szczęście – wyjechaliśmy ostatnim pociągiem, który wyszedł z Lublina.

Był to 15 lipca 1944r.

W ciężkich walkach armia sowiecka zbliża się do linii Wisły.

Armia niemiecka w popłochu ucieka przez Warszawę na zachód. Przez most Poniatowskiego nieprzerwanym strumieniem suną ciężarówki pełne wojska i sprzętu, czołgi, idą pieszo luźne gromady piechoty, żołnierze o twarzach szarych ze zmęczenia, mundury zniszczone, zakurzone, buty ubłocone, widać, że karabiny ciężą im nieznośnie, jadą rzędy chłopskich furmanek wyłożonych słomą albo sianem, a na nich ranni, byle jak opatrzeni, zakrwawione, brudne bandaże – to ci co nie dostali się do pociągów sanitarnych. Serce skacze z radości na taki widok! Gdzie się podzieli ci wspaniali panowie świata, którzy przed trzema laty śpiewając bojowe pieśni, butnie parli na wschód pewni zwycięstwa, po łatwych zdobyczach na zachodzie Europy?

W nocy, przez otwarte okna słychać na moście nieustanny hurgot wszelkiego wojskowego żelastwa i bezładny tupot okutych butów. Wiele niemieckich urzędów pakuje się gwałtownie. Niemieckie dzielnice jakby opustoszały – chyba niemieckie

rodziny już uciekły zabierając zrabowany dobytek. Na ulicach, w Śródmieściu, prawie nie widać Niemców. Zatłoczone są tylko trasy wschód – zachód. Ale przyczółki mostów otoczone są kozłami z drutu kolczastego, a w bunkrach błyszczą lufy karabinów maszynowych. Będą się bronić w Warszawie? Chodzą plotki, że czołgi sowieckie pokazały się w Wawrze.

Co będzie dalej? Jaki będzie koniec “naszej” wojny? Napięcie rośnie. Sowiecka radiostacja “Kościuszko” po polsku nadaje codziennie apele:

“Polacy! Na co czekacie z bronią u nogi? Niemcy są już pobici”

W ostatnich dniach lipca Niemcy rozwieszają wielkie ogłoszenia wzywające 100 tysięcy ludzi do kopania okopów wokół Warszawy. Nikt się nie zgłasza. Wiadomo, że powstanie lada chwila może wybuchnąć. Nie chcemy zostawiać rodziców na Saskiej Kępie w obawie, że mogą być na dłuższy czas odcięci przez Wisłę - liczymy, że front może się zatrzymać na Wiśle. W końcu lipca 1944 r. przenosimy więc rodziców i Marię jako opiekę dla matki, do Zbigniewa, który mieszka w domku na Mokotowie, przy Madalińskiego. Do kilku dużych walizek ładujemy po trochu ubrań każdego z nas i zawozimy do różnych znajomych w różnych częściach miasta - może coś ocaleje? Metoda “wiewiórki” okazała się skuteczna. Jedna z walizek uchowała się i zawarte w niej rzeczy służyły nam jeszcze długo po powstaniu i tzw. “wyzwoleniu”.

Okazało się, że pomysł przeniesienia rodziców na Madalińskiego był fatalny. Ale któż to mógł przewidzieć?

## **Powstanie Warszawskie**

1 sierpień 1944 r. Rano zawiadamia mnie łączniczka z oddziału, że zbiórka patrolu sanitarnego razem ze sprzętem jest o godzinie 14-ej. Podaje adres: Czerniaków, ul. Mączna, piekarnia. Ma też zawiadomić moje towarzyszki. Raz jeszcze sprawdzam oddziałową apteczkę. Od długich miesięcy kompletowaną i uzupełnianą po trochu, po parę bandaży, po paczce waty, żeby nie zwracać uwagi w apteczkę kupowaniem zbyt dużych ilości środków opatrunkowych naraz.

Biorę tylko rzeczy osobiste najniezbędniejsze na trzy dni - bo tyle czasu ma trwać powstanie, potem ma przyjść pomoc. Nie biorę kenkarty – od dawna mamy zapowiedziane, że na zbiórkę przed godziną “W” stawiamy się bez dokumentów. Wsuwam jednak do kieszeni wiatrówki kwit z farbiarni na wymarzoną garsonkę z niemieckiej bielizny. Żegnaj się z matką. Mówię:

“Mamusiu, wychodzę, możliwe, że nie będzie mnie kilka dni, nie niepokójcie się.”

Na co matka, która nie całkiem orientuje się w sytuacji, której mylą się najprostsze rzeczy - po wylewie umysł nie funkcjonuje prawidłowo - wyciąga spod poduszki dwa tysiące złotych - to wówczas było sporo pieniędzy - zawinięte w chustkę, daje mi:

“To ci się może przydać.”

i kreśli znak krzyża ma moim czole.

Dzień jest duszny, parny, chwilami kropi drobny deszcz. Ulice wyglądają inaczej niż zwykle. Nie chodzą żadne tramwaje, Niemców nie widać, pełno za to młodzieży, chłopców, dziewcząt, zaaferowanych, śpieszących w różne strony z paczkami nieraz o dziwnych kształtach, chłopcy przeważnie w długich butach (taka była okupacyjna moda). Dźwigam moją pakę z apteczką. Nie jest bardzo ciężka, ale duża i nieporęczna

do niesienia. Na zupełnie pustej Czerniakowskiej spotykam męża jednej z moich towarzyszek. Jedzie luksusowo rikszą towarową, sadowię się obok niego, na twardych paczkach. Ulga! Kiedy przejeżdżamy koło koszar niemieckich przy Czerniakowskiej, skąd z bunkrów łyskają lufy karabinów maszynowych, mój - towarzysz szeptem przynaglająco:

“Niechże się pani do mnie mizdrzy!!”

Zdziwiona wybucham perlistym śmiechem i choć mi wcale nie do śmiechu, obejmuję go za szyję, choć wcale nie mam na to ochoty. Okazało się, że paczki na których siedzimy to broń naszego oddziału, a rikszarz to też jeden z naszych chłopców. Oddział liczy trzystu ludzi.

Docieram na punkt. Mamy do dyspozycji dwa duże pomieszczenia. Będziemy pełnić rolę ambulatorium dla lżejszych przypadków, poważniej ranni mają być przyjmowani przez szpital powstańczy urządzone w gmachu szkoły Sióstr Nazaretanek, na rogu Czerniakowskiej i Podchorążych, tuż przy koszarach DAK-u, które są celem ataku naszego oddziału.

Stawiają się wszystkie sanitariuszki. Dochodzi jeszcze jedna, co prawda nie przeszkolona, ale za to pełna dobrych chęci, siostra jednego z naszych chłopców, błaga żeby jej pozwolić zostać, żeby mogła być blisko brata. Z tych dobrych chęci, od razu w pierwszej godzinie powstania, zepsuła mi wszystkie strzykawki - poleciłam jej wygotować je, ale ona nie wiedziała, że trzeba je najpierw rozmontować. Nie było wtedy strzykawek jednorazowych.

Urządzamy coś w rodzaju gabinetu zabiegowego. Punktualnie o 17-ej rozlegają się pierwsze strzały i pojedyncze wybuchy granatów. Odpowiada im jazgot broni maszynowej. Strzelanina trwa. Usiłujemy zorientować się co się dzieje, ale z naszej piekarni nic nie widać. Zaczynają napływać ranni: drobne postrzały, niewielkie skaleczenia. Nawet nam to idzie sprawnie. Chłopcy relacjonują nam, że pierwszy atak nie udał się, że Niemcy z bunkrów otaczających koszary zieją ogniem maszynowym, nie pozwalają podejść. Atak od strony przeciwnej, przez kartoflisko za koszarami też się nie udał. Są zabici i ranni. Chłopcy po założeniu opatrunków natychmiast wracają do oddziału, do walki. Pozostaje tylko jeden, ma lekki postrzał przedramienia, raczej otarcie, ale rozdarty rękaw robi wrażenie poważne. Chłopak usiłuje nam się przydać, mówi, że drugą ręką może nosić nosze, krząta się, coś podaje, coś przynosi - wyraźnie ma dość wojowania.

Przez nasz punkt opatrunkowy przewinęło się kilkudziesięciu chłopców. Ze zdziwieniem widzę, że wielu z nich to pracownicy “Startu” - warsztatu Janusza. Cały czas słychać strzelaninę. Przeważa jednak broń maszynowa, na pewno niemiecka.

Wieczorem przybiega łącznik: zostawić sprzęt, zbiórka w przedszkolu przy Czerniakowskiej. Z bólem serca zostawiam miesiącami zbieraną apteczkę oddziałową i idziemy na zbiórkę. W parterowym baraku przedszkola zbiera się prawie cały oddział. Jest ciemno, żadnego światła. Janusz relacjonuje rozkaz dowódcy odcinka: brak amunicji i broni – nie dostarczono całej broni oddziału – koszar DAK’u nie zdołano zdobyć, są straty w ludziach, nie ma łączności z resztą Warszawy, nie wiadomo czy powstanie tam trwa, czy zostało stłumione. W tej sytuacji ci, którzy mają broń wychodzą do lasów Kabackich (wychodzi ich około stu), reszta rozchodzi się pojedynczo w miarę możliwości do domów.

Dowiaduję się, że zginął mąż jednej z moich towarzyszek, zginął jeden z chłopców ze “Startu”, a Zygmunt Rodowicz jest ciężko ranny w szpitalu u Nazaretanek. Mnie Janusz każe iść na góry Mokotów na ul. Wielicką do Bogny



Klarner, żony naszego kuzyna będącego w oflagu od 1939r., a sam ze zmniejszonym oddziałem odchodzi w Kabaty.

Jest czarna noc, pada gęsty deszcz. Gdzieś daleko w kierunku Mokotowa słychać strzały. Gubię się z moimi towarzyszami, ale zjawia się koło mnie ów mało bojowy ranny w rękę i mówi:

“Teraz już całkiem oddaję się pani pod opiekę.”

Mój ty bohaterze! Idziemy w kierunku Wilanowa w strugach deszczu, w kompletnej ciemności. Nagle przed nami wyrasta ciemna postać i cicho mówi:

“Wejdźcie do tej szopy, tylko cicho i bez żadnych świateł”

Wchodzimy. Nogą wyczuwam, że siedzą tam ludzie. Po omacku znajduję kawałek wolnego miejsca, mój bohater sadowi się koło mnie. Z szeptem wymienianych uwag z sąsiadami dowiaduję się, że są to ludzie z różnych oddziałów z Czerniakowa, którym też nie udało się wykonać zaplanowanego zadania i też zupełnie nie orientują się w sytuacji - gdzie Niemcy, gdzie nasi, co z powstaniem, trwa czy upadło?

Nad ranem deszcz przestał padać, kiedy tylko się rozwidniło wychodzimy pojedynczo z szopy. Mój bohater twardo za mną. Jesteśmy głodni. Na ulicy Zielonej trafiamy na otwarty sklepik spożywczy. Zaopatrujemy się w nim w chleb i coś do chleba, a sympatyczna starsza pani - też klientka - proponuje żebyśmy do niej przyszli - mieszka w tym samym domu - będziemy mogli u niej napić się herbaty i odpocząć. Chętnie korzystamy z zaproszenia. Starsza pani powtarza nam wiadomości zasłyszane w sklepie: na dworcu południowym przy Puławskiej są Niemcy, ale reszta górnego Mokotowa jest prawdopodobnie w rękach polskich powstańców. Postanawiam więc przedostać się do Puławskiej i dalej na Wielicką. Mój towarzysz woli zostać, a ja wolę iść sama niż z nim. Przemykam się między płotami, unikam ulic. Stale słyszę pojedyncze strzały. Wreszcie wychodzę na Puławską w okolicy Królikarni. W poprzek ulicy, przy przewróconym wagonie tramwajowym jako barykadzie natykam się na posterunek chłopców z biało - czerwonymi opaskami. Od nich dowiaduję się, że powstanie trwa, że duża część Mokotowa jest polska, że Śródmieście walczy, ale o reszcie Warszawy brak wiadomości. Chłopcy przestrzegają mnie żeby nie chodzić po Puławskiej, bo niemieccy “gołębiarze” strzelają z dachów do pojedynczych ludzi. Przebiegam więc zgięta wpół rowem obok wagonu tramwajowego i dostaję się na Wielicką do Bogny Klarnerowej i jej rodziców. Bogna wita mnie mocno zdenerwowana tym, że łącznicy z naszego oddziału nie zgłosili się do niej po broń należącą do naszego oddziału, a zakopaną w ogródku jej willi. Oddała więc broń i amunicję jednostce, która walczyła w jej rejonie.

Tego właśnie dnia powstańcy zdobyli szkołę przy ul. Woronicza, w której była silna placówka Niemiecka. Znaleźli w niej magazyn pełen polowych mundurów niemieckich, tzw. “panterek” i kombinezonów, trochę broni, sporo kaszy i sztucznego miodu. Dzięki zdobytym mundurów większość powstańców Mokotowa zostaje umundurowana w niemieckie panterki lub kombinezony udekorowane biało - czerwonymi opaskami na hełmach i na ramieniu.

Po przespaniu u Bogny kamiennym snem 12 godzin melduję się w powstańczej komendzie. Proponują mi pisanie na maszynie jakichś papierków. O nie! To się po mnie nie pokaże żebym w czasie Powstania stuknęła na maszynie. Polecają mi więc wybrać w magazynie zdobytej szkoły na Woronicza materiały opatrunkowe i urządzić tam punkt sanitarny. Dostaję też legitymację powstańczą - zwykłą skromną kartkę ze stemplem i wpisanym pseudonimem “Krystyna Ochocka”.

Zapasy ze zdobytej szkoły wyglądają mizernie - trochę papierowych bandaży, trochę opatrunków indywidualnych, płyny do dezynfekcji, białe fartuchy. Poratowali mnie mieszkańcy sąsiednich domów - przynoszą paczuszki gazy, waty, prześcieradła do darcia na bandaż, ligninę. W każdym razie mogą zacząć działać jako pierwsza pomoc. Wszystkie poważniejsze przypadki przyjmuje szpital Elżbietanek na Goszczyńskiego.

Na razie w naszym rejonie - okolica Królikarni - panuje spokój. Słychać tylko z rzadka pojedyncze strzały. Artyleria niemiecka milczy, samolotów nie słychać. Czy to cisza przed burzą?

W okolicy Dworkowej Niemcy wdarli się na teren zajęty przez powstańców i wymordowali ludność cywilną. Atakują też od strony Al. Niepodległości, gdzie przy rogu ul. Odyńca była silna placówka powstańcza w domu mego ojca, wybudowanym tuż przed wojną, jeszcze nie całkiem wykończonym, ale tak solidnym, że zyskał sobie miano "Alkazar". Dopiero bombardowanie z najcięższej artylerii tonowymi pociskami zburzyło go całkowicie w ostatnich dniach powstania. Zginęło w nim wielu ludzi - powstańców i cywili.

Przez pierwszych kilka dni powstania Mokotów jest całkowicie odcięty od świata. Nie mamy żadnej łączności z resztą Warszawy. Przedostanie się do Śródmieścia przez zwarty pierścień umocnionych pozycji niemieckich otaczających Mokotów jest absolutnie niemożliwe. Nie wiadomo, czy jeszcze gdzieś powstanie trwa? Czy ten skrawek wolnego Mokotowa jest jedyną walczącą częścią Warszawy?

Zasięg mokotowskiej krótkofalówki okazał się za słaby. Później udało się nawiązać łączność radiową ze Śródmieściem przez Londyn. Było to jednak bardzo skomplikowane i uciążliwe. Dopiero odkrycie przydatności kanałów umożliwiło dowództwu Mokotowa kontakt z resztą miasta. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy sami - walczy Śródmieście, Żoliborz, Stare Miasto. Z opóźnieniem dochodzą do nas wiadomości ze świata, o postępach ofensywy Aliantów w Normandii, o ofensywie we Włoszech, o bohaterstwie polskich oddziałów pod Monte Cassino. Niemcy dostają w skórę na wszystkich frontach.

Moimi pacjentami w punkcie opatrunkowym są przeważnie chłopcy z różnymi drobnymi postrzałami, skaleczeniami, z nogami otartymi w twardych niemieckich butach. Podejrzewam, że przychodzą też żeby obejrzeć sanitariuszkę.

Pierwszym poważniejszym pacjentem mego ambulatorium był "Zakapior". Przeprowadzili go koledzy z drużyny. Dostał postrzał z boku przez górną wargę. Postrzał był powierzchowny, ale zmasakrował mu całą "fizis". Nos miał karykaturalnie obrzęknięty, skóra z górnej wargi zdarta, nawet nie było jak założyć szwów. Biedak był obolały, z zamkniętymi oczami poddał się moim zabiegom. Staralam się jak najdelikatniej to robić. Kiedy skończyłam otworzył oczy, spojrzał na mnie i jęknął:

"Aniołek"

No i przepadło! Jego koledzy podchwycili "Aniołka" i już nim zostałam. Byłam wtedy puciołowatą i rumianą blondynką, ale zawsze marzyłam, żeby mieć pociągłą, bladą, interesującą twarz. Nic z tego! A kiedy idący na placówkę pluton Zakapiorów witał mnie gromkim:

"Cześć Aniołek!"

moja powaga czuła się mocno dotknięta.

Któregoś dnia zapędził się samochodem ulicą Puławską oficer niemiecki aż do barykady z wozu tramwajowego przy Królikarni. Po krótkiej strzelaninie pilnujący

barykady chłopcy wzięli go do niewoli razem z kierowcą i dwoma żołnierzami z obstawy. Lekko rannego i śmiertelnie przerażonego przyprowadzili go do mnie na opatrunek. Ten dumny i butny pan świata wyglądał teraz jak zaszczute zwierzę. Powtarzał:

“Nie zabijać, nie zabijać.”

Odpowiedziałam mu moją kulawą niemczyzną, ale z godnością:

“My Polacy nie zabijamy jeńców!”

Po opatunku chłopcy odprowadzili go do dowództwa. Widocznie propaganda niemiecka głosiła, że Polacy torturują i mordują jeńców, bo słyszałam, że w innych szpitalach też mieli kłopot z wziętymi do niewoli żołnierzami niemieckimi, którzy nie chcieli poddawać się zabiegom lekarskim z obawy, że zostaną zamordowani.

Po kilku dniach względnego spokoju Mokotów zaczyna być ostrzeliwany z granatników. Trzy razy dziennie, w ściśle określonych godzinach - można według nich regulować zegarki - ostrzeliwiają określone kwadraty ulic, poczym milkną do następnego razu. Zadziwiająca jest ilość niewypałów - wybucha zaledwie co trzeci pocisk. Później dowiedzieliśmy się, że to bracia - Węgrzy, choć sojusznicy Niemców wbrew odwiecznej przyjaźni z Polakami, ze wzgórza przy kościele św. Katarzyny ostrzeliwiają nas pociskami tak spreparowanymi, że większość nie wybucha. Granatniki nie burzą domów, ale je uszkadzają, a wybuchając rozrywają się na tysiące odłamków, które dotkliwie ranią znajdujących się w ich zasięgu ludzi.

Kilkakrotnie widziałam oficerów węgierskich, kiedy konną bryczką przyjeżdżali do dowództwa powstańczego. Chodziły plotki, że chcieli, zerwać sojusz z Niemcami i przejść na polską stronę. Oczywiście wieści te nie potwierdziły się. Natomiast dziwnym zbiegiem okoliczności każdorazowo w pół godziny po odjeździe Węgrów kwadrat domów w którym się znajdowało dowództwo zostawał skutecznie zbombardowany.

Widocznie szpiedzy niemieccy nie próżnowali, gdyż dowództwo musiało wielokrotnie zmieniać swoje miejsce postoju z powodu precyzyjnego bombardowania domów w których się znajdowało.

Mniej więcej od drugiego tygodnia powstania, w przerwach między ostrzałami zjawiają się nad Mokotowem trzy Stukasy, małe samoloty, które albo zrzucają niewielkie bomby, albo z niskiego lotu ostrzeliwiają z broni pokładowej. Polują nie tylko na grupy ludzi, ale i na pojedynczych przechodniów. Ukryć się przed nimi jest bardzo trudno. Mokotów jest dzielnicą willową, nie ma zbawczych bram warszawskich kamienic w śródmieściu, a Stukasów nie słychać, kiedy lotem ślizgowym schodzą tuż nad dachy domów i sieją z działek szybkostrzelnych albo karabinów maszynowych. Są zupełnie bezkarni. Przecież powstańcy nie mają żadnej broni przeciwlotniczej. Krążą nad nami jak złowrogie, ziejące ogniem ptaki.

Przybywa rannych. Szpital Elżbietanek nie wystarcza. Dowództwo poleca założyć szpitalik w willi przy ul. Idzikowskiego 37, w lokalu internatu dla chłopców, chwilowo pustego z powodu wakacji. Na parterze są trzy pokoje, zastawiamy je ciasno łózkami. Piętra zbyt otwartego na ostrzał wolimy nie używać dla rannych. Szefem jest dr Stępniewski, dermatolog (z konieczności pełniący obowiązki chirurga), rolę konsultanta pełni w razie trudniejszych przypadków, znany warszawski anatom prof. Edward Loth.

Sanitariuszek jest pięć: poza mną Miła, Kara i Tina, wszystkie w wieku 18 - 22 lata i przygotowanie sanitariackie podobne do mojego. Trochę starsza jest Zenia Zamoyska – pogodna, energiczna, nie bojąca się najgorszej roboty. Czasem pomaga

nam wychowawczyni z internatu, mieszkająca na piętrze, czarnooka pani Irena, mimo swoich 30 lat siwa jak gołąbek. Później dowiedziałam się, że była ukrywającą się Żydówką.

Szpitalik zapełnia się bardzo szybko. Początkowo nie mamy kłopotów z pościelą, internat był w nią zaopatrzony. Znacznie gorzej wygląda sprawa leków i materiałów opatrunkowych. Wata, gaza, bandaże wystarczają nam na bardzo krótko. Dochodzi do tego, że pierzemy bandaże nie tylko gazowe, ale i papierowe. Rozwieszamy je jak festony na krzewach w ogródku willi licząc, na bakteriobójcze działanie słońca, a gazy zużytej do opatrunków nie wyrzucamy, ale po wymoczeniu w zimnej wodzie gotujemy w proszku do szorowania.

Trzeba zaznaczyć, że wodociągi przestały działać, wodę nosiliśmy ze studni odległej o paręset metrów położonej na otwartej przestrzeni, wystawionej na ostrzał artylerii i ze Stukasów, które polowały na ludzi stojących w kolejce po wodę. Było niemało ofiar.

Brak wody był naszym poważnym problemem. Jak bez wody prać bieliznę? Jej pranie odbywało się sposobem symbolicznym: zapierało się tylko co większe plamy szarym mydłem - nie było dzisiejszych świetnych proszków - i suszyło się w ogródku na słońcu, modląc się żeby nie było ostrzału. Bielizny osobistej w ogóle nie było - ranni leżeli w tym w czym przyszli czy ich przyniesiono. Zresztą poczucie niepewności co będzie jutro, za godzinę, za 10 minut, czy nas nie zbombardują, czy Niemcy się do nas nie wedrą - byliśmy przecież najbardziej w ich kierunku wysuniętą placówką sanitarną - nie sprzyjało tak dalekosiężnym planom jak pranie.

Jedzenie gotowano dla szpitalika w sąsiednim domu. Nieodmiennie przez całe powstanie trzy razy dziennie, zdobyta w szkole przy Woronicza, kasza jęczmienna bez żadnej omasty (bo nie było), tzw. "kasza pluj", pełna łusek, nigdy nie dogotowana, bo brakowało opału pod kuchnię, ale za to zawsze przypalona bo z braku wody nie domywano kotła. Dobrze, że choć to było. Dostawaliśmy też zdobyczny miód sztuczny.

Chleba przez całe powstanie nie widzieliśmy. Można było o nim tylko pomarzyć cmokając kawałek sztucznego miodu.

Dla urozmaicenia tak ubogiego menu robiłyśmy wypad na działki na skarpie w okolicy dzisiejszej skoczni narciarskiej. Było to o tyle niebezpieczne, że cała skarpa była pod stałą obserwacją Niemców, którzy strzelali z karabinów maszynowych przy najmniejszym ruchu na działkach. Wyczekiwałyśmy więc zmroku, takiej chwili kiedy widoczność stawała się zła, a reflektory niemieckie jeszcze nie działały. Czołgając się możliwie płasko chwytaliśmy ile się dało pomidorów, zielonego grochu, marchwi i w nogi na górę z cenną zdobyczą do szpitalika.

Moja sytuacja była nieco lepsza, bo co jakiś czas wybierałam się do Bogny Klarnerowej, która podkarmiała mnie resztkami swoich zapasów i owocami swego małego ogródka zamienionego na warzywnik. Cóż to było za wspaniałe jedzenie: fasola, a czasami nawet placek smażony na oleju!

Nie było gdzie kupić jedzenia. Nie przypominam sobie żadnego czynnego sklepu w czasie powstania. Nie było możliwości uzupełnienia dostaw, zapewne więc sklepikarze wyprzedawali co mieli i zamykali sklepy. Ludność cywilna przejadała swoje zapasy, a wojsko było skazane na to co zdobyło na Niemcach. Podobnie było z ubraniem. Chłopcy dostali zdobyczne panterki, kombinezony i buty, ale bielizny czy skarpet nie mieli na zmianę, chyba, że czasem coś wyżebrali u litościwych cywili. Przeważająca większość z nas – powstańców – miała swoje domy w innych

dzielnicach Warszawy, a że między dzielnicami była bardzo trudna komunikacja, wyłącznie kanałami, jedynie w celach wojskowych i na rozkaz dowództwa, nie mieliśmy żadnych szans na zmianę ubrań. Kiedy w późniejszym okresie powstania zrobiły się chłodne noce – poskarżyłam się Zakapiorowi, że marznę na nocnych dyżurach, w cienkiej bluzce i cienkiej wiatrówce. Następnego dnia przyniósł mi komplet cieplej bielizny, podejrzewam, że wyszabrowany w jakimś rozbitym domu. Kiedy pokazałam mu jak wisi na mnie spódnica, grożąc, że opadnie, tak schudłam na kaszy “pluj”, przyniósł mi żołnierski pas niemiecki z napisem “Gott mit uns” na klamrze. Ucieszyłam się z niego bardzo, a Zakapior rozżalony powiedział:

“Człowieka musiałem zabić, żeby się do mnie uśmiechnęła!”

Nie wiem kim był Zakapior “w cywilu”. Ten niewysoki, krępy, dynamiczny chłopak był na pewno bardzo dzielnym żołnierzem. To się wyczuwało w stosunku do niego chłopców z drużyny, którą dowodził. Z jego twarzy zniekształconej przez źle gojącą się ranę nie sposób było coś wyczytać. Wobec mnie był bardzo szarmancki. Kiedyś przyniósł mi dosłownie snop róż zerwanych gdzieś na działkach. Wariat! Nie było wody, zwiędły po godzinie. Nigdy nie opowiadał co robił przed powstaniem, ale Bogna Klarnerowa, która widziała go parę razy mówiła mi:

“Oj będziesz ty miała kłopot z nim po wojnie, to może być równie dobrze bohater jak bandyta!”

\*\*\*

Chyba w końcu sierpnia, czy na początku września, Niemcy żeby szybciej zdławić powstanie ściągnęli ciężką artylerię i zaczął się ostrzał znacznie groźniejszy niż węgierskie granatniki. Zasypywali nas pociskami burzącymi i zapalającymi. Burzą i zapalają domy, ginie coraz więcej ludzi, żołnierzy i cywilów.

W szpitaliku robi się tłok. Już nie ma gdzie dostawiać łóżek. Przynoszą nam coraz ciężiej rannych. Zwiększa się też śmiertelność. Na prowizorycznym cmentarzyku przybywa mogił. Pamiętam młodego chłopca przyniesionego przez kolegów z oddziału. Był nieprzytomny. Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnej rany, ani kontuzji. Koledzy śmieli się, że symulant, że nic mu nie jest, tylko “dostał w gwizdawkę” – bo chłopak gwizdał, nieustannie gwizdał. Dopiero przy dokładnym obejrzeniu głowy znalazłam ukrytą pod włosami nad skronią małą, okrągłą, wcale prawie nie krwawiącą ranę – wlot kuli. Może gdyby to był “prawdziwy” szpital z rentgenem, z neurochirurgiem, może chłopca dałoby się uratować. Gwizdał przez całą noc, na jedną nutę, nieprzerwanie. Nad ranem zmarł.

Mieliśmy też rannego, co do którego szpitalik podzielił się na dwa obozy: jedni uważali, że to cud, że żyje, drudzy wyrażali bardziej materialistyczne zapatrywania. Otóż chłopak był podziurawiony jak sito przez odłamki granatnika. Doktor wydłubał ich z niego chyba kilkadziesiąt. Ale najgroźniejszy odłamek utkwiał mu na poziomie serca w portfelu – przebił skórzany portfel, gruby plik pieniędzy i zatrzymał się na obrazku Matki Boskiej. Wobec czego jedni twierdzili, że uratowała go Matka Boska, a drudzy, że pieniądze.

Strasznie wyglądają ludzie, którzy znaleźli się w promieniu rażenia bomby zapalającej. Są dosłownie cali czarni, oblepieni czymś w rodzaju napalmu. Włosy, rzęsy spalone, z czarnych twarzy luskają tylko białka oczu. Kiedy usuwamy z nich tę czarną warstwę razem z resztkami ubrań ukazują się nieraz ogromne ubytki spalonej skóry. Oparzelizny obejmują duże powierzchnie ciała. Makabra! Biedni cierpią

straszliwie. Jako jedyny środek przeciw oparzeniom mamy zapas oleju lnianego – jak w średniowieczu.

Po oczyszczeniu oparzeń polewamy je więc olejem i wręczamy delikwentowi gałązkę - jeśli jest przytomny - żeby opędzał się od much. Stosujemy tzw. otwarte leczenie oparzelizn, bez opatrunku, bez gazy, bez żadnego przykrycia. W dzień jest ciepło, na noc konstruujemy z gałązek i drutu rodzaj klatek, które przykrywamy kocami. Opatrunki ograniczają się do delikatnego usuwania znekrotyzowanych tkanek. Jednak po kilku dniach oparzelizny pokrywają się okropnie cuchnącą ropą i do cierpień wywołanych poparzeniem dochodzi ten ohydny smród, dający się we znaki wszystkim leżącym na sali. Nieoczekiwanym sprzymierzeńcem okazały się dla nas muchy, a raczej ich larwy. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam rozległą oparzeliznę pokrytą setkami tłustych białych robaczek, wijących się na powierzchni, myślałam, że zwymiotuję. Jednak larwy okazały się skutecznymi czyścicielami ran, zjadając ropę, a wraz z nią znekrotyzowane tkanki i miliony bakterii. Wprawdzie ranni cierpieli okrutne męki bo ruchliwe robaczki wiły się po ich obnażonych nerwach, ale rany goiły się nieporównanie lepiej niż pod zamkniętymi szczelnie opatrunkami.

Niedawno wpadł mi w ręce artykuł w amerykańskim piśmie lekarskim na temat leczenia ropiejących ran przy pomocy larw muchy (tu łacińska nazwa). Można powiedzieć, że nasze powstaniowe muchy, choć bez łacińskiej nazwy, były prekursorami metody i spełniły bardzo ważną rolę w leczeniu rannych i oparzonych.

\*\*\*

Dostaję wiadomość, że Zygmunt Rodowicz, ranny ciężko na Czerniakowie w czasie ataku na koszary DAK'u w pierwszym dniu powstania, leży w szpitalu powstańczym zorganizowanym w klasztorze przy ul. Chełmskiej. Czerniaków jest teraz częściowo zajęty przez powstańców, ale w koszarach DAK'u cały czas trzymają się Niemcy. Odnajduję Zygmunta na parterze klasztoru, w wielkiej sali szczelnie wypełnionej rannymi leżącymi na łóżkach, na podłodze na materacach i siennikach. Zygmunt dostał fatalny postrzał w bark - strzaskany staw, naruszona tętnica ramieniowa, stracił masę krwi. Chirurg u Nazaretanek dokąd go zanieśli w pierwszej chwili po zranieniu chciał mu amputować rękę aż do barku, ale Zygmunt nie zgodził się. Udało się zatamować krwawienie. Kiedy powstańcy opuścili Czerniaków weszli Niemcy i kazali wszystkich rannych przewieźć od Nazaretanek do niemieckiego wojskowego szpitala - dawnego Ujazdowskiego. W okropnych warunkach, furmankami, dorożkami trzęsącymi na kocich łbach ulicy Czerniakowskiej nieszczęśni ranni, którym najmniejszy ruch sprawiał ból, zostali przewiezieni do Ujazdowa, skąd po dwóch dniach Niemcy z powrotem wyrzucili ich na Czerniaków, tym razem umieszczono ich na Chełmskiej w dużym budynku klasztornym.

Zygmunt jest blady jak prześcieradło, na którym leży, z ręką “na samolocie”, ale uradowany moim przyjściem. Niestety nic nie potrafię mu powiedzieć co się dzieje z Januszem i resztą naszego oddziału, co z jego rodzicami i bratem “Anodą”. Zupełnie urwał mi się z nimi kontakt, podobnie jak z moją rodziną. Obiecuję przyjść za parę dni, przynieść pomidorów – to jedyny prezent jaki mogę mu ofiarować. Jakoś trudno mi odejść, ale Zygmunt przynagla:

“Idź póki nie ma ostrzału!”

Żegnamy się serdecznie. Kiedy wracałam opłotkami na górny Mokotów, z odległości ok.1,5 km widzę jak nad Czerniaków nadlatują ciężkie bombowce i zrzucają bomby na okolicę szpitala na Chełmskiej. Słyszę straszliwe huki, widzę ogromny słup dymu i po chwili ognia. Biegiem wracam z powrotem. Kilkupiętrowy masywny budynek klasztoru nie istnieje. Na jego miejscu jest koszmarne gruzowisko, które pali się żywym ogniem nie dającym podejść blisko. Słysząc straszne krzyki ludzi palących się żywcem, żadnych możliwości ratunku – nie ma wody do gaszenia, nikt gołymi rękami nie ruszy zawalonych bloków murów. W ogrodzie klasztorowym leżą ranni, których pielęgniarki ocalałe z bombardowania zdołały wyciągnąć z gruzów nim rozszerzył się pożar. Zygmunt leżał w rogu sali, najdalszym od wejścia, w tym miejscu zarwał się ogromny blok żelbetowy. Musiał zginąć na miejscu, nim szpital zaczął się palić. Miał 28 lat.

Zginęło bardzo wielu ludzi: rannych powstańców, lekarzy, pielęgniarek. Było to 29 sierpnia. Parę dni wcześniej Niemcy zbombardowali szpital Elżbietanek.

Oba szpitale miały na dachach wymalowane czerwone krzyże - wyraźnie było to planowe bombardowanie szpitali.

\*\*\*

Profesor Loth - pseudonim Gozdawa przysłał któregoś dnia do naszego szpitalika kartkę, żeby przynieść mu do domu, przy ul. Pilickiej zestaw wysterylizowanych narzędzi chirurgicznych, gdyż chciał zrobić jakiś zabieg. Poszłam więc z dużym sterylizatorem pod pachą i puszką sterylnej gazy do mieszkania profesora. Nie zastałam go – zostawiłam więc sterylizator i puszkę mówiąc, że odbiorę je później. Profesor wrócił wkrótce do po moim wyjściu, a po chwili przyleciały bombowce i zbombardowały dom profesora i kilka okolicznych. W gruzach zginął profesor Loth wraz z żoną i córką. Z rodziny został syn profesora, będący gdzieś w akcji, dr Felicjan Loth, popularny “doktor Felek”, 29 lipca, na dwa dni przed powstaniem zwolniony z Pawiaka, w którym przesiedział 3 lata i będąc więziennym lekarzem, z ogromnym poświęceniem i odwagą, nie tylko ratował skatowanych przez Gestapo więźniów, ale zorganizował konspiracyjną siatkę kontaktową z A.K. na wolności. Ma swoją piękną kartę w życiorysie z tego okresu. Tuż przed wybuchem powstania Niemcy wymordowali większość więźniów Pawiaka, a pewną niewielką ich liczbę – zwolnili. “Doktor Felek” miał szczęście.

\*\*\*

W rejonie Królikarni przez pierwsze tygodnie powstania panuje względny spokój. Oczywiście jest ostrzał artyleryjski, są naloty, ale dla mnie pamiętającej oblężenie Warszawy w 1939 r. to nie jest jeszcze groźne. Wiem od chłopców, że placówki powstańcze na zachodnim i północnym skraju Mokotowa są w nieustannej walce z Niemcami o utrzymanie każdej ulicy, każdego domu. Ale ile czasu dadzą radę się trzymać? Czy na długo starczy broni, amunicji i żołnierzy?

Zginął Góralczyk – przyjaciel Zakapiora, młodziutki chłopak w niemieckim hełmie przepasanym wąską, białą – czerwoną wstążką, rzeczywiście przypominał

zawadiackiego góralczyka. W czasie odpierania ataku czołgu na placówkę powstańczą dostał serię z automatu przez klatkę piersiową. Zginął na miejscu. Koledzy z drużyny przynieśli ciało zaszyte w koc – trumny na Mokotowie były nieosiągalne – złożyli w wykopanym grobie w parku Dreszera, na mogile umieścili blaszaną tabliczkę z pseudonimem i nazwiskiem, ktoś zaczął modlitwę i nagle rozszalał się ostrzał domów sąsiadujących z parkiem, wzdłuż ulicy Odyńca, nie więcej jak 40 – 50 m od grobu. Było nas na tym pogrzebie kilkanaście osób. Jak na komendę rzuciliśmy się na płask, między mogiły – cały park był wtedy wykorzystany jako cmentarz – łomot straszliwy, odłamki furkotały nad nami, leciały kawały blachy, papy, gruzu, jednak mogiły dawały pewną osłonę. Nikt z uczestników pogrzebu nie został ranny. Kiedy ostrzał ustał trzeba było rzucić się do ratowania żywych ze zbombardowanych domów.

Któregoś wieczoru poszłam na Wielicką do Bogny na “dożywianie”. Nagle rozjazgotała się gwałtowna strzelanina wzdłuż ulicy. Trudno było zorientować się co się dzieje, słychać było gdzieś dalej od strony dworca Południowego czołgi. Wszyscy - Bogna i jej rodzice, ja i bratowa Bogny z 8 - letnią córeczką - zdezorientowani staliśmy w przedpokoju, kiedy nagle wpadł do nas Niemiec w panterce, hełmie, z pistoletem gotowym do strzału - musiał przeskoczyć przez zamkniętą furtkę - ze stolika pod lustrem porwał klucz od furtki i ją otworzył. W domu momentalnie zaroilo się od uzbrojonych po zęby Niemców. Z wrzaskiem “raus!” wygonili nas na ulicę, jak kto stał, nie pozwalając nam zabrać cokolwiek ze sobą. Po Wielickiej ze wszystkich stron gwizdały kule. Pogonili nas w kierunku dworca Południowego, razem z nami szło, a raczej kuliło się pod ostrzałem kilkadziesiąt osób z okolicznych willi, przeważnie kobiety i ludzie starsi. Wielicka była wtedy ulicą luźno zabudowaną pojedynczymi willami. Było już ciemno.

“W pierwszą dziurę w płocie!”

zawołałam do Bogny idącej jako pierwszej z naszej grupy. Już po chwili znaleźliśmy się po drugiej stronie wysokiego parkanu, na pełnym dziur i wykrotów kartoflisku. Odeszliśmy jeszcze kawałek, byle dalej od ulicy, trafiliśmy na jakiś większy dół i przyczailiśmy się w nim. Po jakiejś godzinie strzelanina ucichła, ale nie mieliśmy pojęcia jaka jest sytuacja: czy Niemcy pozostali na Wielickiej, czy zostali wyparci? Czy to koniec powstania, czy jeszcze Mokotów walczy? Noc była chłodna, jak to w połowie września, mała Kryśka, bratanica Bogny przytulona do matki popiskiwała cichutko, że jej chłodno i głodno. Nie mogliśmy nic na to poradzić.

O świcie, ledwo się trochę rozjaśniło poszliśmy z Bogną na rekonesans. Było zupełnie cicho, żadnych strzałów. Ostrożnie podpełzaliśmy kartofliskiem do willi Bogny. Od strony ogródków słychać tylko pobekiwania kóz w garażu - żywicielka Bogny i jej rodziców przez całą okupację. Odważam się wyjść na ulicę. Środkiem maszeruje kilku chłopców w panterkach i hełmach z białymi - czerwonymi opaskami, ze stenami w rękach.

“Możecie wracać! Pogoniliśmy szkopów!”

Wołają wesoło.

Mokotów był bardzo trudny do obrony. Jego luźna zabudowa przeważnie małymi domami i willami z ogródkami nie dawała osłony walczącym, jak to miało miejsce np. wśród zwartych kamienic Śródmieścia. Jedynie Puławska miała częściowo zabudowę ciągłą z wysokimi domami.



## Zrzut

Przez całe powstanie czekaliśmy na pomoc z zachodu. Wiedzieliśmy o spadochroniarzach gen. Sosabowskiego, liczyliśmy na tę pomoc. Zadaniem powstania było opanowanie ważniejszych punktów Warszawy i wytrzymanie 3 dni, potem miała przyjść pomoc z powietrza. Wprawdzie nie udało się nam opanować wszystkich zaplanowanych obiektów, ale wytrzymaliśmy nie trzy dni ale półtora miesiąca, słabo uzbrojeni, zdobywając broń na Niemcach, słabi liczebnie w porównaniu z oblegającą nas regularną armią niemiecką, bardzo młodzi, czasem wręcz dzieci, niedoświadczeni, słabo wyszkoleni. Ludność cywilna bez szemrania znosiła nasilające się bombardowania i pogarszające się warunki bytowania (Niemcy dwukrotnie nawoływali ulotkami ludność cywilną do wyjścia z Mokotowa do Dworca Południowego o określonej porze, ale wyszło tylko niewiele osób).

A myśmy wciąż mieli nadzieję. Aż wreszcie 18 września - pamiętna data - w samo południe dnia upalnego niczym w środku lata - cały sierpień i wrzesień były upalne - usłyszeliśmy dziwny dźwięk, niby odległy grzmot, nieprzerwany, zbliżający się z każdą chwilą, aż zobaczyliśmy na niebie jakby ciemną chmurę i dopiero kiedy niemiecka artyleria przeciwlotnicza zaczęła tę chmurę intensywnie ostrzeliwać zrozumieliśmy, że to samoloty alianckie. Radość szalona! Pomogli! Spod samolotów zaczęły wykwitać czasie spadochronów. Początkowo myśleliśmy, że to spadochroniarze, ale po chwili zorientowaliśmy się że to zasobniki. Niestety! Warszawa była dosłownie jak poszatkowana - tereny niemieckie wcinały się w zajęte przez powstańców i było niepodobieństwem precyzyjne trafienie. Z rozpaczą i bezsilną wściekłością patrzyliśmy jak zasobniki są znoszone przez wiatr w kierunku Niemców. Ledwie niewielka ich część trafiła w polskie ręce. Zdarzało się, że w jakimś zasobniku była broń, ale amunicja do niej wylądowała u Niemców. W naszym rejonie trafił się zasobnik z papierosami. Gratka dla palaczy, ale pożytek niewielki.

Efekt zrzutu w porównaniu z kosztami był niewspółmierny. Realna wartość zrzutu - przynajmniej na naszym terenie była mała, a straty w samolotach dokonujących zrzutu były niebagatelne. Mimo, że lecieli na bardzo dużej wysokości, artyleria niemiecka dosięgła ich - ze zgrozą obserwowaliśmy kilka samolotów rozsypujących się w powietrzu, kilka, które dymiąc znikły nam z pola widzenia. To było nad samą Warszawą, a ile tysięcy kilometrów od bazy i tyleż z powrotem, ile stanowisk artylerii przeciwlotniczej musieli przebyć po drodze. Władze sowieckie nie zezwoliły samolotom alianckim dokonującym zrzutów nad Polską na lądowanie na sowieckich lotniskach, co nieporównanie skróciłoby drogę powrotną. Alianccy lotnicy musieli wracać do baz we Włoszech.

Na pomoc ze wschodu nie liczyliśmy. Słychać było czasem w nocy charakterystyczny warkot kukuruźników latających nisko nad domami, ale zrzutów od nich nikt u nas nie widział. Wprawdzie kilkuset berlingowców przepравиło się łodziami z Pragi na Czerniaków, ale było to wojsko zupełnie nieprzyzwyczajone do walki w mieście - saperkami usiłowali się okopać na asfalcie - mieli duże straty, ale nie odegrali większej roli, tyle że wycofując się za Wisłę zabrali ze sobą trochę rannych chłopców od Parasola i Zośki, którzy po wycofaniu się ze Starówki i Śródmieścia bronili przyczółka Czerniakowskiego. Między innymi zabrali Janka Rodowicza "Anodę", rannego najpierw na Starówce, a potem na Czerniakowie.

Mniej więcej w tym okresie zostajemy uznani przez aliantów za kombatantów. Niemcy nie mogą już bezkarnie rozstrzeliwać wziętych do niewoli powstańców jako

bandytów jak to robili dotychczas.

\*\*\*

Nasz szpitalik jak dotąd nie ucierpiał wiele z powodu ostrzału i bombardowań - uszkodzony dach, zarwany kawałek tarasu na piętrze. Mimo tłoku na parterze, nie odważamy się umieszczać rannych na piętrze. Dla nas, sanitariuszek, nie ma absolutnie miejsca na dole, więc kiedy zmordowana nocnym dyżurem kładę się wreszcie na wolnym łóżku na piętrze, zasłaniam tylko ramieniem twarz na zasadzie "byle nie po oczach" i zasypiam kamiennym snem, nie reagując na ostrzał. Moja jedyna "rana" to ucho skaleczone odłamkiem szyby.

My sanitariuszki mamy ręce pełne roboty bo do codziennej harówki w szpitaliku, gdzie musimy wszystko robić, począwszy od zabiegów pielęgniarских przy rannych, których wciąż przybywa, po pranie brudnych bandaży i sprzątanie. Poza tym przychodzi sporo lżej rannych na opatrunki z wiernym Zakapiorem na czele, który jak tylko może się wyrwać, wpada żeby mu "Aniołek" zmienił opatrunek. Wołają nas też po każdym ostrzale do sąsiednich domów, do rannych cywili.

Bardzo pogarsza się stan sanitarny. Nikt z nas nie ma bielizny na zmianę, brak wody, o praniu nie ma mowy. Co prawda, któregoś spokojniejszego dnia przyniosłam wiadro wody do Bogny, uprałam bieliznę, umyłam się, a nawet umyłam głowę w niemieckim proszku do szorowania - ślicznie mi się umyły włosy - i to wszystko w jednym wiadrze wody - w ogródku na słońcu podsuszyłam się, ale kiedy wyszłam od Bogny zaczął się właśnie ostrzał "krowami" - były to sprzężone działa strzelające raketowymi pociskami burzącymi lub zapalającymi, wydające przy strzelaniu przeraźliwe dźwięki przypominające ryk krowy lub przesuwanie gigantycznej szafy. Wpadłam na klatkę schodową najbliższego domu i rozpętało się piekło. Huk detonacji, rumor walących murów, krzyki ludzi, kurz tak gęsty, że nic nie widać i nie można oddychać. Kiedy ucichło wypadam na zewnątrz. Dom ma zniszczone górne piętro, ludzie zaczynają wychodzić. Na szczęście większość mieszkańców koczowała w piwnicach, ale jest kilka osób rannych, trzeba im pomóc wyjść, ciężiej rannych wynieść. Kiedy dotarłam do szpitalika byłam pokryta równą warstwą szarego pyłu, a w moich świeżo umytych włosach miałam pełno drobnego gruzu. Ledwo je zdołałam rozczesać.

Obawiamy się wybuchu epidemii. Warunki dla rozprzestrzeniania się tzw. chorób brudnych rąk: duru, czerwonki, są idealne - niedostateczne mycie, brudna bielizna, wszechobecne muchy, sanitariaty nieczynne. Wprawdzie w rogu ogródka została wykopana wspólnymi siłami latryna, zasłonięta krzewami jaśminu, z której korzystają poza nami dwie sąsiednie wille - panie w godzinach parzystych - panowie w nieparzystych, ale nie ma niczego do dezynfekcji - raj dla much.

Obrzydliwsze od much są wszy, nieodłączne towarzyszkę wszystkich wojen, brudu i niezmiętej bielizny. Nie ma żadnych środków do walki z nimi. DDT jeszcze do nas nie dotarło. Jedynym radykalnym środkiem byłoby spalenie zawieszonych bielizny i ubrań oraz kąpiel - i jedno i drugie niewykonalne. Kiedy złapałam na sobie pierwszą wesz byłam przerażona i pewna, że już mam tyfus. Na szczęście nikt w naszym otoczeniu na tyfus nie zachorował.

Miałyśmy pewien problem z biegunkami. Któryś z rannych chłopców przyszedł z biegunką, niewątpliwie bakteryjną, bo po nim miałyśmy szereg zachorowań wśród leżących rannych. Oczywiście nie było żadnych możliwości badań

bakteriologicznych, nie było też żadnych środków przeciwbiegunkowych. Nieoczekiwaną pomoc dostaliśmy od mieszkańca Służewca - wtedy była to wioska - starego rolnika. Przychodził do nas sobie tylko znanymi ścieżkami między liniami niemieckimi na zastrzyki i jako "zapłatę" przynosił nam worki jabłek. Rozdzielaliśmy te jabłka między "biegaczy", nie bawiąc się w ucieranie (nie miałyśmy terek) i ten naturalny lek pektynowy w dużym stopniu uspokajał rozbiegane jelita.

Teraz przypominając sobie tamten okres dziwię się, że nie było poważniejszych chorób. Ranni, którzy mogli chodzić korzystali z latryny, ale wielu musiało korzystać z basenów i kaczek, wspólnych, bo było ich za mało, a nie było czym ich dezynfekować ani nawet porządnie umyć. Zbierałyśmy starannie nawet najmniejsze ilości raz użytej wody, ale i tak było jej o wiele za mało. A jedyna butelka lizolu skończyła się bardzo szybko.

Nie było też przypadku tężca, choć prawie wszystkie rany miały kontakt z ziemią.

Pomimo żalosnej nędzy, w jakiej żyliśmy, ludność cywilna przeważnie w piwnicach, w brudzie i zaduchu, bez wody, gazu i elektryczności, wygłodniali, bombardowani przez coraz cięższą, coraz groźniejszą artylerię, ostrzeliwani z samolotów, przy coraz większej ilości zabitych i rannych również wśród ludności cywilnej, a mimo to, my z AK – sprawcy tych wszystkich nieszczęść nigdy nie doświadczyliśmy wrogości, czy choćby śladu pretensji. Przeważnie spotykaliśmy się z objawami sympatii, chęcią pomocy. Wyczuwało się jakby radość, że oto po czterech latach okrutnej okupacji jesteśmy wszyscy razem na kawałku wreszcie wolnej Polski.

\*\*\*

Zaciska się pierścień niemiecki wokół Mokotowa. Padł przyczółek Czerniakowski, Niemcy zajęli cały Czerniaków, Sadybę, Fort Czerniakowski. Nacierają od strony al. Niepodległości, od Dworkowej. Straty powstańców i ludności cywilnej w zabitych i rannych są coraz większe.

Aż przychodzi 24 września. Piękny, pogodny poranek. Jest spokój, "krowy" milczą, nie słychać samolotów. Chłopcy dyskutują problem jak lepiej mówić:

"Panno Jadziu poproszę o kaczkę!"

czy lepiej

"Siostró Jadziu poproszę o kaczkę!"

Wychodzi im, że "siostra" brzmi lepiej w tym kontekście. Na chwilę mrozi nas wyraźnie słyszalny niemiecki śpiew:

"Heili heilo"

Nigdy dotychczas w czasie powstania nie słyszeliśmy niemieckich śpiewów. Ale to tylko chwila. Chłopcy jedzą zupę z kaszy popluwając łuskami i żartując. Kiedy nagle rozlega się ryk "krów" skierowanych wyraźnie w naszą stronę i po paru sekundach straszliwy huk bliskich wybuchów. Wyczuwamy, że tym razem to my jesteśmy celem. Szybko!!! Wszyscy do piwnicy. Kto może sam schodzi czym prędzej, rannych leżących ściągamy na noszach, na materacach, byle szybciej. Ostrzał coraz bliżej! Został już tylko jeden ranny "Alek" pod samym oknem, a jedna z "krów" zaryczała jednoznacznie na nasz dom. Zdążyłam wyszarpnąć Alka razem z łóżkiem przez całą salę do przedpokoju, za ścianę, kiedy zaczęło się - huk, rumor, duszący dym. Schowałam głowę pod Alka koc, leciały na nas kawałki tynku, gruz, cegły, ale żyliśmy! Kiedy trochę się uspokoiło wyjrzeliliśmy spod koca. Miejsca pod oknem, na

którym poprzednio leżał Alek nie było, była tylko wielka, ziejąca dziura w domu. Wołam koleżanki. Przekładamy Alka na nosze, znosimy go do piwnicy, same przysiadamy obok. Ostrzał nadal bardzo intensywny przenosi się trochę dalej. Czuję, że zbliża się koniec powstania. Nawała ognia jest zbyt wielka, żeby nasi chłopcy ze Stenami mogli się jej oprzeć. Mówię dziewczynom:

“Likwidujemy legitymacje powstańcze!”

Drę po ciemku moją legitymację i wciskam ją pod jakąś paczkę, dziewczyny robią to samo – lepiej udawać szpital cywilny. Po pewnym czasie ostrzał ucichł. Wyjrzałam przed szpital. Przez ogródki szło kilka postaci w czarnych kombinezonach, z bronią gotową do strzału. Byłam pewna, że to nasi chłopcy - nie zauważyłam braku białych - czerwonych opasek. Podbiegłam do nich, chciałam zapytać co się dzieje, ale jeden z nich znanym mi już chwytem za kark i z wrzaskiem "Raus!" popchnął mnie na ziemię. Szybko zerwałam się. Sytuacja była jasna - żołnierze niemieccy - Łotysze albo Ukraińcy - wygarniali ludzi z piwnic, chciałam wrócić do szpitalika, ale znów mnie wypchnęli. W pewnym momencie znalazłam się w ogródku otoczona kilkoma “czarnymi” patrzącymi na mnie zupełnie jednoznacznie. Okropne uczucie – wiadomo było co się działo na Woli, jak Ukraińcy gwałcili kobiety. Za jednym z “czarnych” zobaczyłam Alka leżącego na noszach, na ziemi, obok stał nasz doktor. Spokojnie, ale zdecydowanie precyzyjnie się między “czarnymi”, chwyciłam nosze z Alkiem z jednej strony, doktor z drugiej i bez słowa poszliśmy. Boże! Jakiż ten niewielki Alek był ciężki! Niemcy pędzili nas w kierunku Służewca. Po drodze spotkaliśmy się z prawie całym szpitalikiem. Z sanitariuszek brak było tylko Zeni, która była wtedy w domu z rodzicami.

Szedł tłum ludzi. Najwyraźniej Niemcy zdobywają Mokotów. My sanitariuszki jesteśmy w białych fartuchach, więc wszyscy potrzebujący pomocy zwracają się do nas. Niestety nie mamy żadnych leków ani środków opatrunkowych. Wyszliśmy tak jak nas “czarni” wygarnęli, ale białe fartuchy przyciągają, nasza szpitalna grupa powiększa się. Ludzie nawzajem sobie pomagają, podtrzymują tych którym trudno iść, zmieniają nas przy noszach, poza Alkiem jest jeszcze kilka par noszy. To nie do wiary, jak ciężki jest nawet chudy, ale bezwładnie leżący człowiek na noszach. Marsz jest bardzo powolny, co chwila zatrzymujemy się. Idziemy przez jakieś ogrody, sady, wykorzystujemy to i napełniamy kieszenie własne i rannych jabłkami i śliwkami.

Ja uświadamiam sobie nagle, że pod fartuchem mam spódnicę ściągniętą niemieckim pasem wojskowym z napisem “Gott mit uns” – prezent od Zakapiora. Posiadanie takiego pasa było zupełnie wystarczającym powodem do rozstrzelania. Skryłam się więc w krzakach porzeczek, rozpięłam pas i wsunęłam go między gałęzie.

W pewnym momencie żołnierze niemieccy z wrzaskiem wyciągnęli z tłumu doktora Stępniewskiego, który cały czas szedł z rannymi i gdzieś go zabrali. Znacznie później, po powstaniu, dowiedziałam się, że rozpoznali go po płaszczu charakterystycznego rudawego koloru, jako kogoś ważnego, chodzącego stale po ulicy Idzikowskiego i okolicy, i którego obserwowali przez lornetki ze swoich stanowisk. Pogonili go razem z gromadą innych ludzi cywilnych przed czołgami w czasie ataku na dalszą część Mokotowa. Dostał serię z automatu przez nerki, był umierający kiedy po przejściu Niemców znalazł go wśród trupów jego pacjent i z pomocą przygodnych ludzi, na drzwiach, wynieśli go do szpitala w Konstancinie, gdzie lekarzom udało się go uratować.

Niemcy wpędzają nas na teren wyścigów konnych, do długich, pustych budynków – pewnie kiedyś były to stajnie. Wszyscy ranni, nasi ze szpitalika i ci, którzy dołączyli

do nas w czasie marszu, a jest ich razem koło setki - grupują się w jednej części baraku.

Największy luksus ma tych kilku na noszach, reszta pokotem na gołym betonie. Ale nikt nie myśli o wygodzie. Nie wiemy co Niemcy chcą z nami zrobić. To że nie rozstrzelali nas w momencie ataku może świadczyć, że chcą wysłać nas do obozu, albo na roboty do Niemiec. Niepokój gnębi wszystkich.

Barak zapełnia się na sztywno, a przez szerokie wrota wejściowe widać wciąż idący tłum. To już są tysiące. Kobiety, dzieci, starcy, cywile.

Ranni proszą o wodę. Jest kran, ale nie ma czym nabrać wody. Ktoś pożyczka nam kubek i nim obdzielamy spragnionych.

Nagle w baraku poruszenie, kobiety biegną do wrót, środkiem drogi między barakami kroczy Bogna z rodzicami i tuzinem kóz - karmicielek, wystraszonych, beczących, ale z wymionami pełnymi mleka. Kobiety rzucają się do dojenia kóz, ale brak naczyń, krzyk, gwałt, bałagan. Jedna kobieta niesie dla dziecka mleko w berecie. Groteska!

Ranni zmęczeni bardzo ciężkim dla nich marszem, odpoczywają na betonie. Wielu z nich wymaga opatrunku. Zwłaszcza ci którzy do nas dołączyli, ranni podczas ostatniego bombardowania i ataku mają rany przewiązane byle jakimi szmatkami, nie oczyszczone, nie zdezynfekowane założone byle zatamować krwawienie, teraz nasiąknięte krwią proszą się o porządny opatrunek. Ale my nie mamy nic.

Kiedy wieczorem przyszedł do baraku na inspekcję oberleutnant - dowódca obozu - ze świtą, zebrałam się na odwagę - nie wiem skąd mi się to wzięło, bo nigdy nie byłam przebojowa - i moją kulawą niemieczyną tłumaczyłam mu, że tu są ranni, których trzeba opatrzyć, że my jesteśmy sanitariuszki, ale nie mamy żadnych opatrunków, bandaży, ani gazy. Oberleutnant napisał na kartce parę słów i kazał mi iść do lazaretu. Niemiecki sanitariusz okazał się hojny. Ponieważ nie miałam nic w co mogłabym zabrać materiał opatrunkowy, nadstawiłam niczym wielki kosz mój fartuch (chirurgiczny, z tyłu zapinany), a on naładował mi wszelkiego sanitariackiego dobra. Triumfalnie wróciłam do baraku i zabrałyśmy się do roboty. Wiadomość, że są opatrunki rozeszła się błyskawicznie i z innych baraków zaczęli przychodzić ranni żeby ich opatrzyć.

W nocy wyjrzałam przed barak. Było jasno od łuny znad Mokotowa. Zrozumiałam, że to koniec, że to kwestia paru dni, a Niemcy zdławią powstanie. Taki wysiłek, tyle strat wśród najlepszych z pokolenia do którego należę! Ale przy tym duma, że wytrzymaliśmy prawie dwa miesiące, że uzbrojeni po zęby Niemcy nie mogli nam dać rady, i że na pewno zadaliśmy im spore straty.

Noc spędzona na betonie dłuży się. Jest chłodno i głodno - ostatni posiłek to "kasza pluj" na śniadanie w szpitaliku, potem już tylko trochę jabłek i śliwek zebranych po drodze. Wielu rannych gorączkuje, wszyscy są w marnej formie.

Rano w drzwiach baraku zjawia się oberleutnant ze świtą i ogłasza przez tłumacza, że wszyscy mają iść na piechotę do obozu w Pruszkowie. Jest to około 30 kilometrów - nasi ranni nie wytrzymają takiej drogi. Więc znów zbieram się na odwagę i podchodzę do oberleutnanta tłumacząc, że ranni nie dadzą rady iść tak daleko. Mam cichą nadzieję, że może w ogóle ich zwolni. Niemiec patrzy na mnie wyraźnie zdziwiony skąd taka dziewczyna ośmiela się zwracać do niemieckiego oficera, i pyta:

"Ile pani ma lat?"

miałam wprawdzie 22 lata, ale wydało mi się, że lepiej zabrzmiałoby 18, lecz zamiast

“achtzein” powiedziałam “achtzig” - osiemdziesiąt. Gromki wybuch śmiechu oberleutnanta i jego świty uświadomił mi mój błąd. Może to zadziałało, może miał córkę w moim wieku, dość, że oświadczył, że ranni dostaną autobus na przejazd.

Rannych jest jednak znacznie więcej niż pomieści autobus, więc tych którzy jako tako mogą chodzić namawiamy do wyjścia razem z resztą cywili, tym którzy są w lepszej formie tłumaczymy, że na pewno łatwiej będzie uciec w trakcie pieszej wędrówki niż z obozu w Pruszkowie, skąd, jak wiadomo, Niemcy wysyłają Warszawiaków do rzeszy na roboty. Wychodzi spora grupa. Kilkudziesięciu zostaje i kiedy podjeżdża autobus upychamy ich na siłę. Ale dwóch: Alek i drugi, którego imienia nie pamiętam - nazwijmy go Wojtek - obaj w wielkich opatrunkach gipsowych od pasa do czubków palców, nie mogą siedzieć, a nosze w żaden sposób nie mieszczą się w zatłoczonym autobusie. Autobus odjeżdża. Zostajemy, my cztery sanitariuszki i dwóch chłopców na noszach. Przychodzi oberleutnant. Tłumaczę mu, że ci dwaj nie zmieścili się do autobusu, że ten - wskazuję na Alka (oboje jesteście niebieskoocy blondyni) - to mój młodszy brat, a nie żaden “bandit”, że obaj są ciężko ranni, że wymagają szpitala, że w żadnym razie nie nadają się na roboty, żeby “her oberleutnant” pozwolił nam wynieść ich do najbliższego szpitala. Niemiec wysłuchał, kiwnął głową, dał mi przepustkę i powiedział żebym poszła poszukać podwoły, a on pozwoli chłopców wywieźć.

Jak na skrzydłach, machając warcie przepustką wybiegłam z wyścigów i stanęłam bezradnie. Co robić dalej? Mokotów się pali - słychać strzelaninę. W tamtą stronę nie mam po co iść. W przeciwnej stronie widać tylko pola - dziś tam stoją rzędy wieżowców - gdzieś daleko, wśród drzew migają dachy chat. Idę tam. Po drodze kombinuję jakich użyć argumentów żeby namówić kogoś na dobrowolne wejście w paszczę lwa, czyli do niemieckiego obozu. Na podwórzu jednej z chat widzę gospodarza, mówię mu o co chodzi. Nie potrzebuję używać żadnych argumentów, chłop bez słowa zaprzęga konia do furmanki i jedziemy. Jestem tak pełna wdzięczności i podziwu dla jego odwagi, że mam ochotę go ucałować. Zajeżdżamy przed nasz barak. Oberleutnant na mój widok roześmiał się - widocznie myślał, że ja skorzystam z jego przepustki i ulotnię się. Ładujemy chłopców, ale kiedy my cztery sanitariuszki zamierzamy wsiadać na furę, twardo oświadcza, że tylko jedna “schwester” pojedzie z rannymi, reszta zostaje. Cóż robić! Szlachetnie zgadzamy się, żeby pojechała Tina, ukochana “Wojtka”.

Zostajemy we trzy, w wielkim, pustym baraku, głodne - to już druga doba bez jedzenia - wystraszone, trzy młode dziewczyny w obozie pełnym mężczyzn. Wszystkie baraki opustoszały, jesteście jedynymi “jeńcami” w całym obozie.

Jeśli chodzi o mnie nie mam najmniejszych wątpliwości, że trzeba uciekać. Jestem pewna, że gdybym poszła do Pruszkowa zostałabym baz gadania wysłana na roboty. Mimo trudów powstaniowych i schudnięcia, twarz mam nadal okrągłą i rumianą, typowa “krew z mlekiem”, świetny materiał na roboty przymusowe. Moje towarzyszki zgadzają się: trzeba uciekać, najlepiej w nocy.

Zdażyłam się zorientować, że obóz na wyścigach jest strzeżony, ale chyba niezbyt pilnie. Poza tym idąc wzdłuż muru wyścigów w poszukiwaniu podwoły zauważyłam w nim kilka dziur. Jednak to nie takie proste znaleźć w nocy dziurę w murze i nie spotkać żadnego patrolu, które na pewno chodzą po terenie.

W pewnej chwili w drzwiach baraku staje paru Niemców. Mówią, że w kuchni potrzebne są do pomocy trzy młode kobiety. Żadna z nas nie rusza się, choć praca w kuchni oznacza jedzenie, a nam z głodu żołądki przyrosły już do kręgosłupów, ale z

kolei praca w obozie chyba zmniejsza szansę na ucieczkę. Szkopy są zdziwione, ale nie nalegają. Poszli. Jestem wściekła na siebie, że nie poprosiłam chłopca, który wywiózł chłopców, o cokolwiek do jedzenia, ale byłam pewna, że wyjdziemy wszyscy razem. A zresztą, z wrażenia zapomniałam wtedy o głodzie.

Nieco później do baraku wchodzi patrol. Typowe Szwejki: starszawi, grubawi, dobroduszni, w nieco rozmamłanych mundurach. Zaczynają, z nami pogaduszki. Mówią:

“My nie jesteśmy Niemcy, my Bawarczycy katolicy, jak i wy.”

Jeden z nich wskazując na moją bransoletkę – piękną, masywną bransoletę z brązu, którą Janusz mi przywiózł z Himalajów – mówi:

“Jakie piękne smoki!”

podchwytuję temat:

“A chce pan ją mieć?”

zainteresował się:

“Ja, ja!”

“To niech pan nas podprowadzi do dziury w murze, w nocy”

Zgodzili się chętnie.

Późnym popołudniem Niemcy wpędzają na teren obozu nowe partie cywilów. Zmordowanych, sporo rannych, wystraszonych. Od nich dowiadujemy się, że Mokotów broni się ostatkiem sił na małym skrawku ziemi, że chłopcy masowo wchodzi do kanałów usiłując przejść do Śródmieścia. Później dowiedziałam się, że Niemcy nasłuchiwali nad włazami do kanałów i wrzucali wiązki granatów gdy słyszeli idących. Zginęło w ten sposób mnóstwo powstańców. Tak też zginął Zakapior.

W nocy, kiedy w baraku ucichło, zmęczeni ludzie posnęli na betonie, wymknęliśmy się cichutko na spotkanie z naszymi “Szwejkami”, w umówionym miejscu. Czekali na nas. Teren Wyścigów oświetlony był tylko łuną znad Mokotowa. Bawarczycy kazali nam iść kilkanaście kroków za sobą, w razie czego udawać, że wyszliśmy “za potrzebą”. Doprowadzili nas do dziury w murze daleko od baraków i pokazali w jakim kierunku powinnyśmy iść żeby uniknąć patroli. Kiedy przyszło do płacenia zrobiło mi się żal bransolety - doszły mnie słuchy, że Janusz zginął, a to była jedyna pamiątka po nim - zaproponowałam więc zamiast bransolety dwa tysiące złotych, które dała mi matka. Zgodzili się ochno. Pożyczyliśmy sobie szybkiego końca wojny i pożegnaliśmy się.

Szłyśmy po omacku po kartofliskach, byle dalej od wyścigów i palącego się Mokotowa. Kiedy zaczęło ledwo szarzeć omal nie wpadłyśmy na grupę Niemców polujących na kuropatwy. Przywarłyśmy w bruzdach za krzakami kartofli. Pomyślałam sobie, że to by był szczyt wszystkiego – przeżyć oblężenie Warszawy, okupację, powstanie, uciec z obozu i zginąć od kuli szkopa polującego na kuropatwy. Ale szkopy byli tak zajęci polowaniem, że wcale nas nie zauważyli i poszli w kierunku obozu.

Kiedy zrobiło się już całkiem jasno stwierdziłam, że jesteśmy blisko wioski. w której znalazłam odważnego gospodarza z furmanką. Trafiłam bez trudu do jego domu. Chciałam dowiedzieć dokąd zawiózł chłopców i Tinę, żeby ich odnaleźć i ewentualnie zatrudnić się w tamtejszym szpitalu. Pocziwe chłopisko! Ucieszył się niesłychanie na nasz widok, jakby zobaczył własne córki. Rozejrzał się tylko czy nikt nas nie widział i wciągnął nas do domu. Zaczął wypytywać jak się nam udało uciec z obozu, kiedy w wiosce rozległy się niemieckie wrzaski i pojedyncze strzały. Gospodarz krzyknął:

“Łapanka! Szukają uciekinierów z obozu”

Błyskawicznie przystawił drabinę do kłapy w suficie wiodącej na strych.

“Prędko wchodźcie, zamknijcie dobrze kłapę, schowajcie się za kominy!”

Zrobiłyśmy jak kazał i znieruchomiałyśmy. Słychać zbliżające się krzyki, czyjś płacz na drodze, potem łomot do bramy, wrzask po niemiecku i łamaną polszczyzną, spokojne odpowiedzi naszego gospodarza:

“Niemand da her soldat” – nikogo nie ma panie wojskowy.

Stukot podkutych butów w domu, chodzą, szukają, boimy się odetchnąć. Kroki jakby się oddaliły, trwa to dłuższą chwilę, mnie się wydaje, że wieczność. Nagle znowu ciężkie kroki w grubych butach. Ktoś przystawia drabinę do kłapy w suficie, kłapa unosi się! No, to już po nas! Ale w otworze zamiast hełmu niemieckiego ukazuje się półmisek pełen wielkich pajd chleba grubo posmarowanych masłem, a za półmiskiem wjeżdża dzbanek z mlekiem, a za nimi ukazuje się głowa gospodarza.

“Jeszcze nie wychodźcie dziewczyny, siedźcie cicho, a pojedzcie co żona naszykowała. Potem zawiozę was do chłopców.”

Aleśmy podjadły! Do końca życia nie zapomnę smaku tego przepysznego świeżego chleba z chrupiącą skórką, zapachu masła domowej roboty, tych rarytasów nieoglądanych przez dwa miesiące powstania, nie mówiąc o ostatnich prawie trzech dobach zupełnego postu.

Gdy niebezpieczeństwo minęło gospodarz zawiózł nas bocznymi drogami do Konstancina, dokąd wywiózł chłopców.

Nie chciał wziąć od nas żadnej zapłaty, choć proponowałam mu moją bransoletę, a moje towarzysзки supły jakieś złotówki. Na nasze nalegania powiedział:

“Z Bogiem dziewczyny, nie dajcie się tylko złapać szkopom!”

Okazało się, że od chłopców też nic nie wziął, choć dawali mu pieniądze i srebrny zegarek. Honorowy chłop!

W Konstancinie był zorganizowany szpital, głównie dla rannych Warszawiaków. Spotykamy naszych chłopców i Tinę. Jedna z pielęgniarek zajęła się nami. Wytłumaczyła, że zanim zaczniemy myśleć o pracy w szpitalu musimy się umyć i wypocząć. Zaprowadziła nas do willi swoich rodziców i oddała nam do dyspozycji domek ogrodnika, obecnie nie zamieszkały. Dopiero teraz spojrzaliśmy na siebie i zobaczyłyśmy jak my wyglądamy po dwóch miesiącach powstania i prawie trzech dniach obozu, a potem ucieczki. Fartuchy, które dawno przestały być białymi zostawiłyśmy w obozie, nasze własne ubrania, nie zmieniane przez dwa miesiące, wygniecione, wysmotruchane, ze śladami spania na betonie i chowania się w kartoflisku, oczy podkrążone do pół policzków, twarze wychudzone, blade, nawet ja, zawsze z rumieńcami zrobiłam się szarawa.

Po kolei szorujemy się w wielkiej misce, a sądząc po kolorze wody spływającej z nas musiałyśmy nosić na sobie kilogramy brudu. Padłyśmy wreszcie na łóżka i zasnęły twardym snem zmordowane nieprzytomnie. Zbudziłyśmy się następnego dnia po południu. Spałyśmy 20 godzin.

Kiedy po wstaniu ubierałam się, wsunęłam rękę do kieszeni wiatrówki i wyciągnęłam z niej nieco pogniecioną kartkę. Była to legitymacja powstańcza. Po ciemku, w piwnicy, zamiast niej podałam kwit z farbiarni na moją niedoszłą garsonkę z niemieckiej bielizny. Najwyraźniej nie była mi pisana – dom, w którym była farbiarnia spalił się doszczętnie.

Postanowiłam przede wszystkim odszukać rodzinę. Poszłam więc do gminy w Zalesiu, mając trochę nadziei na znalezienie jakiegoś znajomego nazwiska. Nikogo



nie znalazłam, a co gorsze w drodze powrotnej zabłądziłam. Zaczęło zmierzchać, zbliżała się godzina policyjna, a ja zupełnie nie wiedziałam gdzie jestem. Nie znałam miejscowości, na ulicy nikogo, w domach ciemno, nie ma kogo zapytać o drogę. Nagle, z daleka usłyszałam zbliżające się kroki i gwizdek, którym nawoływali się moi bracia z kolegami w czasach, gdy studiowali na Politechnice Gdańskiej, refren popularnej piosenki. Odgwizdałam i zaczęłam głośno wołać przedstawiając się po nazwisku. Okazało się, że był to kolega moich braci, którego nie znałam, a który biegł z wózkiem z dzieckiem i wygwizdywał swoją żonę nie mogącą za nim nadążyć.

Od niego dowiedziałam się, że Janusz żyje i mieszka niezameldowany w Zalesiu. Dokładnego adresu nie znał. Wskazał mi tylko drogę do naszej kwatery.

Następnego dnia wyruszyłam na poszukiwanie brata. Nie musiałam długo szukać - po drodze spotkałam paru chłopców z naszego oddziału i oni zaprowadzili mnie na miejsce. Od nich też dowiedziałam się jak wyglądały ich losy po wyjściu z Czerniakowa: Janusz przeprowadził całą ich grupę omijając placówki niemieckie, bez jednego strażu do Lasów Kabackich. Tam spotkali grupę partyzantów, do której się przyłączyli. Razem postanowili zlikwidować bardzo silny przeciwlotniczy, reflektor niemiecki zainstalowany przy drodze w lesie tak, że uniemożliwiał partyzantom przechodzenie z jednej części lasu do drugiej. W czasie ataku na reflektor Janusz dostał fatalny postrzał - kula weszła u nasady nosa, przeszła przez czaszkę ukosem, za gałką oczną, nie naruszając mózgu, ale uszkadzając nerw wzrokowy, wyszła w okolicy skroni. Druga kula przeszła przez łopatkę i staw barkowy.

Reflektor został zniszczony, Niemcy się wycofali, ale Janusz wydawał się chłopcom umierający. Wynieśli go z pola walki, złożyli na chłopskiej furze i nie bardzo wiedzieli co dalej robić. Janusz miał przebłyśki świadomości, zdawał sobie sprawę ze swego stanu. Dał chłopcom swoją obrączkę i kazał przekazać żonie. Kazał też wieść się do Piaseczna – po czym stracił przytomność.

W Piasecznie miały swój dom siostry “skrytki”. Miały one wielki dług wdzięczności wobec naszego ojca, gdyż załatwił im fundację, dzięki której mogły prowadzić zakład wychowawczy dla biednych dziewcząt. Chłopcy o tym nie wiedzieli i kiedy przyjechali do Piaseczna skierowali się do kościoła. Ksiądz jednak kazał im się natychmiast wynosić, krzyczał, że Niemcy spalą kościół i plebanię, a jego rozstrzelają. Chłopcy stali bezradni przed kościołem, otoczeni niewielką grupą ludzi. Podeszła też jedna ze “skrytek” w charakterystycznym szarym czepku, pochyliła się nad Januszem, a on w tym momencie oprzytomniał i powiedział:

“Klarner jestem”

po czym znów stracił przytomność. Siostra natychmiast kazała przewieźć Janusza do ich zakładu. Wszystkie siostry zajęły się nim z nadzwyczajnym poświęceniem i odwagą, bo istotnie Niemcy brutalnie rozprawiali się z ludźmi pomagającymi partyzantom - rozstrzeliwali ich, a ich domy palili - partyzanci nie zostali uznani za kombatantów przez aliantów.

Siostry sprowadziły zaufanego lekarza, który opatrzył i poskładał Janusza w miarę swoich możliwości. Umieściły Janusza pod ołtarzem w kaplicy, a ponieważ Janusz był nieprzytomny i głośno jęczał, siostry wystawiły “czujki” - stale któraś była na czatach i pilnowała czy nie jadą Niemcy - istotnie dwa razy wpadli do zakładu szukając “banditen” - a dwie kolejne siostry siedziały w kaplicy i głośno śpiewały pieśni religijne przygrywając sobie na fisharmonii, żeby zagłuszyć jęki rannego.

Kiedy po trzech tygodniach chłopcy z oddziału przyszli do zakładu sióstr zapytać, gdzie Janusz został pochowany, gdyż chcieli złożyć kwiaty na jego grobie, siostry

powiedziały śmiejąc się:

“Jaki grób? Poszedł po śliwki na rynek!”

Po tej opowieści patrzyłam na Janusza jak na zmartwychwstałego. Tylko nadzwyczaj silny i zdrowy organizm, wsparty wolą życia i wyzdrowienia mógł uporać się z takimi ranami i w takich warunkach. Na twarzy miał Janusz dwie małe blizny wielkości dwugroszówki, u nasady nosa i na skroni, lewe oko miał bardziej zapadnięte niż prawe, widział na nie tylko niewiele. Miał znacznie ograniczoną ruchomość w stawie barkowym. Ale żył i nie był inwalidą.

Od Janusza dowiaduję się o definitywnym upadku powstania. Bór - Komorowski podpisał kapitulację, chłopcy składają broń i tysiącami idą do niewoli. To koniec. Jaki los czeka nas wszystkich? Wiadomo, że Niemcy przegrali wojnę - to kwestia pewnie kilku miesięcy, ale “sojusznik” ze wschodu szybko posuwa się na zachód, zajął już prawie pół Polski i idzie dalej. Czego możemy się po nim spodziewać? Chyba niczego dobrego. Dochodzą do nas wieści jak sowieci potraktowali A.K. na Wileńszczyźnie, a Ukraińcy na Podolu i Wołyniu. Niewesołe perspektywy.

\*\*\*

Od Janusza dowiedziałam się o reszcie rodziny. Nasi rodzice z Marią są w Podkowie Leśnej u rodziców koleżanki Marii, którzy mają tam dom.

Przed powstaniem przenieśliśmy rodziców z Francuskiej na Madalińskiego do domu Zbigniewa. Kida, jego żona, była w tym czasie z roczną Ewą w Józefowie, na wakacjach. Maria została z rodzicami jako opieka dla chorej matki. Od chwili wybuchu powstania ulica Madalińskiego była “niemands-landem” – ani polska ani niemiecka.

Po kilku dniach powstania, któregoś dnia przed wieczorem, wzdłuż ulicy rozpoczęła się gwałtowna strzelanina. Do domu nagle wpadli nagle Niemcy z wrzaskiem i płonącymi pochodniami:

“Raus! Raus!”

Wyginali wszystkich na ulicę i zaczęli podpalać dom. Wrażenie było tak straszne, że nasza matka, choć sparaliżowana po wylewie, zdołała z pomocą ojca wstać, ubrać się w szlafrok i wyjść. Maria w tym czasie zgarnęła pościel matki w duży toboł, skoczyła do piwnicy, chwyciła starą jesionkę ojca i moją, z dna doniczki z kwiatkiem wyciągnęła paczuszkę ze skromną resztką biżuterii rodzinnej – ostatni rodzinny majątek – wrzuciła ją sobie za dekolt i wybiegła za rodzicami. Wzdłuż Madalińskiego szedł intensywny ostrzał z broni maszynowej, zapewne świetlistą amunicją, bo wyglądało to jak fajerwerki.

Niemcy pędzili wypędzoną z domów ludność pod murami, pod płotami, dalej ulicą Madalińskiego w kierunku al. Niepodległości. W pewnym momencie zatrzymali wszystkich i oddzielili mężczyzn. Kazali im wejść na podwórze jednego z domów. Maria, przekonana, że będą rozstrzeliwać, rzuciła się do ojca, z krzykiem zaczęła błagać jednego z Niemców, że stary, że chory, że nie może stać – ojciec kulał – krzyczała tak strasznie, że aż ją inni Polacy uspokajali, a Niemiec machnął ręką i pozwolił jej ojca wyprowadzić na bok. Tej grupy Niemcy nie rozstrzelali, ale na sąsiednim podwórku zabili kilkudziesięciu mężczyzn.

Rodzice przysiedli na murku, gdzieś z boku, nie wiedząc co dalej począć. Ludzie rozpoznawali ojca – był człowiekiem bardzo popularnym w Warszawie – przynieśli

jakieś krzesło, usiłowali pomóc. W dalszej części Madalińskiego, gdzie Niemcy nie palili domów i nie wyrzucali ludności, miał willę p. Kindler, dyrektor zakładów przemysłowych w Ostrowcu, znajomy ojca. Rodzice z Marią znaleźli u niego schronienie. Matka dostała w salonie łóżko, ojciec materac na podłodze, a Maria spała na trzech zestawionych krzesłach.

Po tygodniu Niemcy wywieźli p. Kindlera z rodziną z Warszawy, chodziło im zapewne o uruchomienie zakładów, gdyż polecili mu wyszukiwać dawnych pracowników w obozie w Pruszkowie.

Po kolejnym tygodniu znów zjawili się Niemcy. Jeden z nich zwrócił się do ojca po nazwisku i zaproponował, że może ojca wywieźć z Warszawy:

“Nie mogę” – odpowiedział ojciec - “Jestem z rodziną”

“Mogę pana wywieźć z rodziną”

“Nie mogę, córka chora” – powiedział ojciec.

Maria od paru dni miała okropną biegunkę, taką, że chwilami traciła przytomność, a do ubikacji szła trzymając się ścian, ale wobec możliwość wyjazdu z Warszawy podzielonej między powstańców i Niemców, jak łania zeskoczyła ze swoich trzech krzesel i oświadczyła, że nic jej nie jest, że może natychmiast jechać. Zgarnęła w tobolek te trochę rzeczy, które mieli, wpadła do ubikacji w wiadomym celu, po czym z największym trudem wydzwigała tobolek na ciężarówkę i sama ledwie się na nią wdrapała.

Po przyjeździe do Pruszkowa, znów do domu pp. Kindlerów, zeskoczyła z ciężarówki i z nikim się nie witając pytała gdzie jest WC. W Pruszkowie znalazł ich Janusz. To on pojechał do Podkowy Leśnej, gdzie mieli willę rodzice koleżanki Marii i prosił o przyjęcie naszych rodziców.

Tam też doczekali się “wyzwolenia”.

Okazało się, że Niemiec, który ich wywiózł z Warszawy był volksdeutchem pracującym u Lilpopa, był przy aresztowaniu Jerzego, znał ojca ze słyszenia. Kiedy p. Kindler powiedział mu, że trzeba wywieźć ojca postanowił zapracować na dobrą opinię u Polaków – wobec jednoznacznie bliskiego końca wojny miało to szczególne znaczenie. I miał rację. Już po wojnie, w 1945 czy 1946 roku ojciec dostał wezwanie do sądu, jako świadek obrony w sprawie ... Oskarżonemu, którego ojciec wcale nie rozpoznał, zarzucano współpracę z Niemcami w czasie okupacji. Jednym z atutów linii obrony było, że uratował życie ojcu wraz z rodziną, wywoząc ich w czasie powstania z Warszawy.

Ojciec zadał oskarżonemu kilka szczegółowych pytań i stwierdził, że istotnie – to jest człowiek, który go uratował.

\* \* \*

Janusz relacjonuje mi też przygody Zbigniewa, którego powstanie zaskoczyło na placu Unii Lubelskiej. Schronił się w budującym się domu i przeleżał w nim przez trzy dni - bez jedzenia i picia, bojąc się ruszyć, bo dookoła byli Niemcy. Dopiero gdy Niemcy ogłosili przez megafony żeby ludność cywilna wychodziła z Warszawy wyszedł w sporej grupie i też dotarł do Podkowy. Jego żona z malutką Ewą została odcięta przez front po drugiej stronie Wisły.

Żona Janusza była w Pruszkowie i pracowała jako sanitariuszka w obozie przejściowym.

Postanowiliśmy z Januszem dotrzeć do rodziców, którzy nie mając żadnych o

mnie wiadomości na pewno bardzo się niepokoją. Nie taka to prosta sprawa przedostać się z Zalesia do Podkowy mając jedynie fałszywe kenkarty (zdołaliśmy; takie załatwić), ale żadnego ausweis'u, przez teren pełen Niemców wyłapujących Warszawiaków. Pociągi odpadają. Zostają jedynie własne nogi. Janusz pożycza rower, niestety damski, bez ramy, na której można by usiąść. Na tym rowerze, częściowo ja stojąc na ośce tylnego koła, albo siedząc na kierownicy, a Janusz na siodełku i pedałując, częściowo ja na siodełku, a on biegiem za mną, polnymi drózkami, ścieżkami w lesie (Janusz ma wojskową mapę "setkę"), byle omijać miejsca, gdzie mogliby być Niemcy dążymy do Podkowy Leśnej. W pewnej chwili leśna dróżka wyprowadza nas na polanę. Na polanie dworek, zaniedbany, stary, z resztką ogrodu wokół. Na ganku kobieta, jeszcze młoda, z koroną pszenicznych włosów na głowie, ręką przysłania oczy wypatrując nas zbliżających się. Zbiega z ganku – jak z Grotgera:

"Proszę Państwa! Co w Warszawie?"

"Nie wiemy – nie idziemy z Warszawy."

Nie mamy czasu na pogaduszki. Prosimy o wodę, pijemy i ruszamy w dalszą drogę. Przed gankiem zostaje kobieta w koronie jasnych włosów, z bezradnie opuszczonymi rękami. Przebyliśmy 80 kilometrów w ciągu jednego dnia. Zdążyliśmy tuż przed godziną policyjną.

Można sobie wyobrazić naszą radość - w tych smutnych, wręcz tragicznych okolicznościach – choć część rodziny razem.

Układamy się do snu w niewielkim pokoju w piątkę: matka w łóżku, ojciec na otomanie, a my z Marią i Januszem we trójkę na podłodze, na oparciu od otomany i jednym sienniku. Luksusowe spanie!

Dom pp. Zabłockich w Podkowie Leśnej jest pełen uchodźców z Warszawy, poczynając od ich własnej córki Krystyny, której mąż walczący w powstaniu zginął na początku sierpnia, a Krystyna z dwumiesięcznym synkiem i teściową dotarła do rodziców.

W każdym pokoju gnieździ się po kilka osób. Ludzie są przeważnie bez rzeczy, wypędzeni przez Niemców jak kto stał. Jedna z pań, kiedy Niemcy ją wygonili, z na wpół zwalonego domu chwyciła po drodze puste wiadro i z tym wiadrem przewędrowała z Warszawy do Pruszkowa. Stamtąd ją zwolnili ze względu na wiek. Puste wiadro jako jedyny majątek Warszawiaka - ponury symbol.

Z Warszawy dochodzą hiobowe wieści, że Niemcy po wypędzeniu całej ludności systematycznie palą miasto, że dom za domem, kwartałami podpalają miotaczami ognia, jakby chcieli je znieść z powierzchni ziemi.

Janusz załatwił sobie jakieś lipne papiery i wyruszył do Krakowa, do znanego profesora okulisty, aby poddać się operacji mającej uratować mu wzrok w lewym oku. Profesor wiedział, że Janusz jest powstańcem z Warszawy, że był ranny w walce z Niemcami, a zażądał za operację sumy zupełnie nieosiągalnej dla naszej rodziny w tamtym okresie. Lewe oko było stracone - przestał na nie widzieć. Bez komentarza.

Janusz nie wraca już do Podkowy, za to zjawił się Zbigniew. Rodzina jest w bardzo kiepskiej sytuacji finansowej. Trzeba jakoś zarabiać. Zbigniew wynajmuje pokój na strychu i usiłuje produkować wyroby "Klar". Mnie zatrudnia jako akwizytora. Biegam więc po Podkowie, Komorowie i okolicy, usiłuję sprzedać herbatę lub przyprawę, na ogół jednak z mizernym rezultatem. Maria do spółki z dwiema paniami otwiera na stacji E.K.D. w Podkowie Leśnej barek, gdzie można napić się gorącej kawy zbożowej (prawdziwej dawno nie ma) lub mleka, zjeść

ciastko lub coś solidniejszego jak bigos i itp. Kolejka E.K.D. chodzi na skróconej trasie, tylko do Opacza, ruch panuje na niej duży więc i barek prosperuje.

\*\*\*

W tym okresie pojawia się nieznany dawniej termin "szaber". W miejscowościach podwarszawskich jak Grodzisk czy Pruszków, powstają targowiska, na których kwitnie handel rzeczami pochodzącymi z "szabru", czyli wyniesionymi przez szabrowników z rozbitych domów warszawskich, krótko mówiąc kradzionymi. Ponieważ rzeczy wyszabrowane były stosunkowo tanie, więc Warszawiacy, w większości pozbawieni wszelkich własnych dóbr, chętnie je kupowali – w miarę swoich zasobów pieniężnych.

Można było na tych targowiskach kupić wszystko - ubrania, srebra, bieliznę, maszyny, co tylko udało się szabrownikom wynieść z Warszawy, mimo pilnujących Niemców. Od czasu do czasu na takim targowisku wybuchała awantura, bo ktoś rozpoznał swoją srebrną cukiernicę lub futro, ale jak dowieść swoich praw? Nikt nie chciał wołać granatowej policji, a tym bardziej niemieckich żandarmów. Zresztą to by i tak nic nie dało. Najprościej było zapłacić – jeśli ktoś miał pieniądze - i kupić od szabrownika swoją własność.

Nie pamiętam jak odnalazłam się z Bogną Klarnerową, ale pamiętam naszą wspólną wyprawę, jesienią 1944 r. do jej domu na Wielickiej. Bogna chciała wydostać zakopane w ogródku walory jej rodziców, a przy okazji zabrać trochę rzeczy z domu, gdyby jeszcze nie był rozszabrowany. Wielicka to było wtedy obrzeże Warszawy, ale Warszawa była otoczona ciasnym kręgiem posterunków niemieckich. Nie miałyśmy żadnej przepustki, ani nawet ausweis'ów. Bognę chroniły jej siwe włosy - wyglądała na znacznie starszą niż była, a ja wypchałam sobie brzuch jaśkiem udającym zaawansowaną ciążę. Przeszliśmy przez jeden posterunek. Bogna mówiła biegle po niemiecku, tłumaczyła szkopom, że musimy iść po wyprawkę dla dziecka, które niedługo się urodzi.

"O tam, do tamtego domu!"

pokazywała kierunek. Przepuścili nas, ale tuż przed drugim posterunkiem jasek zaczął mi się wysuwać spod paska. Byłam przerażona. Bogna jednak ze spokojem powiedziała:

"Będziemy im tłumaczyć, że to ciąża pozamaciczna."

To mnie tak rozśmieszyło, że roześmiana stanęłam przed Niemcami, przytrzymując "ciążę" ręką. Przepuścili. Dom był rozszabrowany, ale ogródek nie ruszony. Wyprawa się udała.

### **"Wyzwolenie"**

Kończy się rok 1944, zaczyna się 1945.

Jesteśmy pewni bliskiego końca wojny. Słysząc zbliżający się front. Niemców prawie nie widać. 17 stycznia rano przez Podkowę Leśną przemknął niemiecki motocykl z przyczepą z zamontowanym karabinem maszynowym, za nim, na pełnym gazie, czołg, a potem nastała cisza. Dziwna cisza, bo nawet jakby front umilkł.

Wieczorem poczta pantoflowa przyniosła wiadomość, że sowietci zdobyli

Warszawę, że przejechali przez Podkowie Leśną Wschodnią i dalej pojechali na zachód.

Zaraz następnego dnia Maria zamknęła na kłódkę barek na stacji, i pieszo - kolejka przestała chodzić - ruszyliśmy do Warszawy. Mróz dochodził do 20 stopni, szliśmy dziarsko, żeby się rozgrzać, po torach kolejki. Miałyśmy jeden plecak, który niosłyśmy na zmianę. W plecaku były najniezbędniejsze rzeczy osobiste i "wałówka", na którą, jak świetnie pamiętam, składał się bochenek chleba i słoik pasty z marchwi z dodatkiem pomidorów duszonych w oleju. I dobrze, że miałyśmy tę "wałówkę" bo po drodze wszystkie sklepy w mijanych miejscowościach były pozamykane na głucho.

Gdzieś w okolicy Włoch zaczęłyśmy spotykać ludzi już wracających z Warszawy i opowiadających, że miasto wygląda strasznie, że sowieci nie przepuszczają ludzi na prawą - czyli praską - stronę Wisły, że niemieckie pieniądze, tzw. "młynarki" są nieważne bo zostały wprowadzone nowe pieniądze. Na tę ostatnią wiadomość zaczęłam gwałtownie szukać jakiegokolwiek otwartego sklepu. W bocznej uliczce Włoch znalazłam pasmanterię o ledwo uchylonych drzwiach. Za wszystkie posiadane pieniądze kupiłam nici, igły, guziki, taśmy itp. Służyły całej rodzinie przez kilka lat. Istotnie, potem nie udało nam się wydać ani złotówki z posiadanych "młynarek".

Zbliżał się wieczór. Postanowiłyśmy zanocewać u Bogny. Jej ojciec przed wojną sędzią Sądu Najwyższego, zapalony wędkarz, znalazł wraz z rodziną schronienie w domku klubu wędkarskiego pod Włochami. Odnalazłyśmy klub i domek ale nie byłyśmy jedynymi chętnymi do nocowania tam. Okazało się, że stacjonuje u nich jednostka zmotoryzowana armii czerwonej. Cały teren klubu i najbliższa okolica była zastawiona transporterami, ciężarówkami i wszelkiego rodzaju pojazdami, pełno żołnierzy, a w domku dowództwo.

Domek, bardzo prymitywny, składał się z dużej izby łączącej się bez drzwi z małą izdebką. W większej, z dużym stołem, ulokował się dowódca, major z żołnierzami, w małej o dwóch łóżkach Bogna z rodzicami i teraz my z Marią na dokładkę.

W pierwszej chwili byłyśmy z Marią nieco wystraszone tą ilością sowieckiego wojska w najbliższym sąsiedztwie, ale potem zdumione ich kulturalnym zachowaniem. Sądzę, że była to elita armii i że musieli mieć specjalne instrukcje jak się zachowywać w sojusznicznym kraju, gdyż późniejsze doświadczenia nie potwierdzały w najmniejszym stopniu pierwszego znakomitego wrażenia.

Wieczorem wszyscy razem usiedliśmy wraz z majorem i żołnierzami przy stole do kolacji. Major częstował nas wojskową tuszonką, Bogna podała "czaj". Rodzice Bogny, jak wiele osób ze starszego pokolenia mówili po rosyjsku. Wywiązała się więc rozmowa. Major, Rosjanin, człowiek wykształcony, w cywilu inżynier, opowiadał o życiu w ZSSR, właściwie był to wykład propagandowy. Na nasze pytanie czy nie korciło go żeby wyjechać zagranicę zobaczyć kawałek innego świata?

"Po co?" - odpowiedział -

"Przecież to wszystko jest opisane w książkach!"

W nocy żołnierze ułożyli się do spania ciasno, pokotem na podłodze, z ręką pod głową, zamiast poduszki, przykryci mundurowymi kufajkami. Zachowywali się bardzo cicho, nawet wywoływanie na zmianę warty odbywało się szeptem. Rano przy 20-stopniowym mrozie, rozebrani do pasa myli się pod studnią, śmiejąc się i parszkając. Zwróciłam uwagę na ich porządny ekwipunek: grube sukienne mundury, ciepłe waciaki, grube buty i czapki.

Wyruszyłyśmy z Marią w dalszą drogę do Warszawy, a konkretnie do naszego domu przy ul. Francuskiej, na Saskiej Kępie. Idąc mijałyśmy zupełnie inną, niż

napotkana u Bogny, armię radziecką. Szli pieszo na zachód, setkami, tysiącami, przerażającą, nieprzeliczoną chmarą. Wielu skośnookich, czarniawych, wszyscy zmordowani o szarych twarzach, widać niedożywieni, oberwani, w byle jakich szynelach, na plecach worki zamiast plecaków, karabiny często na sznurkach, tylko czapki - uszatki na wszystkich głowach.

Weszliśmy do Warszawy od strony Ochoty. Istotnie miasto wyglądało strasznie, większość małych, przedmiejskich domów spalona, zostały tylko kikuty osmalonych kominów, te niespalone – na wpół zwalone bombami, ale najstraszniejsze wrażenie robiły trupy ludzi spalonych żywcem bombami zapalającymi: leżały czarne, wtopione w asfalt, pokurczone w gestach przedśmiertnej męki. Potworne. Nawet śnieg, którego tamtej zimy nie było wiele, nie przykrył ich.

W miarę jak wchodziliśmy w głąb miasta pierwsze, straszne wrażenie jeszcze potęgowało się. Warszawa nie istniała. Nie zostało nic z tego miasta, naszej stolicy, z której byliśmy dumni, którą tak lubiliśmy. Domy wypalone, albo tylko kupy gruzów, bardzo rzadko jakiś dom częściowo zachowany. Wydawało się niemożliwe, żeby mieszkańcy mogli przeżyć, żeby to miejsce mogło kiedyś jeszcze być żywym miastem.

Jednak szliśmy wydeptaną ścieżką, razem z nami szli inni ludzie, szukający swoich domów, lub ich ruin. A było tych Warszawiaków niemało. Wśród ruin ulicy Grójeckiej stał na szynach nadpalony wagon tramwajowy z powybijanymi szybami, z nabazgranym kredą wielkim napisem:

“Gorąca herbata”

W środku kobieta opatulona w waciaki i chusty sprzedawała na kubki gorącą herbatę z dymiącego wiadra. Niestety za nowe pieniądze, których nie miałyśmy.

Był to pierwszy namacalny dowód, że skoro są Warszawiacy to musi być Warszawa. Potwierdziła się wiadomość, że “ruscy” nie przepuszczają ludzi na praski brzeg Wisły, że wszystkie mosty są zburzone, że jedyna szansa przedostania się na Saską Kępę to przejście po lodzie, daleko od posterunków.

Wędrujemy dalej, Śródmieście wygląda okropnie. W al. Jerozolimskich ledwie kilka domów zachowanych, Marszałkowska w większości zburzona lub wypalona. U wylotu Litewskiej przy Oleandrów natrafiamy na przerażający widok – dom, w którym była znana apteka Anca, rozpruty od dachu po piwnicę, a w piwnicy zwał trupów sięgający do piętra. Byli to ludzie z okolicznych domów rozstrzelani przez Niemców w czasie powstania. Było ich pewno powyżej setki, zwaleni jedni na drugich, teraz zamarnięci na kamień.

Szliśmy przez Powiśle, zupełnie wypalone, ale też ze śladami ścieżek wydeptanych w śniegu. Czyżby tu bywali mieszkańcy, a może szabrownicy? Nie czułyśmy się zbyt pewnie. Dwie młode kobiety same wśród wypalonych ruin, w dodatku nie znałyśmy dzielnicy, na wycucie kierowałyśmy się ku Siekierkom i Wiśle. Kiedy doszłyśmy do brzegu zobaczyłyśmy Wisłę całkowicie zamarniętą, pokrytą spiętrzonymi kawałami lodu, tworzącymi na powierzchni góry wysokie na człowieka. Bardzo nam się te góry przydały, bo rzeczywiście jak tylko weszliśmy na lód, od strony zburzonego mostu Poniatowskiego zaczęto do nas strzelać. Na szczęście niezbyt celnie. Przebyłyśmy Wisłę kryjąc się za lodowymi górami, skacząc od jednej do drugiej, a kule gwizdały nam koło głów.

Przeszliśmy Wał Miedzeszyński i małymi uliczkami kierowałyśmy się do ulicy Francuskiej. W porównaniu z wypaloną i zburzoną Ochotą i Śródmieściem, Saska Kępa wyglądała luksusowo. Wille i domy stały, trochę postrzelane, ale robiły

wrażenie nadających się do mieszkania. Na Francuskiej spotkałyśmy znajomych starszych państwa, którzy rzucili się nam na szyję, ale zanim zapytali jak przeżyliśmy, co z rodzicami, szeptem do uszu powtarzali:

“Nie mówcie nikomu, że byliście w AK, nie mówcie, że byliście w powstaniu, mówcie, że Niemcy was wywieźli z Saskiej Kępy!”

Mówili, że bezpieka i NKWD aresztują AK-owców i powstańców, trzymają w więzieniach i obozach, a potem transportami wysyłają na Wschód, pewnie na Syberię. Dopiero kiedy uświadomili nam co znaczy i czym grozi “wyzwolenie” od Niemców przez armię sowiecką, zaczęła się rozmowa o rodzinie i znajomych.

Doszliśmy do naszego domu, postrzelany, z dziurawym dachem, bez jednej szyby, ale stał. Taki był nasz powrót do domu, do domu kiedyś eleganckiego, wygodnego, w którym teraz można było zamieszkać jedynie w suterenie, w dawnym mieszkaniu dozorczy, po uprzednim zatkaniu okien jakimiś ułamkami szyb i kawałkami dykty, paląc nieustannie pod kuchnią patykami zbieranymi gdzie się dało i resztkami miału koksowego z zapasów w piwnicy.

Podobnie jak my, wróciły do Warszawy tysiące jej mieszkańców.

Ponieważ dom na Francuskiej nie bardzo nadaje się do zamieszkania, a Janusz z żoną postanawiają urządzić się w Sopocie – Janusz planuje otwarcie warsztatu samochodowego, a Kama kancelarii adwokackiej – proponują ojcu, Marii i mnie żebyśmy zamieszkali w ich mieszkaniu na Lipskiej 21. Tam też sprowadzamy naszą matkę. Jest już w bardzo złym stanie. Przestała się podnosić, jest tylko chwilami przytomna. Zbliża się koniec. Zmarła 9 kwietnia 1945r. W “oswobodzonej” Warszawie, pełnej sowieckiego wojska. Zgrzebną trumnę sosnową – innych nie było – wieźliśmy furmanką w jednego konia, przez most pontonowy z Saskiej Kępy na Powązki, do grobu rodzinnego. Chyba nawet kwiatów, które tak lubiła nie było. Jeszcze trwała wojna.

Dom na Francuskiej zostaje wyremontowany, ale zajmuje go wojsko. Początkowo na zasadzie wynajmu, później ojciec zostaje wywłaszczony i przesiedlony wraz z rodziną do kwaterunkowego pokoju z kuchnią.

## Po wojnie

Nie sprawdziły się moje młodzieńcze wyobrażenia o końcu wojny, że od razu będzie świetnie, że będziemy jeść befsztyki i zagryzać tortami. Dobrze jak był żur z kartoflami. Po wojnie nastąpiły bardzo ciężkie czasy pod każdym względem. Brakowało pieniędzy, brakowało wszystkiego, zaczęły się prześladowania akowców, aresztowania, zsyłki. Trzeba było uważać na każde głośno wypowiedziane słowo. Do mieszkania Baczyńskich na Hołówki 3 przychodzi UB. Szukają Krzysztofa. Janek Rodowicz, ranny w powstaniu, wywieziony przez Berlingowców na praską stronę Wisły, trafia do szpitala w Otwocku, ledwie podleczonego ucieka z niego bo szuka go UB.

W Warszawie pełno było sowieckiego wojska. Nie wszyscy oficerowie w mundurach “wojska polskiego” umieli mówić po polsku.

Wiosną, jak tylko ziemia odmarzła rozpoczęły się ekshumacje. Towarzysze broni, rodziny odnajdują groby swoich bliskich, na skwerach, na ulicach, wydostają szczątki spod zburzonych domów, przenoszą na cmentarze. Niesamowita historia była z ekshumacją Krzysztofa Baczyńskiego. Był pochowany razem z wieloma innymi



poległymi na podwórku Ratusza. Oznakowanie grobów było nieczytelne. Krzysia matka i matka Basi nie potrafiły go rozpoznać. Wszyscy polegli zostali ułożeni w trumnach, następnego dnia miał odbyć się pogrzeb na Powązkach Wojskowych. W nocy, matka Basi, miała dziwny sen, przyszedł do niej Krzysztof i powiedział:

“Czemu nie znalazłyście mnie, leżę w trzecim rzędzie, drugi z lewej.”

Sen był tak wyrazisty, tak realistyczny, że obudziła matkę Krzysia i opowiedziała jej. Rano pobiegły do Ratusza i ubłagały robiących ekshumacje o otworzenie tej jednej tylko trumny. Twarz i ubranie były nie do poznania, ale pani Drapczyńska rozpoznała wysokie buty Krzysia, które sama nosiła do szewca. Pani Baczyńska nie wierzyła, nie chciała wierzyć. Zdenerwowana machinalnie rozgniotła grudkę ziemi leżącą na zetłonym ubraniu zwłok. W ręce został jej srebrny medalik od pierwszej komunii z datą i inicjałami Krzysia. Nie mogło być wątpliwości. Został pochowany na Powązkach Wojskowych razem z Basią.

Ekshumacja Zygmunta Rodowicza była możliwa dopiero po usunięciu dźwigami ogromnych bloków żelbetowych zburzonego klasztoru. Dokładnie było wiadomo gdzie leżał. Wypalone, czyste kości Janek “Anoda” zebrał jak relikwie do małej trumienki, przypiął do niej swój Krzyż Walecznych. Trumienka została złożona w rodzinnym grobie na Powązkach.

### **Rok po powstaniu**

Pierwsza rocznica powstania została uczczona “odgórnie” przez kilka ciężarówek jeżdżących po mieście, pełnych młodych ludzi w czerwonych krawatach, z czerwonymi sztandarami, wykrzykujących co jakiś czas “Cześć! Cześć!”. Chyba ma to być na cześć Armii Ludowej bo o AK jakoś nic nie słychać.

Ja siedzę w biurze – dopóki nie zacznie się medycyna pracuję w firmie budowlanej – i nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o 1 sierpnia sprzed roku. Robię listę płacy, ale myślę nazwiska, nie potrafię zapamiętać, że Adamczyk powinien być pierwszy na liście, a świetnie pamiętam minuta, po minucie, jak to było rok temu, co kto powiedział, co kto zrobił, co się działo. Wyraźnie widzę otaczające mnie postacie. Mocno utrwalałony film został mi w głowie.

Janusz, dowódca oddziału AK musiał się zdekonspirować – meldował się wraz z innymi Akowcami, m.in. z Jankiem “Anodą”, w odpowiednim wydziale UB. Bardzo się o niego bałam. Ja byłam zbyt mało ważna, żeby ktokolwiek się mną interesował.

Ojciec, mimo swoich 73 lat nadal czynny, został wiceprezesem Izby Przemysłowo – Handlowej oraz członkiem BOS’u (Biuro Odbudowy Stolicy).

Zbigniew z Kidą i małą Ewą zamieszkują na Mokotowie. Zbigniew zatrudnia się jako urzędnik, a Kida – antytalent manualny – uruchamia warsztat szycia konfekcji z dzianiny. Jednak z małym powodzeniem.

Maria zostaje akwizytorem kosmetyków i biega po mieście z ogromnymi pakami.

Jesienią 1945 rozpoczynam studia medyczne. Studia ciężkie i absorbujące, utrudnione przez rozrzucenie po całym mieście miejsc, gdzie odbywają się wykłady i ćwiczenia. Kursujemy między Boremlowską na Grochowie, a ul. Oczki i Uniwersytetem na Krakowskim Przedmieściu, zależnie od tego, które budynki

Wydziału Lekarskiego, częściowo zniszczone w czasie wojny, zostają stopniowo wyremontowane i oddawane do użytku. Do tego jeszcze dokuczał nam kompletny brak podręczników. Po prostu stare uległy zniszczeniu w czasie wojny, a nowych nikt nie drukuje. Kto nie umiał szybko notować w czasie wykładów, musiał chodzić potem na żebry po notatki do bystrzejszych kolegów. Frekwencja na wykładach była wtedy prawie 100% - to konieczność żeby zaliczyć kolokwia i zdać egzaminy. Nikomu nie śniło się o żadnej pomocy ze strony państwa – stypendia nie istniały, a uczyliśmy się wszyscy zajadle w poczuciu straconego przez wojnę czasu.

\* \* \*

W naszej rodzinie rodzą się same dziewczynki, nie ma ani jednego męskiego potomka w najmłodszym pokoleniu. Bracia stryjeczni albo nie mają dzieci, albo mają córki. Kiedy więc dwie moje bratowe Kama i Kida równocześnie są w ciąży robimy zakłady co się urodzi. 5 grudnia 1945 dostają depezę z Sopotu:

“Cioci rączki całują Iks” – i tak Maciej Andrzej został Iksem.

W styczniu 1946 urodziła się Anna – druga córka Zbigniewa. Jeszcze jedna dziewczynka w rodzinie.

Coraz więcej Warszawiaków wraca na stare śmiecie. Wracają z obozów, z wędrówek tułaczych po Polsce i zagranicą. Niestety bardzo często zastają dom zburzony albo wypalony i gdzie szukać rodzin, gdzie pytać czy w ogóle żyją? Więc ruiny i resztki murów pokrywają się setkami, tysiącami kartek – ogłoszeń ludzi poszukujących swoich bliskich:

“Haniu! Jesteśmy u Cioci Heli w Kobyłce.”

“Rodzina Kowalskich jest u dziadków na Pradze.”

“Żyjemy! Czekamy na Leona u Woźniaków  
Zygmunt i Anna”

Było to najłatwiej dostępne, najpewniejsze i najtańsze biuro ogłoszeń – ruiny domów, w których się mieszkało i do których członkowie rodzin – jeśli żyją – zapewne dotrą.

## Odbudowa

Mimo zburzenia 80% budynków w Warszawie życie wraca do ruin. Rozwija się handel, powstają sklepy, lokale w parterach zburzonych domów i w budach skleconych z jakichś resztek desek, dykty, blachy. Zaczyna się pierwszy etap odbudowy stolicy czyli odgruzowywanie. Trzeba uprzętać miliony ton gruzu po zburzonych domach, aby można było przystąpić do budowy nowych. Nikt nie ma wątpliwości, że będzie Warszawa. Odgruzowywać chodzą wszyscy – młodzi, starzy, pracownicy wszelkich instytucji, studenci, uczniowie, wojsko, sąsiedzi rozwalonych domów.

Prawie nie ma ciężkiego sprzętu do rozbiórki. Młodzi mężczyźni wdrapują się na resztki murów i rozbijają je oskardami, a reszta tworząc łańcuchy, z rąk do rąk podaje sobie cegły, ułamki murów, kawałki rur, wrzuca je na fury i wywozi za miasto, jako wtórny surowiec na materiały budowlane. Wydaje się nieprawdopodobne wykonanie takiej gigantycznej roboty, jak usunięcie gruzów zburzonego milionowego miasta, tak prymitywnym i pracołłonnym sposobem. Chyba entuzjazm za nas pracował.

Zaczyna pracować elektrownia i gazownia, rusza wodociąg. Co za ulga w codziennym życiu!. Rusza pierwszy tramwaj między Pragę, a Grochowem. Na dalsze tramwaje poczekamy jeszcze długo. Komunikacja pomiędzy lewo i prawobrzeżną Warszawą jest bardzo utrudniona – wszystkie mosty zostały zburzone. Na wiosnę 1945r. saperzy zbudowali most pontonowy, niestety przy pierwszym dużym przyborze spłynął do Gdańska (utonęło na nim dwóch żołnierzy).

Z Saskiej Kępy i Pragi kursują więc przez jakiś czas wielkie krypy, które przewożą ludzi tam i z powrotem, dopóki saperzy nie postawili mostu wysokowodnego. Na dojazd do pracy czy nauki traci się wiele godzin. Wszyscy zgodnie chodzimy na piechotę. Samochody były niemal wyłącznie wojskowe. Kiedy już był most, pojawiło się trochę ciężarówek, które za opłatą woziły ludzi “na łebka”. Obsługa takiej ciężarówki składała się z dwóch ludzi: kierowcy i “konduktora”, który głośno wołał:

“Na Pragę, na Pragę...”

albo

“Do Śródmieścia, do Śródmieścia!”

podsadzał co cięższych pasażerów na wysoką budę ciężarówki, inkasował pieniądze za przejazd.

Otwarcie pierwszego kina, a była to Polonia na Marszałkowskiej, było prawdziwym świętem dla tłumu Warszawiaków.

A kiedy po raz pierwszy po wojnie poszłam do teatru na placu Piłsudskiego (jak ten teatr się nazywał?) na “Żołnierza Królowej Madagaskaru” i Mira Zimińska jako Kamilla śpiewała:

“Mówią ludzie, złe umysły,

Że na lewym brzegu Wisły

Nie masz już Warszawy...”

Cała widownia miała mokre oczy i gwałtownie wycierała nosy.

### **Kazimierz po wojnie**

Kiedy wybraliśmy się z ojcem po raz pierwszy po wojnie do Kazimierza zastaliśmy, ku naszej wielkiej radości, dom i stróżówkę nie uszkodzone, tyle, że nie było drzwi wejściowych, masywnych ciężkich, dębowych, brakowało też kilku okien. Bielcowa, nasza dozorczyń, powiedziała nam, że zabrali je ludzie z Męćmierza, wioski u podnóża naszej góry. Właśnie ci wdzięczni za pomoc po pożarze – no, cóż. Chłop żywemu nie przepuści. Powędrowaliśmy więc z tatą na poszukiwania. Nie musieliśmy długo szukać, zaraz w pierwszej zagrodzie zobaczyliśmy nasze drzwi oparte o stodołę. Weszliśmy na podwórze i ojciec – zawsze miał świetny refleks – zaczął wylewnie witać się z gospodarzem i dziękować mu za uratowanie drzwi. Chłopu nie pozostało nic innego do roboty jak pomóc nam zanieść ciężkie drzwi na górę. Zresztą wcale mu nie pasowały ani do chałupy, ani do obory.

W podobny sposób odzyskaliśmy okna, też nie pasujące do małych okienek w chatach.

Całe umeblowanie domu, pozostawione przez Niemców znikło bez śladu. Jedyny mebel to metalowy stojak na karabiny pozostawiony przez żołnierzy sowieckich, którzy tu stacjonowali w okresie forsowania przez Armię Czerwoną Wisły. Zostawili też w piwnicy znakomite rysunki na ścianie – dobry rysownik wykonał węglem cztery

profile, zapewne swoich kolegów.

Stojak przydał się – przykryty pokrywą starej beczki służył za stół. Spaliśmy na podłodze, na siennikach. Gotowaliśmy w kuchni na patykach i szyszkach zbieranych w lesie. Ojciec nawiązał kontakt z dyrektorem szkoły rzemieślniczej w Kazimierzu, który obiecał wykonanie przez uczniów, jako ćwiczenie w stolarstwie, stołu, taboretów i łóżek – wyłącznie za zwrot kosztu drewna. Oferta kusząca. Meble służyły do dziś.

Z czasem dom w Kazimierzu stał się naszym domem rodzinnym. Przyjeżdżaliśmy do niego na wakacje z naszymi rodzinami, z dziećmi, teraz nasze dzieci przyjeżdżają ze swoimi dziećmi. Jest szansa, że dzieciom naszych wnuków dom też będzie służył.

## Dwa śluby

We wrześniu 1948r. Maria wychodzi za mąż za lekarza weterynarii Wacława Malickiego. Przez cztery lata prowadzali się z Wacuszkiem i jakoś nie mogli podjąć tej męskiej decyzji. Janusz pytał się mnie co robić? czy to Wacek nie może się oświadczyć, czy Maria nie chce przyjąć oświadczyn. Wreszcie podjęli decyzję, ślub skromny – jak to po wojnie, zamieszkali obok nas na Saskiej kępie, w wynajętym pokoju.

W tym okresie wojsko udostępniło ojcu 2-pokojowe mieszkanie w naszym domu na Francuskiej. Przenieśliśmy się tam we dwójkę z ojcem. Byłam wtedy na czwartym roku studiów. W okresie Bożego Narodzenia mam wyjechać na praktykę do sanatorium w Szklarskiej Porębie. Tuż przed wyjazdem koleżanka namawia mnie na seans z zabawną kabalarką, która trafnie określa moją sytuację:

“Karty mówią, że pani pracuje, ale piniendzy z tej pracy nie widzę, teraz czeka panią droga i praca, a z tamtej pracy będą piniendze (praktyki były płatne) i widzę tam blondyna ze ślubną kartą.”

Uśmiełam się z kabały, zabrałam narty i pojechałam. W drodze przyplątał się do mnie wyłysiały blondyn na krzywych nogach, dobrze po czterdziestce, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, ogromny galant, przedstawił mi się zamaszycie podkreślając, że jest radcą prawnym okręgu płockiego i kawalerem. Nadskakuje, proponuje czekoladki, proponuje oranżadę, proponuje “Przekrój”, namawia, nalega. Niemożliwy! Jeśli ma to być ten blondyn ze ślubną kartą to wolę umrzeć w staropanieństwie! Szczęśliwie na stacji w Szklarskiej porębie pogubiliśmy się.

Rozpoczęłam praktykę. Wyglądało to tak: doktor sanatoryjny (było to sanatorium rehabilitacyjne dla górników z pylicą), ogromnie ucieszył się na mój widok. Poklepał mnie po ramieniu, wręczył bloczek recept i powiedział:

“Świetnie pani da sobie radę koleżanko, ja muszę wyjechać na pięć dni.

Siostra pani pomoże.”

I wyjechał na dziesięć dni. Opatrzność czuwała nade mną i pacjentami. Nie było zgonów. Drugiego, czy trzeciego dnia mojego pobytu w sanatorium, rano, ktoś puka do mojego pokoju i w progu staje Staś Szymanowski, z którym znamy się od dawna (nasi ojcowie studiowali w tym samym Instytucie Technologicznym w Petersburgu i rodziny się znały), na mój widok robi okropnie głupią minę. Okazuje się, że sympatyczni państwo F. z jego pensjonatu, a z którymi jechałam pociągiem, i których spotkałam potem chodząc po Szklarskiej Porębie, skarżyłam się im na zupełny brak towarzystwa na narty, powiedzieli Stachowi, że jest taka “pielegniarka” nie mająca z

kim jeździć na nartach (on też nie miał z kim jeździć) i podali mu mój adres. Pani F. upomniała się, że “jeśli coś z tego wyjdzie” żeby jej przywiózł z zagranicy nylony – wówczas marzenie każdej kobiety. Staś, prawnik, spec od handlu zagranicznego, wówczas pracował w Varimex’ie i jeździł na zagraniczne targi, a wyjazdy były wówczas rzadkością. Idąc do mnie spodziewał się interesującego flirtu, a tu znalazł starą znajomą. W dodatku między nami nigdy nie było śladu większego wzajemnego zainteresowania.

Teraz ze zdziwieniem stwierdzam, że jest bardzo sympatyczny, zabawny, że dobrze jeździ na nartach, że dobrze wygląda w kostiumie narciarskim, że jest zapalonym żeglarzem – jest sternikiem morskim, że mamy podobne gusty i zainteresowania, że świetnie się nam razem gada – no i wreszcie okazało się, że to on był tym blondynem ze ślubną kartą. Wysyłamy do rodzin depesze zawiadamiając o zaręczynach. Mój ojciec chwyta się za głowę:

“Mój Boże – co za córki!

Jedna nie mogła się zdecydować cztery lata

– druga zdecydowała się w cztery dni!”

I wysłała mi depeszę:

“Życzenia szybkiego i pomyślnego ukończenia studiów – ojciec”

Jestem zgnębiona – ale rozumiem. Ojciec obawia się, że przerwę studia. Stach zdecydowanie nie zgadza się czekać ze ślubem, aż skończę medycynę. Pobraliśmy się w marcu 1949r. Stach ma śliczną kawalerkę na Lipskiej 4. Maria z mężem przenoszą się do ojca na Francuską.

Miesiąc miodowy spędzam na wykładach i ćwiczeniach wkuwając do kolejnych egzaminów. Chcę uspokoić ojca. Udało się. Zaliczam wszystko co trzeba.

## Aresztowania

W wigilię Bożego Narodzenia 1948r. zostaje aresztowany Janek Rodowicz “Anoda”. Razem z nim UB aresztuje szereg osób od “Parasola” i “Zośki”, najbardziej bohaterskich formacji AK. Kilka dni później Janek ginie w gmachu bezpieczeństwa w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach. Oficjalnie UB podało, że wyskoczył oknem z IV piętra. Jednak lekarka (żona stryjecznego brata Janka), której pozwolono pobieżnie obejrzyć zwłoki, nie stwierdziła złamań kończyn, co musiałoby nastąpić przy upadku z IV piętra.

Już po śmierci Janka, jego matka, pani Rodowicz, z którą utrzymywałam stale serdeczny kontakt, powiedziała mi, że była świadkiem rozmowy Janka z Zygmuntem – to było po śmierci Jerzego w 1943r. – obaj stwierdzili, że w razie aresztowania jedynym wyjściem jest popełnienie samobójstwa wszelkimi dostępnymi sposobami. Wtedy chodziło o aresztowanie przez Niemców, Janka aresztowali Polacy.

We wrześniu 1949r. Janusz wyszedł wieczorem ze swojego mieszkania na Lipskiej 21 i nie wrócił. Jego żona zawiadomiła nas o tym dopiero po trzech dniach. Naszemu ojcu powiedziała, że wyszedł do niego, mnie, że do mnie, a przyjacielowi Janusza, że poszedł nad Wisłę popływać. Nie zdołaliśmy dojść jak to było naprawdę.

Po dwóch miesiącach od jego zaginięcia Kama przeprowadziła rozwód podając powód “złośliwe opuszczenie”, wyszła za mąż za duńskiego lekarza, który w Polsce w ramach akcji WHO szczypił przeciw gruźlicy polskie dzieci i wyjechała z synami (z

Krzysiem z pierwszego małżeństwa i z Iksiem). Nam zasugerowała, że oni z Januszem umówili się, iż każde z nich na własną rękę wyjedzie za granicę – Janusz nielegalnie przez zieloną granicę, nie miał wtedy żadnych możliwości wyjechać legalnie, a ona zawierając małżeństwo z obcokrajowcem i zagranicą się spotykają. Ale nam Janusz nic nie mówił, a kiedy nie przyszły od niego żadne wiadomości zaczęliśmy szukać.

Żadne poszukiwania nie dały rezultatu. Po interwencji “na wysokim szczeblu” otrzymaliśmy odpowiedź, że “w polskich więzieniach go nie ma”. Usiłowaliśmy jednak z Marią podawać paczki do więzień – jak w czasie okupacji po aresztowaniu Jerzego. Bez skutku. Nigdy paczki nie przyjęto. Nikt nigdy więcej go nie widział. W tym okresie wiele osób zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach, ale niektórzy wrócili z Syberii po 1956r. Janusz nie wrócił.

Bardzo długo nie mogliśmy pogodzić się jego zaginięciem. Wydawało się nam niemożliwe, żeby człowiek, który w tylu trudnych sytuacjach wykazał się taką dzielnością i energią mógł tak bezpowrotnie zaginać jak kamień rzucony w morze. Upływały lata, dziesiątki lat, a myśmy wciąż czekali.

Duński mąż Kamy adoptował obu jej synów i dał im swoje nazwisko. Syn Janusza, uroczy mały Iks, jedyny chłopiec w najmłodszym pokoleniu Klarnerów nazywa się Möller.

Kama zmarła w 1958r. Iks stał się Duńczykiem, zapomniał języka polskiego. Utrzymuję z nim serdeczny, stały kontakt. Co parę lat przyjeżdża do Polski.

\*\*\*

W 1950r. Marii urodził się syn Jakub pospolicie Kubusiem zwany. A w dwa lata później, w miesiąc po moim ostatnim egzaminie dyplomowym, urodziła się nasza córka Magda.

W tym samym czasie wojsko definitywnie zajęło cały dom na Francuskiej 37, ojciec oficjalnie został wywłaszczony i wysiedlony do jednego pokoju z kuchnią w 5 osób – ojciec, Maria z mężem i synkiem oraz gosposia.

Nie pomogły żadne odwołania składane przez ojca do różnych instancji różnych władz. Stale jednak ojciec nam powtarzał – pilnujcie tych dokumentów – wywłaszczenie było bezprawne, na ich podstawie odzyskacie kiedyś dom.

Ojciec już tego nie doczekał. Po długiej, ciężkiej chorobie zmarł w 1957r. mając 85 lat. Tłum przyszedł go pożegnać. Kościół św. Karola Boromeusza na Powązkach był pełen, trumna pokryta kwiatami. Jeszcze żyli ludzie, z którymi pracował, którzy go pamiętali i szanowali

W 3 miesiące po śmierci ojca urodził się nasz syn Jan Michał. Mieliśmy ze Stachem “wszystkie dzieci w domu”.

Lata leciały nieprawdopodobnie szybko. Czasy były ciężkie. Żyło się od pierwszego do pierwszego. Dzieci rosły. Przeżyliśmy emocje pierwszej klasy, potem liceum, studia.

Córki Zbigniewa wyjechały na stałe za granicę. Ewa do Anglii, gdzie wyszła za mąż, Anna do Stanów. Jedyny syn Marii Kuba osiadł z rodziną w Wiedniu.

My ze Stachem nie zdążyliśmy oswoić się, że mamy dorosłe dzieci, kiedy nam się

pożeniło i jedno i drugie, a wkrótce potem zjawily się wnuki, po parce u każdej pary.

W 1997 roku, po długich i uciążliwych staraniach, odzyskaliśmy od wojska nasz dom na Francuskiej. Zdewastowany przez lata użytkowania go przez wojsko. Początkowo jako biuro RKU (Rejonowej Komendy Uzupelnień), potem jako hotel dla gości wojskowych, wreszcie jako przedszkole dla dzieci wojskowych. Niestety już tylko my dwie z siostrą Marią (Zbigniew zmarł w 1996r.), z pięciorga rodzeństwa, cieszymy się odzyskaniem własności ojca.

Przez 53 lata nie zetknęłam się z nikim z moich powstaniowych towarzyszy, ani podopiecznych z Mokotowa, aż do ubiegłego roku, przypadkiem spotkałam Alka, tego którego w 1944r. wyciągnęłam spod ostrzału "krowami". To on mnie poznał. Wyleczył się z licznych ran, jest sprawny, wciąż aktywny zawodowo inżynier.

Teraz, kiedy po 43 latach pracy jako pediatra przeszłam na emeryturę, sięgam pamięcią do czasów, które dla moich dzieci są historią, a dla mnie są żywe jakby to było wczoraj i jakby wciąż jeszcze istniała cała nasza rodzina ...

## Spis treści:

Rodzina .....	3
Spotkanie w deszczu .....	4
Rodzina w Rosji.....	6
Ojciec w aparacie państwowym.....	8
Rok 1922 .....	10
Matka .....	11
Marszałkowska 9.....	14
Przewrót majowy .....	14
Lekcje muzyki .....	15
Ojciec - menedżer polskiego przemysłu .....	16
Kazimierz.....	17
Pożar Męcmierza .....	20
Rodzeństwo.....	23
Francuska .....	25
Wyjazdy w góry .....	27
Janusz i góry.....	32
Wojna.....	34
Pomoc.....	42
Pierwsza zima pod okupacją.....	45
Mały sabotaż.....	49
Okupacyjne wakacje w Kazimierzu.....	50
Komplety uniwersyteckie .....	50
Jak żyjemy .....	51
Krzysztof.....	54
Futra i rosyjska zima .....	55
Pracujemy.....	55
Wielkanocne Groby Pańskie.....	57



<b>Paczki więzienne.....</b>	<b>57</b>
<b>W co się ubieramy? .....</b>	<b>58</b>
<b>Dzieci Zamojszczyzny .....</b>	<b>59</b>
<b>Getto.....</b>	<b>59</b>
<b>Ślub Janusza .....</b>	<b>61</b>
<b>Aresztowanie Jerzego .....</b>	<b>61</b>
<b>Kocioł .....</b>	<b>62</b>
<b>Zostaję sanitariuszką .....</b>	<b>66</b>
<b>Terror.....</b>	<b>67</b>
<b>Powstanie Warszawskie.....</b>	<b>71</b>
<b>“Wyzwolenie” .....</b>	<b>93</b>
<b>Po wojnie.....</b>	<b>96</b>
<b>Rok po powstaniu.....</b>	<b>97</b>
<b>Kazimierz po wojnie .....</b>	<b>99</b>
<b>Aresztowania .....</b>	<b>101</b>